PEDOFILSKI SKANDAL W INTERNECIE

KONRAD KOŁODZIEJSKI O DŁUGOLETNIEJ ZMOWIE MILCZENIA

DARIUSZ MATUSZAK POKAZUJE PRAWDZIWE PRZYCZYNY NAPAŚCI NA POLSKICH PIŁKARZY I DZIAŁACZY W HOLANDII

SIECI

IZRAEL ZAATAKOWANY PRZEZ TERRORYSTÓW

ANALIZY MARKA BUDZISZA I JANA ROKITY, REPORTAŻ MARCINA WIKŁY

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 42 (568) 2023
16–22 października 2023
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

TO BYŁA BRUDNA KAMPANIA OPOZYCJI

TUSK DOSTAŁ TWARDE POLECENIE:

OBALIĆ PIS, WIĘC JEGO OBÓZ SIĘGNĄŁ PO INSTRUMENTY DEWASTUJĄCE POLSKĄ DEMOKRACJĘ I SUWERENNOŚĆ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

CZYTAJ TEKSTY SWOICH ULUBIONYCH AUTORÓW

WSPIERAJ UCZCIWE, WOLNE, POLSKIE MEDIA

Jesteśmy po właściwej stronie – tam, gdzie umiłowanie Ojczyzny

JACEK KARNOWSKI

Konsekwentnie bronimy prawdy. Udaje się dzięki wsparciu Czytelników

MARZENA NYKIEL

Propolskie, wolne media są kluczem do bezpiecznej Polski

MICHAŁ KARNOWSKI

Korzystaj z e-prenumeraty SIECI i wSIECI HISTORII oraz dostępu do **Premium** + wPolityce.pl

Zamów już dziś na **www.siecprzyjaciol.pl**

ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 4ee1868b88

Fałszywe pojednanie

Franz Emanuel August Geibel, niemiecki liryk i tłumacz, autor licznych sztuk o Siegfriedzie i Nibelungach, ukuł w 1861 r. hasło „Am deutschen Wesen mag die Welt genesen" („Niemiecki charakter może uleczyć świat"). Geibel, zwany „heroldem Rzeszy", był gorącym zwolennikiem cesarza Wilhelma I. Uważał, że zjednoczenie Niemiec będzie miało stabilizujący wpływ na Europę. Ukute przez Geibla hasło, z pozoru niewinne, zostało wykorzystane m.in. przez cesarza Wilhelma II jako argument, że „świat powinien stać się bardziej niemiecki". A wyrażona w nim postawa głęboko zakorzeniła się w niemieckiej mentalności.

Niemcy uważają się za wzór dla reszty Europy. Najpierw odgrywali rolę prymusa w pikielhaubie, potem na tle swastyki, a teraz maszerują pod tęczowymi flagami w sandałach Birkenstock. Znów dążą do absolutnego spełnienia przybranej przez siebie roli. Uważają, że wyciągnęli właściwe wnioski z historii i dziś są uosobieniem tolerancji, praworządności i demokracji.

To niemieckie moralne mocarstwo nigdy nie zadośćuczyniło za zbrodnie i zniszczenia dokonane w czasie II wojny światowej w okupowanej Polsce. Przeciw wypłacie reparacji padały w Berlinie różne argumenty. A to, że sprawa jest „zamknięta"; że Polska się zrzekła reparacji w latach 50.; że rząd w Polsce jest podły, zły i gra na antyniemieckich resentymentach; że Polska otrzymała niemieckie tereny wschodnie i to wystarczy; że Niemcy wepchnęły nas do Unii i nad Wisłę popłynęły miliardy w postaci funduszy strukturalnych.

Przez lata polskie rządy nie podnosiły tego tematu, bo polska strategia polegała na tym, żeby nie psuć stosunków z Niemcami. Bo nie zaproszą, nie dadzą kanapki i kieliszka rieslinga. Pozycja Polski od tego czasu się wzmocniła, a na kieliszku rieslinga polskiemu rządowi już tak nie zależy, ale nie oznacza to, że zmieniło się nastawienie do nas w Berlinie. Bynajmniej.

Nadal jesteśmy traktowani protekcjonalnie i infantylizowani. Świadczy o tym artykuł dwóch historyków, którzy mają budować Dom Polsko-Niemiecki w Berlinie, czyli to, co miało być w założeniu pomnikiem polskich ofiar wojny, a będzie domem spotkań Polaków i Niemców, gdzie okrutne niemieckie zbrodnie będą osadzone w kontekście „tysiąca lat sąsiedztwa".

Uwe Neumärker, dyrektor fundacji Pomnik Pomordowanych Żydów Europy, oraz Peter-Oliver Loew z Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadt uważają bowiem, że żądania reparacji to wołanie Polaków o uwagę, tak jak dziecko stara się zostać zauważone przez matkę.

„Choć oba kraje przez trzy pokolenia zmagały się z traumą II wojny światowej, pamięć o niemieckich zbrodniach w okupowanej Polsce wciąż determinuje obecną politykę w Warszawie i stosunki z naszym krajem. Żądania odszkodowawcze Jarosława Kaczyńskiego to tylko ich część. Można to również rozumieć jako wołanie o uwagę" – piszą Loew i Neumärker na łamach „Die Welt". Według nich prawicę i lewicę w Polsce łączy jedno uczucie: bycie niedostatecznie słyszanym przez Niemcy.

„Dlatego ważne jest, abyśmy w Berlinie zbudowali miejsce pamięci o zbrodniach niemieckich w Polsce" – przekonują. Pomijając fakt, że nie chcemy być głaskani po główce przez Niemców, tylko domagamy się zadośćuczynienia za popełnione przez nich zbrodnie, bez czego trudno mówić o pojednaniu, można odnieść wrażenie, że panowie Loew i Neumärker traktują planowany Dom Polsko-Niemiecki jak coś, co można nam dać w zamian za reparacje. Trochę pogłaszczemy, posłuchamy, postawimy (drogie) centrum dokumentacyjne i będziemy mieli to z głowy. Taki mają plan.

To fałszywa propozycja pojednania, nie do przyjęcia dla Polski i Polaków.

Aleksandra Rybińska

Autopromocja

SIECI

spis treści

32 Z Jackiem Łęskim *rozmawia Dorota Łosiewicz*

36 Moje zmagania z rakiem piersi *Małgorzata Wołczyk*

70 Zwyciestwo biskupa Wojtyły *Maciej Walaszczyk*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **PO HERBACIE**
Krzysztof Feusette

9 **KOBIETY NIEWIDZIALNE**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **PIOSENKI I HISTORIA**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **STAWKA WYBORÓW**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA NATALII RZEŹNICZAK**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **PO REFERENDUM**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **CO TERAZ?**
Samuel Pereira

19 **PACJENTKA**
Jerzy Jachowicz

TEMAT TYGODNIA

20 **BRUDNA KAMPANIA OPOZYCJI**
Jakub Augustyn Maciejewski

KRAJ

24 **LISTA WYZWAŃ**
Stanisław Janecki

28 **SPADAJĄCE GWIAZDY INTERNETU**
Konrad Kołodziejski

32 **Z JACKIEM ŁĘSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

36 **MOJE ZMAGANIA Z RAKIEM PIERSI**
Małgorzata Wołczyk

ŚWIAT

40 **DLACZEGO IZRAEL DAŁ SIĘ ZASKOCZYĆ?**
Marek Budzisz

44 **POLOWANIE NA ŻYDÓW**
Jan Rokita

48 **NOCNY MOST DO DOMU**
Marcin Wikło

52 **WASZYNGTOŃSKA GERONTOKRACJA**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

54 **LIBERALNY KRAJ UŚMIECHNIĘTEGO ZAMORDYZMU**
Dariusz Matuszak

58 **Z KS. PROF. ROBERTEM SKRZYPCZAKIEM**
rozmawia Goran Andrijanić

60 **NIE POTRZEBUJEMY SILNYCH NIEMIEC**
Maciej Walaszczyk

HISTORIA

64 **JAK WŁADZE PRL ROZGRYWAŁY „ROZMOWĘ BRACI"**
Grzegorz Majchrzak

SIECI KULTURY

67 **KINO NIEZWYKŁYCH KOBIET**
Jolanta Gajda-Zadworna

70 **ZWYCIĘSTWO BISKUPA WOJTYŁY**
Maciej Walaszczyk

72 **UE. KONIEC KONSPIRACJI**
Robert Tekieli

73 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

74 **POLECA**
Łukasz Adamski

ZDROWIE

82 **JAK SKUTECZNIE WALCZYĆ Z CHOROBAMI CYWILIZACYJNYMI?**
Debata redakcji ekonomicznej Grupy Medialnej Fratria

KUCHNIA

90 **MOJE SMAKI: BEATA ŚNIECHOWSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

91 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

92 **NIEMIECKO-FRANCUSKIE SUPERPAŃSTWO**
Wojciech Reszczyński

94 **LWOWSKI WYSŁANNIK CHOPINA**
Adam Ciesielski

95 **400!**
Aleksander Nalaskowski

96 **ZNACHORÓW DWÓCH**
Ryszard Makowski

97 **A CO UNIESIE?**
Leszek Długosz

98 **GRA MOŻE BYĆ LEPSZA**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 1/1023/F

eprasa.pl 4ee1868b88

NARODOWY BANK POLSKI
INFORMUJE:

POLSKI ZŁOTY
stabilność i bezpieczeństwo

Dzięki własnej walucie:

- szybko doganiamy najbogatsze kraje Zachodu i rośnie dobrobyt Polek i Polaków,
- bezrobocie jest niskie,
- polska gospodarka jest silna i bezpieczna.

NBP.PL

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

eprasa.pl 4ee1868b88

Sygnalista nadaje

Dlaczego szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. Rajmund Andrzejczak i dowódca operacyjny Rodzajów Sił Zbrojnych gen. Tomasz Piotrowski złożyli wypowiedzenie stosunku służbowego tuż przed wyborami? Portal wPolityce.pl wyjaśnia: „Zbliżająca się zmiana na tych stanowiskach była już dla wszystkich oczywista od pewnego czasu, została jednak odłożona na okres powyborczy. Gen. Andrzejczak i lojalny wobec niego Piotrowski, mając tego świadomość, spróbowali więc politycznej ucieczki do przodu. Uznali, że taka hałaśliwa dymisja maksymalizuje ich perspektywy w przypadku zwycięstw opozycji". Trzeba przyznać, że to kalkulacja więcej niż naiwna.

I jeszcze jeden cytat z analizy wPolityce.pl: „Nasi informatorzy wskazują na coraz częstsze ekstrawagancje w postawie gen. Andrzejczaka. Coraz częściej pojawiały się, także na szerszych forach, wątpliwej jakości geopolityczne przemyślenia, mówiło się o jego aktywności w świecie »geopolityków«. Często zamiast rozwiązywania problemów, wykorzystania dostępnych, realnych opcji i zasobów, snuto w sztabie wizje jakiejś idealnej armii, gdzie wszystko jest takie, jak w książkach geopolityków". W sumie – szkoda. Ale jedno nie ulega wątpliwości: ludzie odpowiadający za bezpieczeństwo Polski muszą bardzo twardo stać na ziemi.

Redaktor naczelna Biełsat TV Agnieszka Romaszewska zwróciła uwagę na tekst portalu BBC poświęcony kampanii wyborczej w Polsce. „W skrajnie stronniczym artykule na temat polskich wyborów korespondentka BBC World rozmawia tylko z osobami publicznymi popierającymi opozycję – Piotrem Adamowiczem, bratem Pawła, i panią Julią Landowską, działaczką Strajku Kobiet, znaną z wrzeszczenia »j....ć PiS«, którą ostatnio sąd, po trzech latach, uznał za winną, jakkolwiek odstąpił od wymierzenia kary. Nie rozmawia natomiast z nikim, kto by popierał PiS i jedyną osobą z tej strony jest anonimowa »Monika«, na bazarze w Elblągu rozdająca ulotki" – zauważyła Romaszewska. Niestety, to nie wybryk; to coraz bardziej „standard" zachodnich mediów.

Romaszewska wskazuje także na ewidentne kłamstwa w publikacji: „Ale nawet nie to zrobiło na mnie największe wrażenie, ale to, że w artykule jest DEZINFORMACJA – pisze się bowiem ot tak, przy okazji, że morderca Pawła Adamowicza został WYPUSZCZONY z więzienia. A on właśnie dostał dożywocie... Aaaaa... Zaś w następnym zdaniu cytuje się Piotra Adamowicza, który twierdzi, że tragedia może się powtórzyć i też czuje się zagrożony". Jak to było? Niby coś piszą, niby coś opisują, ale wszyscy wiemy, że nie o to chodzi.

Ale nie wszyscy piszą o nas źle. Brytyjski dziennik „The Daily Telegraph": „Wskocz na autostradę i jedź na wschód przez kilka godzin, a zobaczysz zupełnie inny obraz Polski, wschodzącej gwiazdy Europy. Podczas gdy Niemcy obawiają się o konkurencyjność, ich środkowoeuropejski sąsiad w dalszym ciągu zwiększa swoją siłę produkcyjną". I dalej: „Ostatnie trzy lata z COVID-19,

Bartosz Węglarczyk, redaktor naczelny należącego do niemiecko-amerykańsko-kanadyjskiego koncernu Ringier Axel Springer portalu Onet.pl, został przewodniczącym Rady Polskich Mediów, powołanej przez szefów ponad 20 redakcji. Są to: „Dziennik Gazeta Prawna", „Fakt", „Gazeta Wyborcza", „Newsweek", „Pismo. Magazyn Opinii", „Polityka", „Rzeczpospolita", „Tygodnik Powszechny", „Business Insider Polska", Fakty TVN, Gazeta.pl, OKO.press, Onet.pl, Radio RMF FM, Radio TOK FM, Radio ZET, Radiozet.pl, TVN 24, TVN 24 BiS, TVN24.pl i Wirtualna Polska. Tak, to rzeczywiście są media działające w Polsce.

eprasa.pl 4ee1868b88

kryzys energetyczny i tak dalej – to nie wpłynęło na polski przemysł. I to jest niezwykłe". Niezależnie od wyniku wyborów, zapamiętajmy na całe życie: to niepodległościowa polityka gospodarcza przyniosła Polsce spektakularny sukces.

Niemiecki prawnik Wolfgang J. Hummel w tekście opublikowanym na portalu wPolityce.pl stwierdza: „Jako Niemcowi trudno to przyznać otwarcie: Republika Federalna Niemiec upada – gospodarczo, społecznie, a także moralnie. Ataki na Polskę stają się coraz bardziej gwałtowne i zaciekłe, w miarę jak ludzie coraz częściej dostrzegają, co Polska zrobiła dobrze, a co Niemcy zrobiły źle w ostatnich latach. Polska uzmysławia Niemcom ich błędy. To budzi szczególną wściekłość socjaldemokratyczno-zielonego rządu Niemiec". Ciekawy punkt widzenia. Trudno się z nim nie zgodzić.

Hummel podkreśla, że nie dotyczy to tylko polityki imigracyjnej i bezpieczeństwa publicznego, lecz także polityki transportowej i infrastruktury. „Inaczej niż niemieckie autostrady, polskie nie są ciągle zamykane z powodu uszkodzeń nawierzchni lub remontów mostów. Warszawskie lotnisko działa lepiej niż to w Berlinie. Ta sama zasada ma zastosowanie w obszarze polityki energetycznej. [...] Polska przewidująco zbudowała terminal LNG oraz port naftowy w Gdańsku. Polska nie zamknęła wszystkich kopalń węgla w szale arogancji, jak to zrobiły Niemcy". I puenta: „Niemcy w coraz większym stopniu przekształcają się w ekosocjalistyczną dyktaturę. Polska nie powinna iść za Niemcami w ten ślepy zaułek". Polska nigdy nie powinna iść za Niemcami, bo choć zmieniają się epoki i ideologie, to Niemcy wciąż co pokolenie, najdalej co dwa, wpadają w jakiś szał.

Niemiecki prawnik podkreśla: „Zamiast wyciągać wnioski z nieakceptowalnej sytuacji w Niemczech, rząd federalny próbuje narzucić innym krajom swój nieudany model imigracji. A wszystko to pod pięknym hasłem »sprawiedliwej relokacji«. Zamiast przyznać się do własnej porażki w polityce imigracyjnej i azylowej. Już w 2015 r. były prezydent Francji Nicolas Sarkozy trafnie podsumował sytuację prawną w UE w zakresie polityki azylowej. Porównał Unię do hydraulika, który w przypadku pęknięcia rury kanalizacyjnej nie próbuje jej uszczelnić, ale opracowuje plan równomiernego rozprowadzenia ścieków po całym mieszkaniu. Sytuacja nie uległa zmianie do dziś". Pytanie wciąż to samo: czy Polska może ocaleć w sytuacji, gdy Zachód popełnia samobójstwo? Tego nie wie nikt.

Sytuacja, gdy zwolennicy Hamasu wiwatują na niemieckich, ulicach ciesząc się z barbarzyńskich morderstw w Izraelu, jest postrzegana jako „gorzka konsekwencja niemieckiej polityki azylowej" z punktu widzenia Henry'ego Kissingera – laureata Pokojowej Nagrody Nobla i wieloletniego sekretarza stanu USA.

Henry Kissinger w rozmowie z Welt TV zadumał się nad faktem, że zwolennicy Hamasu wiwatują na niemieckich ulicach, ciesząc się z barbarzyńskich morderstw w Izraelu: „Uważam, że świętowanie zdarzeń, które z technicznego punktu widzenia są czynem przestępczym, jest bolesne. Wielkim błędem było wpuszczenie tak wielu osób o zupełnie innym pochodzeniu kulturowym i religijnym". Słuszne słowa. Jakże szkoda, że tak wielu mędrców mówi to teraz, a nie wtedy, gdy sprawy się rozstrzygały i gdy jeszcze można było zatrzymać inwazję.

Wybuchy Nord Stream to robota rosyjskich służb specjalnych, a Niemcy natychmiast wrócą do robienia interesów z Rosją, gdy na Ukrainie nastanie pokój – uważa duński dziennikarz śledczy Jens Høvsgaard, autor książki pt. „Szpiedzy, których przyniosło ocieplenie", odsłaniającej kulisy powstania rosyjsko-niemieckich gazociągów. Dziennikarz przewiduje też, że Niemcy natychmiast powrócą do robienia interesów z Rosją, jeśli tylko będzie to możliwe. „Gdy dojdzie do rozmów pokojowych i nadejdzie pokój na Ukrainie, to następnego ranka niemieccy biznesmeni już wylądują na lotnisku w Moskwie" – mówi Høvsgaard. My też nie mamy w tej sprawie złudzeń. I Kijów też nie powinien mieć.

„Celebrytom wydaje się, że wolno im wszystko. A odpowiedź pedagogiczna brzmi: g... prawda! Wolno wam mniej niż przeciętnemu człowiekowi, bo macie wpływ na innych ludzi" – mówi prof. Mariusz Jędrzejko, dyrektor naukowy Centrum Profilaktyki Społecznej, komentując w rozmowie z portalem wPolityce.pl aferę Pandora Gate, czyli pedofiliskie inklinacje (i zapewne nie tylko) niektórych gwiazd internetu. I dalej: „Youtuberzy i influencerzy to współcześni idole i zarazem dwa parazawody, które mają naprawdę ogromny wpływ na młodych ludzi. Jeżeli zapytamy nastoletniego chłopca czy dziewczynę, kim chce zostać w przyszłości, to w większości przypadków odpowiedzą: youtuberem lub influencerem". Niestety, to prawda bardzo smutna, bo szanse na sukces są tu mniejsze niż w zawodowym sporcie. Czy coś z tym można zrobić? Trzeba próbować. Pierwszy krok to szkoła bez komórek. I proste, i konieczne, i w sumie wykonalne.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl 4ee1868b88

Po herbacie

KRZYSZTOF FEUSETTE

Wygraliśmy. To znaczy przegraliśmy. Ale zwyciężyliśmy. I dlatego żądamy rewanżu. Wygraliśmy dokładnie tak samo, jak Rafał Trzaskowski, znacie go dobrze, to ten w błękitnej piżamie, zwyciężył w wyborach prezydenckich. Na chwilę obecną uznajemy podsumowanie źle przeliczonych głosów, ale będziemy apelować. I liczyć tak długo, aż wynik będzie prawidłowy. Złożymy oficjalne protesty do FIFA, UEFA, FSB, KE, PE, SPD, CDU, EPL, TSUE, nawet PCK, stop wszystkim nazwom, jak mawia posłanka Wcisło. Każdy, kto nie powiesił naszego baneru na płocie albo powiesił, ale zakrył go potem praniem, już dziś może się spodziewać kontroli OBWE, a w ostateczności oddziału kolegi Nitrasa, prawej ręki Rafała, której używałem do pilnowania wyniku wyborów. I tu nie chodzi o szukanie kozłów ofiarnych, bo mamy ich w partii aż za dużo, do nazwisk zaraz przejdę.

Mówią mi ludzie źli do szpiku kości, symetryści albo, co gorsza, sztabowcy nasi zakłamani, niech im ława poselska lekką będzie, że byłem zdenerwowany podczas debaty w TVP. Ja, k..., zdenerwowany?! Było dokładnie odwrotnie, jak w tym dowcipie, w którym facet z biegunką przez pomyłkę zażywał pigułki na uspokojenie. Po tygodniu idzie na kontrolę, lekarz pyta, jak się czuje, a facet: „Super. Spokojny. Osr...ny, ale spokojny". Nie twierdzę, że napięcia nie było, ale jak się nie denerwować, kiedy człowiek po dwóch latach po raz pierwszy może zostać zapytany o lata swoich rządów? Na marszu nie pytali, na wiecach i spotkaniach z sympatykami też nie, a jak się ktoś wyrwał, to mu się głos odbierało. W mediach mam przyjaciół, o których panu Wajdzie nawet się nie śniło i których „mogę nacisnąć", kiedy zechcę. Jak byłem premierem, to żeśmy naczelnego „Faktu" w kwadrans wyrzucili. Czołówki „Rzeczpospolitej" przy śmietniku moi ludzie konsultowali, a w TVP było „kopiuj-wklej" z TVN. W takich mediach to się człowiek czuje jak ryba w sosie własnym.

Aż tu nagle – debata? Trochę jak w sklepie z lustrami, a ja raczej unikam. Już wolałem odpowiadać na inne pytania niż zadawane. Bo, przepraszam, mnie o bezrobocie pytać? To nie jest tendencyjne? Gdyby Hołownia nie rżnął głupa, że rząd sprzedał Lotos, jakby nie wiedział, że to był warunek Komisji Europejskiej, to bym się spocił nawet bez marynarki. Ale myślę sobie: okej, może mi się rączki trzęsą, karteczka się pogniotła, a zasad debaty na razie tylko ja nie ogarnąłem, ale czas coś pokazać, bo przy takich zawodnikach powinienem błyszczeć, jak jaja Faberżego, czy jak to się mówi. Potem już nic nie pamiętam, ale Kierwiński z Budką twierdzą, że wygrałem w paszczy lwa. A może nawet dalej. I że wyborów nie wygrywa się w telewizji, ale na ulicy, a pod studiem zaprzyjaźnione kamery już czekały. Jak zacząłem im mówić, że u tamtych nie ma entuzjazmu, osiem osób usnęło. Potem się okazało, że część oglądała.

To co, miałem sobie osiem gwiazdek na czole wytatuować? Czy nie widzicie, w co koziego zapędziliście swoją ostatnią nadzieję polityczną? Jak tylko wróciłem, mówiłem, że PiS to zło, to kto miał potem grozić prezydentowi wieszaniem na gałęzi, jak nie ja? Kto miał grozić, że wyprowadzi z budynków legalnie wybranych urzędników państwowych przy pomocy silnych gości? Przecież wiedzieliście, że jak słyszę, iż PiS „coś zrobił dobrze", to dostaję furii. A ile razy musiałem w tej kampanii powtarzać, że nic, co dane przez PiS, nie zostanie odebrane? Bo myśmy na nic nie mieli! Ledwie na Orliki starczyło, a i to część z nich do dziś na czarno farbuje. Przecież jak autostrady budowaliśmy, 300 firm w jednym roku zbankrutowało. Żeby nie było – ja się nigdy za króla Midasa nie miałem, więc pewnych rzeczy wolę nie dotykać. Plajtują? Trudno. Nie pracują? Smutno. Wyjeżdżają? Pa. Raz w życiu chciałem coś zmienić. Jak synowi powiedziałem: „To jest lipa, Józek". Bo on w pracy „Bąka" udawał. „Całe to Amber Gold, OLT Ekspress i te twoje wywiady z samym sobą". To mnie potem przed komisją niechcący wysypał. Tacy jesteśmy, z dziadka, pradziadka, uczciwi. Chociaż ja osobiście przywiązania do pewnych korzeni nie czuję, a do innych z kolei samo życie mnie niesie.

K..., może ja rzeczywiście za mało o pojednaniu mówiłem? Może trzeba było nie mieszać Palikota z Niesiołowskim w jednej osobie, zwłaszcza lidera? Wiadomo, że my, ludzie z korzeniami spod zaboru pruskiego, bardziej mieliśmy do czynienia z kulturą zachodu. Chociaż już wtedy zdarzali się ludzie, którym to się nie podobało, jakaś Konopnicka czy powstańcy. Mnie federalizacja Europy, od kiedy dowiedziałem się, że po angielsku mówi się „Po-land". Jakichś migrantów musimy przyjąć. Jak to by wyglądało, że we Francji auta płoną, sklepy splądrowane, policja pod szkołami, w Niemczech policja pod bronią na basenach, we Włoszech ranni policjanci, a u nas tak normalnie, nie po europejsku. Kaczyński tego nie rozumie, bo tam nie jeździ. A ja byłem, widziałem, i nie mówię, że uśmiecha mi się gościć u nas arabskie gangi, ale skoro europejska solidarność tego wymaga, to ja nie będę teraz stawał okoniem. Zresztą decydować to ja ostatnio mogłem co najwyżej o tym, kogo wziąć na listy i czy wejdzie członcze Zielonych.

Najważniejsze, że wygraliśmy. W pewnym, oczywiście, sensie. Ale to ma sens, gdyż pokonaliśmy własne obciążenia, próbując przebić głową sufit, być może czasem nierówny. Nie muszę dodawać, że gdyby urny nie zostały sfałszowane, Rafał byłby prezydentem, a ja premierem. Niestety, w obecnej sytuacji jestem zmuszony, wprawdzie uroczyście, ale z nieskrywaną przykrością, unieważnić te wybory. Spotykamy się jutro pod ambasadą. Wiecie, którą, danke.

eprasa.pl 4ee1868b88

Kobiety niewidzialne

Ciężko mi zrozumieć, dlaczego kobiety ceniące rodzinę tak chętnie są atakowane prze panie o poglądach Magdaleny Środy

Magdalena Środa udzieliła „Dziennikowi Gazecie Prawnej" wywiadu, w którym ubolewała nad tym, że kobiety rzadziej niż mężczyźni deklarują chęć udziału w wyborach. Gdy państwo czytają te słowa, wyborcy rozstrzygnęli już o tym, kto powinien sprawować władzę w Polsce, jednak pisząc ten tekst, nie znam wyroku demokracji. Dlatego nie na wyborach się skupię, a na tym, co prof. Środa mówi o kobietach.

Zdaniem socjolog „wiele kobiet przedkłada posiadanie rodziny nad posiadanie demokracji bez świadomości faktu, że w demokracji rodzina ma się znacznie lepiej". Zupełnie nie rozumiem fałszywego wyboru między rodziną a demokracją, ale warto zauważyć, że dzięki demokratycznemu rozstrzygnięciu z 2015 r. życie rodzin w ostatnich latach zmieniło się diametralnie, m.in. z powodu programów społecznych. Pani Środa rozmawia pewnie tylko z kobietami podzielającymi głównie jej poglądy. Gdyby zechciała wysłuchać tych, które ich nie podzielają, mogłaby się dowiedzieć, że w ostatnich latach polskie rodziny mają się znacznie lepiej niż wcześniej.

Po pierwsze, dlatego, że życie wielu z nich zmieniło się dzięki programom społecznym. I to w cale nie w sposób dezaktywizujący. Wiele znanych mi mam zdecydowało się na powrót do pracy, ponieważ środki z 500+ umożliwiły im znalezienie kogoś do pomocy. Podobnie rzecz się ma w przypadku rodzinnego kapitału opiekuńczego. W kodeksie pracy pojawiła się praca zdalna, która umożliwiła łączenie pracy z życiem rodzinnym. Kobiety, które wychowały czwórkę dzieci i więcej, zostały doceniane emeryturą mama 4+. Zaś te, które wolą pracować w domu, wychowując dzieci, mogły się poczuć bezpieczniej z powodu rządowego wsparcia, zapewniającego większą stabilizację, pozwalającego realizować dzieciakom aspiracje edukacyjne.

Ciężko mi zrozumieć, dlaczego kobiety ceniące rodzinę tak chętnie są atakowane prze panie o poglądach Magdaleny Środy. Jakiś czas temu Instytut Pokolenia przygotował ciekawe opracowanie o tzw. czeskim sukcesie. Czechom udało się pokonać negatywny trend dotyczący spadku dzietności. Jednym z powodów okazały się być czynniki kulturowe. Niemal połowa Czechów (48 proc.) zgadza się z opinią, że posiadanie i wychowywanie dzieci jest obowiązkiem wobec społeczeństwa. W Polsce zaledwie 22 proc. społeczeństwa wyraża aprobatę dla tej opinii, a aż 55 proc. ma przeciwny pogląd (w Czechach jedynie jedna piąta). Zatem praca rodziców polegająca na wychowaniu dziecka jest dużo bardziej doceniana w Czechach niż w Polsce. Kobiety mają tam poczucie, że kiedy zawieszają na kilka lat pracę zawodową, żeby zająć się dzieckiem, to robią coś, co jest tak samo ważne, a może nawet ważniejsze niż praca zawodowa. Po drugie, nie spotykają się z negatywnym odbiorem społecznym, komentarzami sprowadzającymi się do tego, że rodzice, rezygnujący z pracy, by wychowywać dzieci i z tego tytułu dostający świadczenia społeczne, żyją na koszt reszty społeczeństwa. W Czechach takiej narracji po prostu nie ma. Tymczasem pamiętamy, co się działo w Polsce przy okazji wprowadzania programu 500+.

Pani Środa twierdzi też, że kobiety mogły się zniechęcić do polityki. „Gdybym oglądała politykę taką, jak ta, którą przez ostatnich osiem lat uprawia partia rządząca (a przecież młodzi innej nie znają), to byłabym zniechęcona do polityki w ogóle, bo widziałabym ją przede wszystkim jako domenę brutalnie walczących ze sobą mężczyzn. I dlatego wiele kobiet nie chce mieć z tym nic wspólnego; taka polityka nie załatwia ich spraw czy interesów, lecz jest walką o władzę dla władzy". Gdyby w ostatnich latach przy władzy była partia, którą pani Środa popiera, pewnie zauważyłaby rolę, jaką odegrały w polityce kobiety. A tak – woli mieć oczy szeroko zamknięte. Kobieta, Beata Szydło, była premierem oraz szefową kampanii prezydenta Andrzeja Dudy. Szefem Kancelarii Prezydenta RP jest kobieta – Grażyna Ignaczak-Bandych. Druga osoba w państwie to również kobieta, czyli marszałek Sejmu Elżbieta Witek. Program 500+ wprowadzała kobieta – Elżbieta Rafalska, dziś także kobieta – Marlena Maląg tę pracę kontynuuje, a jeszcze inna kobieta – Barbara Socha – przygotowała strategię demograficzną dla Polski. Ministrem finansów była Teresa Czerwińska, a jest Magdalena Rzeczkowska, w kwietniu 2022 r. mianowana przez prezydenta na stopień nadinspektora Służby Celno-Skarbowej w korpusie generałów. W Polskiej polityce i rządzie jest wiele wspaniałych kobiet. Szkoda, że dla pani Środy są one niewidzialne.

Dorota Łosiewicz

Wenezuela

Bomba migracyjna

Biały Dom wznawia budowę muru wzdłuż granicy z Meksykiem. W tej chwili zapory chroniące przed nielegalnym napływem imigrantów liczą łącznie 1 tys. km, co stanowi ok. jedną trzecią południowej granicy Stanów Zjednoczonych. Nowy odcinek ma długość 32 km i powstanie w dolinie Rio Grande w Teksasie.

Główne źródło rzeki nielegalnych migrantów zalewającej Stany Zjednoczone znajduje się w Wenezueli. Po drodze dołączają do niej drobniejsze dopływy z Ameryki Środkowej i Meksyku, lecz to właśnie wenezuelski reżim Nicolása Maduro świadomie użył bomby migracyjnej, aby zdestabilizować sytuację w USA. Ta polityka przypomina nieco działania Turcji wobec Unii Europejskiej czy też – na szczęście w znacznie mniejszej skali – Rosji i Białorusi na granicy z Polską i państwami bałtyckimi. Chodzi o to, by za pomocą presji migracyjnej zmusić przeciwnika do ustępstw.

Według amerykańskich danych blisko 0,25 mln imigrantów w ub.r. podatkowym próbowało nielegalnie przekroczyć granicę z Meksykiem. Ich przytłaczającą większość stanowili obywatele Wenezueli. Liczba nielegalnych przekroczeń dramatycznie rośnie od lipca br. W ciągu zaledwie jednego dnia, 23 września, zanotowano blisko 50 tys. prób przekroczenia granicy przez Wenezuelczyków. W rezultacie Joe Biden „nie chciał, ale musiał" zgodzić się na dalszą budowę muru.

Kryzys migracyjny w Ameryce należy do największych na świecie. Jak wynika z danych ONZ, Wenezuelczycy są najliczniejszą grupą imigrantów. Z Wenezueli wyemigrowało aż 7,7 mln ludzi – więcej niż z Ukrainy (6,2 mln) i z Syrii (5,2 mln). Gigantyczna rzeka uciekinierów z pogrążonej w ubóstwie i chaosie Wenezueli rozlewa się po całym kontynencie amerykańskim. Przykładowo liczba imigrantów z tego państwa w takich krajach jak Chile, Kolumbia i Peru wzrosła w ostatnich latach o ponad 1 tys. proc. Większość z nich kieruje się jednak w stronę Stanów Zjednoczonych. Przemieszczające się masy ludzi są tak wielkie, że doprowadziło to do kryzysu w Panamie, a w sąsiedniej Kostaryce ogłoszono stan wyjątkowy.

Amerykanie na różne sposoby próbowali walczyć z wenezuelską imigracją. M.in. wpuszczano do USA tylko tych Wenezuelczyków, którzy mogli wykazać, że mają w Ameryce kogoś, kto zapewni im utrzymanie. Biały Dom wymusił także na władzach Meksyku cofnięcie ruchu bezwizowego z Wenezuelą.

Wszystkie te zabiegi niewiele pomogły. Wenezuelczycy nadal nadciągali, a odesłać ich nie było jak, bo reżim Maduro nie przyjmował z powrotem własnych obywateli. Z kolei demokratyczna administracja w Waszyngtonie „z powodów humanitarnych" nie zgadzała się na ich cofnięcie do Meksyku. Pozostało więc rozwiązanie z czasów Trumpa – mur.

Fot. David Peinado Romero/Shutterstock.com

Podwodne zbrojenia

Tajwan

Pod koniec września Tajwan zwodował swój pierwszy okręt podwodny Narwahl. Docelowo do służby ma wejść osiem jednostek tego typu, choć przed 2027 r. trudno się spodziewać, że zostaną zbudowane i oddane do eksploatacji więcej niż dwa okręty.

Zwodowanie Narwahla, uzbrojonego w 48 amerykańskich torped i zbudowanego w całości, choć ze znaczącą pomocą kooperantów z Zachodu, w tajwańskiej stoczni znacznie zwiększy zdolności obronne kraju, do tej pory dysponującego dwoma przestarzałymi okrętami podwodnymi zakupionymi w latach 80. od Holandii. W kolejnej dekadzie Tajwan próbował dokupić osiem okrętów podwodnych od Stanów Zjednoczonych, lecz jego prośbę odrzuciła administracja Clintona obawiająca się zaognienia stosunków z Pekinem.

Obecna rozbudowa potencjału morskiego Tajwanu wzbudziła w środowisku ekspertów ożywioną dyskusję. Krytycy wskazywali, że 1,5 mld dol. wydane na budowę Narwahla można było spożytkować lepiej. Ich zdaniem Tajwan powinien postawić na budowanie zdolności asymetrycznych, np. na flotę niewielkich kutrów wyposażonych w rakiety do zwalczania okrętów, co dawało większe możliwości odstraszania. Zwolennicy okrętu podwodnego argumentują z kolei, że wielkie projekty mobilizują opinię publiczną i świat polityki, co przyczynia się do wzrostu wydatków na obronność. Zwracają też uwagę, że chińska marynarka wojenna, dysponująca zaawansowaną technologią, będzie miała poważne problemy z wytropieniem i zniszczeniem okrętu podwodnego klasy Narwahl, co skomplikuje chińskie plany inwazji lub blokady Tajwanu.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że bez względu na różnorodne opinie tajwański program budowy okrętów podwodnych jest mocno spóźniony. W świetle amerykańskich ocen Chiny już w 2027 r. staną się gotowe do inwazji. Do tego czasu Tajwan będzie miał w służbie jedynie dwa okręty najnowszej klasy, a to może się okazać zbyt mało.

Marek Budzisz

Fot. shutterstock

eprasa.pl 4ee1868b88

Belgia

Biskup za eutanazją

Biskup Antwerpii Johan Bonny w wywiadzie dla gazety „Le Libre" opowiedział się za eutanazją, mówiąc o niej, że „nie musi być koniecznie złem samym w sobie". Hierarcha zdystansował się od obowiązującego nauczania Kościoła, mówiącego dokładnie coś przeciwnego – że eutanazja jest złem samym w sobie niezależnie od okoliczności. Jego zdaniem jest to „zbyt prosta odpowiedź, która nie pozostawia miejsca na rozeznanie". Zamiast tego zaproponował, aby każdy przypadek oceniać indywidualnie, na podstawie konkretnych uwarunkowań. W ten sposób odrzucił etykę absolutną na rzecz etyki sytuacyjnej, dokonując relatywizacji moralnej czynu uznawanego przez Kościół za grzech ciężki.

Obecnie bp Bonny przebywa w Watykanie, gdzie uczestniczy w synodzie ds. synodalizacji. Jeszcze przed jego rozpoczęciem zapowiadał, że będzie na nim postulował zmianę nauczania Kościoła na temat homoseksualizmu. W sumie nic w tym dziwnego, jest on bowiem z jednym z autorów liturgicznego obrzędu błogosławienia par jednopłciowych w świątyniach, ogłoszonego przez biskupów flamandzkich. Podczas niedawnego zgromadzenia drogi synodalnej w Niemczech biskup ujawnił także, iż podczas wizyty belgijskich hierarchów w Watykanie Franciszek miał zaakceptować przedstawiony mu rytuał takiego błogosławieństwa.

Johan Bonny jest przedstawicielem nowego pokolenia dostojników katolickich, którzy ujawnili się podczas obecnego pontyfikatu. Kwestionują oni publicznie niemal wszystkie elementy nauczania moralnego Kościoła, stojące w sprzeczności z poglądami lewicowo-liberalnymi. Za czasów Jana Pawła II czy Benedykta XVI tego rodzaju deklaracje byłyby niemożliwe, ponieważ tacy hierarchowie byli przez Stolicę Apostolską natychmiast dyscyplinowani, np. bp Jacques Gaillot z Francji został przez papieża odsunięty od kierowania diecezją, gdy opowiedział się za błogosławieniem par homoseksualnych. Dziś biskupów, w tym kardynałów, otwarcie występujących przeciw nauce Kościoła są dziesiątki. W przeszłości podobne zjawiska zawsze prowadziły do schizm i herezji.

Grzegorz Górny

Kurs ciemnoty i zabobonu

Wielka Brytania

„Magia jest częścią naszego codziennego życia. Odpowiedzialni uczeni powinni potraktować to poważnie". To nie fragment z sagi o Harrym Potterze, uczniu Szkoły Magii i Czarodziejstwa w Hogwarcie, lecz zapowiedź studiów magisterskich z magii i nauk okultystycznych, jakie od nowego roku akademickiego będzie można podjąć w Instytucie Studiów Arabskich i Islamskich na Uniwersytecie w Exeter w Wielkiej Brytanii.

Koszt dwuletniego kursu prowadzonego przez jeden z najbardziej znanych w Europie ośrodków badań o świecie arabskim wynosi ponad 24 tys. funtów. Można też zapisać się na roczne studia za połowę tej ceny. Jak reklamuje uczelnia, kurs da możliwość zdobycia „interdyscyplinarnej wiedzy specjalistycznej na temat historii ezoteryki, czarów, magii rytualnej, nauk okultystycznych i tematów pokrewnych".

Inicjatywa jest odpowiedzią uczelni na obserwowany na świecie wzrost zainteresowania magią i okultyzmem. Zdaniem prof. Emily Selove to w tej chwili jeden z najpilniejszych problemów naszego społeczeństwa. Chodzi o wzrost popularności zakorzenionych w folklorze tradycji pogańskich, czarów, kart tarota i kryształów, rozumianej jako reakcja na upadek zorganizowanej religii. „Dekolonizacja, badanie alternatywnych epistemologii, feminizm i antyrasizm stanowią sedno tego programu" – wyjaśnia Selove. I tu przestaje być zabawnie, bo „alternatywne epistemologie" mają uzasadniać rewizję założenia, że Zachód jest centrum racjonalizmu i nauki, co wciąż leży u podstaw zachodniej kultury, a reszta świata to miejsce „magii i przesądów".

Program obejmie wiedzę o obecności praktyk magicznych na przestrzeni dziejów, w literaturze, filozofii, archeologii, socjologii, psychologii, dramacie i religii. Studenci mają poznać obecność tradycji magicznych w kulturze starożytnej Grecji i Rzymu, tekstach okultystycznych w judaizmie, chrześcijaństwie i islamie, historię czarów, magię w literaturze i folklorze, nauce, medycynie, a także zjawiska oszustw i iluzji. W programie znajdą się np. wykłady o obecności smoków w zachodniej literaturze i sztuce czy seminarium z filozofii psychodelików.

Radykalną dechrystianizację zachodniej cywilizacji Fryderyk Nietzsche lirycznie uchwycił w pojęciu „śmierć Boga". Dostrzegł, że w jego miejscu pojawił się chaos znaczeń i sensów, a kultura została pozbawiona stałych i stabilnych wartości. Jeśli ludzie przestali wierzyć w Boga, to nie oznacza, że nie wierzą w nic, ale że są gotowi uwierzyć we wszystko. Bo – jak twierdził Ernst Jünger – „na opuszczonych ołtarzach gnieżdżą się demony".

Maciej Walaszczyk

Fot. shutterstock x2

eprasa.pl 4ee1868b88

Jan Pietrzak

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Piosenki i historia

„Co zrobimy z naszą wolnością, jaki kształt jej nadamy od jutra? Czy rozkwitnie barwną radością, czy przywiędnie, chora i smutna?" – śpiewałem u progu III Rzeczypospolitej. W gruncie rzeczy przy każdych wyborach jak mantra powraca to fundamentalne pytanie. Dopóki nie zostanie zakończona procedura ustalania werdyktu, jeszcze trochę nerwów będzie nas kosztować kolejny krok z PRL do Polski. Również na ten temat napisałem piosenkę. O tym, jak wędrujemy „szlakiem wiary, nadziei, tęsknoty. Cel wędrówki niepewny, los wędrowców nie prosty, zdarte buty i ciężkie kłopoty".

No właśnie, okazuje się, że kłopotów nawet w suwerennej ojczyźnie nie brakuje. Były takie lata, po zamachu smoleńskim, że mocno zwątpiłem w naszą świeżo odzyskaną niepodległość. Rządzili Polską żenujący sługusi Moskwy i Berlina. Napisałem abominacyjnie brzmiący refren: „Mamy niby wolną Polskę, cel pokoleń wielu, rzygać chce się, rzygać chce się tak jak w peerelu!".

Po raz pierwszy czułem się obco w posierpniowej Polsce. Z natrętnym uporem wracała ostatnia zwrotka z „Murów" Jacka Kaczmarskiego, o tym śpiewaku, co został sam. „Patrzył wsłuchany w kroków huk, a mury rosły, rosły, łańcuch kołysał się u nóg". W takim nastroju łatwo można było dostrzec, że morderstwo smoleńskie było świadomym aktem zniewolenia Polski. Zacząłem śpiewać „Smoleńską balladę". I utworzyłem Towarzystwo Patriotyczne, ponieważ w państwie Tuska polski patriotyzm był spychany do kąta. Kwitła pedagogika wstydu. Doszło do tego, że święto flagi państwowej obchodzono w kolorze różowym. Biało czerwone barwy drażniły wyznawców „für Deutschland". A pieśń „Żeby Polska była Polską" została wyrzucana ze wszystkich mediów włącznie z autorem. Ówczesny mainstream znalazł się w blisko 100 proc. pod protektoratem niemieckim, w tle mając wszędobylskich ludzi Putina.

Cóż ja, samotny śpiewak, mogłem zrobić, by nie poddać się dojmującej depresji? Napisać kolejną piosenkę. „Polska naszych marzeń, kraj radosnych snów, w zgiełku dni i zdarzeń nam rozkwitnie znów. Mądra i szlachetna jak Herberta wiersz, jak legenda święta, z głębi naszych serc". Tak się kiedyś stanie...!

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Homoseksualizm przenoszony drogą płciową

Dominik Zdort

Przy każdej kolejnej aferze seksualnej z udziałem księży wracają pytania. Po pierwsze, jak to możliwe, że wśród duchownych jest – proporcjonalnie – tylu homoseksualistów. W społeczeństwie żyje (jak twierdzą aktywiści LGBT+) nawet 10 proc. osób „nieheteronormatywnych", a kościelne afery z podtekstem gejowskim to nie 10 proc., a grubo ponad połowa ujawnionych występków.

Oczywiście seminaria przyciągają osoby o tego typu złych skłonnościach, bo w zamkniętych miejscach, w dodatku w systemie hierarchicznym, łatwiej upatrzyć sobie ofiarę i ją wykorzystać. Ks. Józef Augustyn, od lat zajmujący się tym problemem, w 2002 r. po ujawnieniu przez „Rzeczpospolitą" sprawy abp. Juliusza Paetza, twierdził, że „struktury Kościoła nie rodzą homoseksualistów". Po 20 latach, gdy ujawniano liczne przypadki księży będących homoseksualistami, można mieć wątpliwości.

Zaledwie parę dni temu w wywiadzie dla KAI ten sam ks. Augustyn wspominał o znanych mu sytuacjach, gdy „seminarzysta prowokuje homoseksualnie kolegów". „Aktywni zakamuflowani homoseksualiści w środowisku kapłańskim czy zakonnym [...] prowokują kolegów księży czy kleryków, zwykle młodszych i słabszych psychicznie. Sprawdzają granice ich odporności moralnej, niekiedy w oparach alkoholu" – opowiadał duchowny.

Homoseksualizm nie jest bowiem przypadłością genetyczną – rewelacja o odnalezieniu genu gejostwa okazała się, delikatnie mówiąc, mocno przesadzona. Zresztą, gdyby tak było, to „kochający inaczej" powinni w końcu wymrzeć, bo przecież w bardzo wielu przypadkach – szczególnie w ostatnich dekadach – nie wchodzą już w kamuflujące ich skłonności związki z kobietami, a więc zazwyczaj nie mają dzieci, którym mogliby przekazać ów „zły" gen.

Czas stwierdzić wprost: homoseksualizm to choroba przenoszona drogą płciową. Roznosi się przez uwiedzenie, a często gwałt na dziecku. Wystarczy przypomnieć o przypadkach mężczyzn, skarżących się w sensacyjnych filmach dokumentalnych, że byli niegdyś ofiarami księży pedofilów: iluż spośród nich zostało gejami!

W tym sensie kościelne koterie zamieniające seminaria w przybytki obsługujące dewiantów w sutannach (przypadek sosnowiecki sprzed dekady?) „rodzą homoseksualistów". Jedynym rozwiązaniem jest wypalić wirusa rozpalonym żelazem, zanim jeszcze bardziej się rozniesie.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 4ee1868b88

BRONISŁAW WILDSTEIN

Stawka wyborów

Czytelnicy mojego felietonu w przeciwieństwie do mnie znają już wyniki wyborów. Lecz nad ich znaczeniem mogę zastanowić się nawet bez tej wiedzy. A jest ono istotne. Wprawdzie nie tak, jak deklarują obie strony, tzn. nic ostatecznie nie rozstrzygną – wydarzenia takie zdarzają się w historii niezwykle rzadko – lecz na dłuższy okres określą stan rzeczy w Polsce, regionie i, być może, w Europie. Prawdopodobne też, że spowodują krótkotrwały pat.

Wystarczy rzut oka na media zachodnie z CNN włącznie i ich zainteresowanie naszymi wyborami oraz stanem Polski, żeby zdać sobie sprawę z ich wagi. To uderzające, że jej międzynarodowe znaczenie najbardziej minimalizują obrońcy III RP. Jednocześnie obecne wybory traktują jako akt fundamentalny, który ich zdaniem może zablokować demokrację albo ją przywrócić, czyli doprowadzić do tego, „aby było, jak było". A więc sprowadzić Polskę do stanu z czasów rządów PO-PSL, kiedy pozycja państwa ulegała postępującej degradacji, bo jej wagę trudno mierzyć liczbą poufałych klepnięć w barki naszych rządzących ze strony możnych tego świata. Przy ich aplauzie przekształcaliśmy się nie w kolejny land RFN, gdyż w tym federalnym kraju landy mają znaczenie, lecz w niemiecką neokolonię, bez reszty zależną od centrali i stanowiącą jej gospodarcze zaplecze.

I to określa stawkę obecnej gry politycznej. Czy Polska będzie samodzielnym, podmiotowym państwem, stanowiącym ośrodek integracji Międzymorza, regionu mogącego się stać drugim biegunem Europy, czy zostanie zepchnięta do roli wasala Berlina, podporządkowanego jego interesom?

Dlaczego jednak w Polsce tak duża część obywateli popiera drugi człon tej alternatywy, a więc zależność i podrzędność, a tym jest głosowanie na wszystkie ugrupowania III RP od PO po lewicę? Jak zawsze znacząca część wyborców nie zdaje sobie sprawy, o co chodzi w polityce. Wyobrażenie, iż są oni kierowani swoim indywidualnym interesem, jest na wyrost. Musieliby mieć świadomość tego, co go wyznacza, a to nie jest jednoznaczne. Czy są nim doraźne, czy długotrwałe korzyści materialne i czy dostrzegają ich związek z rozwojem całego kraju? Wiedza na ten temat jest utrudniona, gdyż aby ją uzyskać, trzeba się przebić przez intensywną a wielostronną propagandę mediów i ośrodków opiniotwórczych, których przekaz wyznaczają interesy oraz ideologiczne preferencje. W Polsce dodatkowo podlane jest to sosem historycznych kompleksów spowodowanych naszą długotrwałą zależnością i marzeniami o „powrocie do Europy". Dziś tę Europę utożsamiamy z Brukselą i chętnie słuchamy głupawej formułki, która każdą próbę niezależnej polityki określa jako „brząkanie szabelką". Po latach zależności od Wschodu chcemy wierzyć, że na Zachodzie pragną wyłącznie naszego dobra, które w ramach „końca historii", a więc epoki przezwyciężenia podstawowych konfliktów dzielących glob, ma być tożsame z ich własnym. Chcemy polegać na kompetencjach zasiadających w Brukseli mędrców. Zwłaszcza że potwierdza je tak wielu „ekspertów" i „fachowców". Rzecznicy takiej postawy, ścigając widmo nieistniejącej polskiej megalomanii, pogłębiają trapiącą nas mikromanię. A na kompleksach zbudować niczego nie sposób.

„Kultura jest źródłem postrzegania własnej identyfikacji oraz potencjalnych zagrożeń wewnętrznych lub zewnętrznych [...]. Może być ona źródłem pragnienia suwerenności lub dążenia do podmiotowości danej wspólnoty politycznej – narodowej lub regionalnej. Lecz deficyty kultury lub identyfikacji politycznej mogą powodować, że określona wspólnota poddaje się zewnętrznej zależności zarówno na płaszczyźnie geokulturowej, jak i geoekonomicznej. W ten sposób kultura jest fundamentem zarówno dla niezależności, jak i dla zniewolenia" – to cytat dotyczący stanu ducha Polski z wydanej właśnie książki „Geokultura – czyli o związkach geopolityki z kulturą" prof. Tomasza Grosse, jednego z rzeczywiście wiarygodnych specjalistów w tej dziedzinie. Pozycja ta stanowi chyba najbardziej wyczerpujące i rzetelne omówienie zarówno stanu UE dziś, jak i miejsca w niej naszego kraju.

Geopolityka to analiza wpływu położenia geograficznego na sytuację polityczną określonych krajów. Jej twórcy na początku XX w. wskazywali na wielkie znaczenie naszego regionu. Angielscy, francuscy czy niemieccy myśliciele uznawali go za klucz do panowania nad Europą, a być może i Euroazją. Dotychczas region ten podporządkowany był albo Rosji, albo Niemcom, lecz to właśnie dziś pojawia się szansa na jego uniezależnienie, a więc odegranie kluczowej roli dla współczesnej Europy również naszego kraju. Kompromitacja Rosji spowodowana agresją na Ukrainę, jak i Niemiec, których polityka umożliwiła tę agresję, a także zrozumienie roli tego regionu w globalnej grze przez USA otworzyły przed Polską historyczną szansę. Wybory obecne odpowiedzą na pytanie: czy z niej skorzystamy?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4ee1868b88

Walizka Natalii Rzeźniczak

dziennikarki TVP Info

Od zawsze wiedziałam, że chcę zobaczyć świat. Poznać nowe miejsca, zapachy, kulturę. Nie wiedziałam, jak to zrobię, ale byłam pewna, że mi się uda. Moja przygoda z samodzielnym podróżowaniem rozpoczęła się, kiedy miałam 16 lat i wyjechałam na trzy miesiące na Tajwan. Powiedzieć, że była to przygoda życia, to jak nie powiedzieć nic. Później nie wyobrażałam sobie życia bez podróży, ekscytacji i adrenaliny przed każdym wyjazdem w nieznane. Dzięki pracy jako modelka zwiedziłam Azję i Europę, gdzie poznałam wielu ludzi, nauczyłam się samodzielności i pokory. Przez trzy lata mieszkałam w pięknym, zaskakującym i pełnym kontrastów kraju, jakim jest Brazylia. Miejsce, które przyjęło mnie z otwartymi ramionami i pokazało, że niewiele trzeba, aby być szczęśliwym (czytaj: tylko słońce 365 dni w roku, plaża i woda kokosowa). W 2020 r. rozpoczęłam najpiękniejszą podróż zwaną macierzyństwem – to się dopiero nazywa podróż w nieznane!

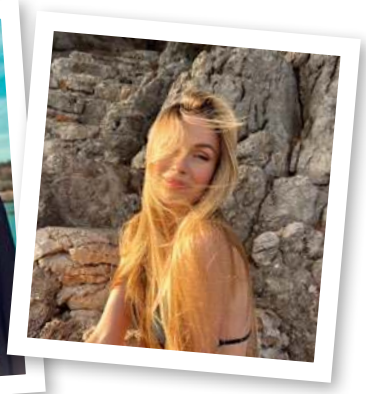

ZDJĘCIE MOJEGO SYNKA

Małe zdjęcie Juliana zawsze jest ze mną w portfelu. I pewnie kilka tysięcy w galerii zdjęć w telefonie. Nie bez przyczyny mówią, że kiedy śmieje się dziecko, śmieje się cały świat.

AUTA

Auta i jeszcze więcej samochodów. Książeczki i samochodziki. Są zawsze ze mną, szczególnie kiedy podróżuje z dzieckiem. Ale nie tylko – często będąc w pracy i szukając czegoś w torebce, znajduję schowane przez młodzieńca samochodziki.

eprasa.pl 4ee1868b88

BUTY

Im dziwniejsze, tym lepsze! Ponieważ swój styl określiłabym jako minimalistyczny i nie noszę biżuterii, buty muszą się wyróżniać. Uwielbiam kowbojki, a na co dzień obuwie sportowe. W końcu bieganie za energicznym trzylatkiem w butach na obcasach to kiepski pomysł (mówię z doświadczenia).

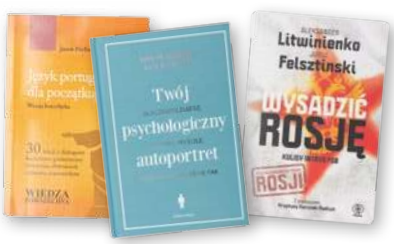

KSIĄŻKI

Głównie kryminały, reportaże i książki psychologiczne, ale także podręczniki do nauki języków obcych. Te od zawsze były moimi ulubionymi przedmiotami w szkole. Sama nauczyłam się portugalskiego podczas trzyletniego pobytu w Brazylii.

KOSTIUM KĄPIELOWY I OKULARKI

Bardzo lubię pływać, wypoczywać przy wodzie – czy to morze, czy basen. Pływanie mnie relaksuje, jest to jedyna czynność, podczas której potrafię się wyłączyć. Nie myśleć o sprawach bieżących lub o tym, co muszę zrobić – tylko ja i liczenie przepłyniętych długości basenu („25, 25, 25... zaraz będzie 26").

MARYNARKI

Posiadam sporą kolekcję, prawie w każdym kolorze. Marynarki noszę cały rok, uważam, że „robią robotę". Lubię to, że można je nosić nie tylko w eleganckich stylizacjach, lecz także na sportowo (mój faworyt).

SŁUCHAWKI I GŁOŚNIK

Muzyka towarzyszy mi zawsze i wszędzie. W podróży, w drodze do pracy, w pracy, w domu. Na mojej playliście obecnie króluje muzyka brazylijska, m.in. Seu Jorge i zespół Natiruts. Z polskich wykonawców O.S.T.R, a z zagranicznych LANY, Lauv, Sam Smith lub James Arthur – na jego koncert wybieram się w lutym.

PERFUMY

Uważam, że tych nigdy za wiele. Towarzyszą mi codziennie w torebce, lubię je zmieniać, dopasować do nastroju, ubioru czy pory roku. Mam kilka ulubionych (niezmiennych) zapachów, ale uwielbiam testować nowości.

TELEFON

Czyli moje centrum dowodzenia na co dzień i w podróży. Nawigacja i profesjonalny aparat fotograficzny pod ręką. Na dzień dzisiejszy w mojej galerii znajduje się 18 647 zdjęć i filmików – w tym spokojnie 10 tys. mojego syna.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor; archiwum prywatne bohaterki

eprasa.pl 4ee1868b88

OGNIEM NA WPROST

Ziemia za NATO

Andrzej Rafał Potocki

Czysta fikcja, czyli wybory prezydenckie w Kacapii, mają się odbyć 17 marca 2024 r. Według portalu Europejska Prawda, który cytuje przegląd informacyjny Służby Wywiadu w Ministerstwie Obrony Wielkiej Brytanii, do dnia elekcji w Federacji Moskiewskiej nie będą podejmowane decyzje niecieszące się akceptacją społeczeństwa. Najmniej popularnym ruchem Kremla jest i będzie ogłaszanie nowych fal mobilizacji. Anglicy są przekonani (potwierdza to wywiad), że w nadchodzących wyborach żadna mobilizacja nie zostanie przeprowadzona. Stoi to w sprzeczności z ogłoszonym niedawno komunikatem ukraińskiego wywiadu, iż Rosjanie przygotowują się do przeprowadzenia kolejnej mobilizacji. Mają jakoby powołać pod broń od 400 tys. do nawet 700 tys. rekrutów. Przypuszcza się, że dyktator rozpocznie kampanię wyborczą w listopadzie 2023 r. Wywiad brytyjski podkreśla: mimo iż Kreml w pełni kontroluje elekcję, to jednak pozostaje ona głównym narzędziem do legitymizacji politycznej. Zaznacza się także, że niemal na pewno Władimir P. w trakcie kampanii wyborczej skupi się na mówieniu o Rosji jako odrębnej cywilizacji, potrzebującej ochrony przed wrogami zewnętrznymi. Wcześniej wywiad brytyjski informował, iż z powodu poborów do wojska w sektorze obronności Kacapii widoczny jest niedobór pracowników. Najbardziej odczuwa to branża komputerowa. Do tej pory Moskwa zaangażowała w konflikt ok. 1 mln żołnierzy, z czego ponad 300 tys. to straty bezpowrotne (zabici i ciężko ranni). Tak czy inaczej zwiększają się w ten sposób szanse na powodzenie ofensywy, którą Kijów zamierza prowadzić nawet w zimie. Brakuje tylko odpowiedniej broni (pierwsze samoloty F-16 z Danii trafią na Ukrainę dopiero na przełomie marca i kwietnia 2024 r.). Ale to już problem USA i całego Zachodu.

Szef ukraińskiego wywiadu wojskowego HUR Kiryło Budanow, opisując w artykule pt. „Operacje HUR: Krym, Enerhodar, śmigłowiec" najzuchwalsze operacje przeprowadzone przez ukraiński wywiad, wrócił do porwania moskiewskiego helikoptera Mi-8, czyli przedsięwzięcia o kryptonimie „Sikorka". Przyznał, że najtrudniej było namówić do tego 28-letniego pilota Maksima Kuzminowa. Budanow twierdzi, że lotnik się denerwował i nie bardzo wierzył, że wszystko się uda. Ukraiński wywiad prowadził z nim długie rozmowy i udzielił gwarancji bezpieczeństwa, zwłaszcza w trakcie wyjścia z rosyjskiej i wejścia w ukraińską przestrzeń powietrzną. „Część techniczna operacji, czyli wywiezienie członków jego rodziny, to też było niełatwe zadanie – dodaje Budanow. – Myślę, że w całej historii ludzkości nie przeprowadzono więcej niż pięć, siedem takich operacji". W czasach ZSRS amerykańskie służby namówiły sowieckiego pilota, by porwał MiG-25 i przerzucił ten naddźwiękowy myśliwiec do Japonii. „Operacje tego typu są bardzo trudne i z całą pewnością nie mogą być taśmowe. Mogę jednak powiedzieć już teraz, że aktualnie pracujemy z kolejną dwójką Rosjan" – podsumowuje Budanow. Pozostaje tylko życzyć powodzenia.

Redakcja ukraińskiego serwisu branżowego Defense Express chwali polskie zakłady zbrojeniowe Bumar-Łabędy za ekspresową naprawę czołgów Leopard uszkodzonych podczas działań na froncie. Gliwickie zakłady od lat rozwijają wiedzę i doświadczenie w konserwacji czołgów. Warto wspomnieć, że były one głównym wykonawcą modernizacji nabytych przez Polskę czołgów Leopard 2A4 do nowoczesnej wersji Leopard 2PL/M1. Utworzony specjalnie na terenie zakładów hub remontowy zajmuje się teraz naprawami ukraińskich Leopardów, głównie maszyn w wersji 2A4 i 2A6. Widać wyraźnie, że choć są one łatwe w konserwacji, to robota dosłownie pali się naszym chłopakom w rękach.

Na zakończenie warto zatrzymać się nad wywiadem, jakiego Witoldowi Juraszowi udzielił Aleksy Arestowicz. 1 grudnia 2020 r. szef kancelarii prezydenta Ukrainy Andrij Jermak powołał Arestowicza na swojego doradcę ds. komunikacji strategicznej w dziedzinie bezpieczeństwa narodowego i obrony. Czyli w zasadzie Arestowicz to „usta Jermaka". W wywiadzie nie tylko atakuje on bezpośrednio prezydenta Zełenskiego i deklaruje chęć startowania w wyborach. Przedstawia „kompromisową", ale konkurencyjną wobec stanowiska Zełenskiego (i znacznie bardziej ograniczoną) propozycję pokoju, opartego na zasadzie „ziemia za NATO". Mówi też, że Donbas to dla Ukrainy obecnie obciążenie i zalążek ponownych konfliktów, proponuje rezygnację z tego terenu. Wypowiedzi takie rzucają snop światła na koncepcje porozumienia Ukrainy z Niemcami kosztem Polski. To, że podobne pomysły są niewiele warte, pokazuje *casus* Izraela i Palestyńczyków – tam też była „ziemia za pokój". Żydzi stracili ziemię, a pokoju nie zyskali. No i mamy „krawaciarzy" z Kijowa w akcji.

Współpraca „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4ee1868b88

Po referendum

Marta Kaczyńska-Zielińska

Suwerenność to jeden z filarów państwa. Pojęcie suwerenności odnosi się do narodu. Według Konstytucji RP naród jest w naszej ojczyźnie suwerenem, a więc zwierzchnikiem, mającym przymiot swobody decydowania o swoim losie. W postanowieniu zawartym w art. 4 konstytucji wolę narodu uznano za jedyne źródło władzy i sposób legitymizowania sprawowania władzy. W polskiej ustawie zasadniczej zapisano, że zwierzchnictwo narodu może być sprawowane pośrednio poprzez wybory i bezpośrednio w formie referendum, które przy odpowiedniej frekwencji wiąże organy władzy. Zarówno udział w wyborach, jak i w referendum stanowią emanację suwerenności – zwierzchności narodu.

Suwerenność państwa to jego pełna zdolność do wykonywania funkcji w relacjach wewnętrznych i zewnętrznych, niezależnie od innych państw. Suwerenne państwo to takie, które posiada międzynarodowe uznanie, występuje na arenie międzynarodowej na zasadach określonych w prawie międzynarodowym i funkcjonuje wedle ram określonych w wewnętrznym porządku prawnym. Trybunał Konstytucyjny w wyroku z 24 listopada 2010 r. wskazał jednoznacznie, że „zachowanie pierwszeństwa Konstytucji RP w warunkach integracji europejskiej musi być uznane za jednoznaczne z zachowaniem suwerenności państwa". W stosunkach międzypaństwowych obowiązuje zasada równości państw względem suwerenności. Każde suwerenne państwo stoi na straży nienaruszalności swoich granic, wyznaczających jego istnienie.

Akcesja Polski do Unii Europejskiej, na którą zgodę wyraził naród w drodze referendum, to w istocie przystąpienie do organizacji międzynarodowej posiadającej osobowość prawną, zdolność prawną i własne instytucje służące do wykonywania określonych przez traktaty kompetencji. Unia, do której przystępowaliśmy, to organizacja działająca wyłącznie w granicach kompetencji przyznanych przez państwa członkowskie. Akcesja do UE stanowiła emanację suwerenności narodu i państwa. Organizacja, do której przystąpiliśmy, przyjęła nas, respektując obowiązujący w Polsce określony przez Konstytucję RP ustrój, wskazujący na najwyższą moc prawną ustawy zasadniczej i, jak już wspomniano, czyniącą naród suwerenem.

Suwerenność poszczególnych państw zostałaby zniesiona z chwilą przekształcenia organizacji międzynarodowej, którą jest UE w państwo federalne, do czego od dłuższego czasu dążą Niemcy, przeciążeni kryzysem migracyjnym i od lat dążący do dominacji w Europie. Utworzenie z UE państwa federalnego lub rezygnacja z zasady jednomyślności zaprzepaściłyby idee leżące u jej podstaw (Robert Schumann opowiadał się za wspólnotą wolnych, równorzędnych parterów) i stałoby się narzędziem wymuszenia na poszczególnych członkach respektowania inicjatyw, a te w świetle obowiązujących przepisów prawa, w szczególności według polskich reguł konstytucyjnych, nie mogą nam zostać narzucone.

Przykładem jest sprawa przymusowej relokacji imigrantów, której wdrożenie nie jest możliwe w RP, o ile sprzeciwiają się temu przedstawiciele władzy lub obywatele, wyrażający swoje zdanie w referendum i których opinią organy władzy są związane. UE jako organizacja międzynarodowa nie ma praw suwerennych, istnieje bowiem wyłącznie dzięki kompetencjom przekazanym aktem umowy międzynarodowej przez państwa członkowskie. Instytucje wspólnotowe nie są suwerenne, ponieważ służą wyłącznie wypełnianiu określonych kompetencji ustalonych przez państwa członkowskie, a zasiadający w nich urzędnicy nie pochodzą z wyborów – z oczywistej przyczyny – nie istnieje bowiem jeden europejski naród, jedna europejska wspólnota, tylko suwerenne narody poszczególnych państw członkowskich. Trybunał Konstytucyjny w wyroku z 11 maja 2005 r., K 18/04 wskazał, że przepisy odnoszące się do akcesji do UE „nie mogą posłużyć do przekazania kompetencji w zakresie, który powodowałby, iż Rzeczpospolita Polska nie może funkcjonować jako państwo suwerenne i demokratyczne".

Wiążące referendum może być zatem skutecznym orężem służącym powstrzymaniu inicjatyw sprzecznych z interesem RP. Dlatego udział w nim był tak istotny.

Naszej Koleżance

KRYSTYNIE TOMKIEL

serdeczne wyrazy współczucia
i słowa wsparcia po stracie

TATY

składają
Zarząd oraz koledzy i koleżanki z Fratrii

eprasa.pl 4ee1868b88

Co teraz?

Samuel Pereira

Gdy piszę ten tekst, nie wiadomo jeszcze, w jakiej Polsce obudzimy się w poniedziałek. Opcje są trzy.

Pierwsza to kontynuacja pewnej zmiany, która zaszła w naszym kraju w 2015 r., druga to cofnięcie nas do znanej już dobrze ery Donalda Tuska, a trzecia to czas politycznej rozgrywki szachowej, gdzie liczyć się będzie czas, spryt i gra nerwów. Co jeśli nie uda się skleić większości? Przedwyborcze przecieki wskazują na większe możliwości koalicyjne Prawa i Sprawiedliwości, choć nie należałoby ignorować siły medialnej i środowiskowej presji, jaką cały czas potrafi wywrzeć salon III RP.

Jeśli jednak ten artykuł ukazuje się w czasie 3. kadencji rządów PiS, to znak, że w Polsce dokonała się trwała zmiana. Nie, nie chodzi o samą zmianę polityczną, ale sposób podejścia do państwa. Liberałów od lewicy różni kilka spraw, niezmiennie łączy jednak jedno – ciągłe oglądanie się za siebie i proszenie zagranicy o zgodę. Kiedyś na wszystko musiała się godzić Moskwa, dziś ich azymutem jest Berlin i Bruksela. PiS, jak wiele partii w Europie, ma swoje mocne i słabe strony, pakiet wartości, poglądów, które są bliskie wyborcom i jako tako są wdrażane w życie, ale łączy je z Zachodem jedno. Pewność siebie, duma z własnego kraju i postawa oddarta z kompleksów, których, niestety, salon III RP wyhodował całą masę. Widać je zarówno w polityce zagranicznej, jak i historycznej, tj. w tym, jak w teraźniejszości opowiadamy o naszej przeszłości i jak patrzymy w przyszłość. Do tego dochodzi też cały pakiet uwikłań – od tych z czasów PRL dotyczących mniejszej lub większej współpracy z bezpieką do tych ekonomicznych i własnościowych. Jeśli spojrzeć na życie publiczne przez ten pryzmat, ocena naszej rzeczywistości staje się prostsza.

Czy jako naród jesteśmy tego świadomi? W końcu w niczym nie jesteśmy gorsi od innych nacji, a nawet, można powiedzieć, że w wielu rzeczach mamy się czym pochwalić. Powodów do dumy jest wiele, a na imię jej Polska.

Autor jest dyrektorem TVP Info

To wszystko jest prawdziwe

Z reżyserem Robertem Glińskim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Kim jest tytułowy figurant w pańskim najnowszym filmie?

Robert Gliński: W esbeckiej nomenklaturze to słowo oznacza kogoś, kto był przedmiotem zainteresowania służb specjalnych, człowieka inwigilowanego, ale potocznie mówi się tak o kimś, kto niby zajmuje jakieś stanowisko, ale tak naprawdę jest marionetką w czyichś rękach. I właśnie ta druga definicja odnosi się do bohatera filmu.

Granego przez Mateusza Więcławka. Kim jest Bronek Budny?

Młodym pracownikiem SB, dostającym zadanie inwigilowania Karola Wojtyły. Film pokazuje karierę tego chłopca, który wchodzi w spiralę zła, jak Mefisto zaczyna manipulować otoczeniem, ludźmi wokół siebie. Chce mieć też wpływ na Wojtyłę, zasadza na niego jakieś pułapki, zarzuca sieci, jest pochłonięty pracą operacyjną. To jest warstwa historyczna.

W której wykorzystuje pan też sporo materiałów archiwalnych.

Przenikanie dokumentu i fabuły było moim oczkiem w głowie. Żeby to było spójne, żebyśmy nie wiedzieli, kiedy opuszczamy dokument i wchodzimy w fabułę. Starałem się też bardzo precyzyjnie odwzorować epokę, miejsca akcji: Kraków, Piwnica Pod Baranami. To wszystko jest prawdziwe.

A co wnosi do współczesnego odbioru?

Myślę, że odniesień do współczesności przede wszystkim trzeba szukać w bohaterze, wierzącym w jakąś ideę i wszystko poświęcającym karierze. Idzie do celu po trupach. Takich postaw, takich figurantów, którym wydaje się, że siedzą na stołku władzy i mają siłę, a *de facto* są nikim, jest bardzo wielu także współcześnie.

Czytaj też na str. 70–71

Fot. Kurnikowski/AKPA

eprasa.pl 4ee1868b88

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: LIEWIG CHRISTIAN/ABACA/ABACA/EAST NEWS, HASSAN ESLAIAH/ASSOCIATED PRESS/EAST NEW, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, ARTUR SZCZEPAŃSKI/REPORTER, ARTUR ZAWADZKI/REPORTER, IREK DOROŻAŃSKI/DWOT, SHUTTERSTOCK/MUHRFOTOGRAFI, HADRIAN, GRZEGORZ ŻUKOWSKI, EVDOKIMOV MAXIM, ANNIK SUSEMIHL, RESPIRO, MARES90

Pacjentka

Za sprawą do tej pory nieznanej szerzej Polki, ukrywającej przed zakochanym w niej Włochem swoją narodowość, doszło do skandalu, który odbił się głośnym echem w przyjaznym nam regionie Italii – słonecznej oraz pod wieloma innymi względami atrakcyjnej Lombardii.

Na początku historia bynajmniej nie zapowiadała sensacji. Miała przebieg, jakich znamy tysiące od początku trwania życia na ziemi. W urzekającej Lombardii, gdzie cztery słynne jeziora – Garda, Iseo, Como i Maggiore – łączą się spektakularnie z alpejskimi szczytami, w jednym z kurortów narciarskich, podczas odpoczynku po slalomowych wyczynach, w przytulnej kafejce z powodu natłoku turystów przy jednym stoliku odżywczymi sokami raczyło się dwoje nieznanych sobie wcześniej amatorów białego szaleństwa. Młoda Polka o miłej powierzchowności oraz smagły, kruczowłosy, wysoki, w podobnym co ona wieku młodzieniec z pobliskiej miejscowości Chiari.

Od pierwszej chwili nie tylko pociąg do jednej pasji wytworzył niewidzialną, magnetyczną nić silnego wzajemnego uczucia, które po jakimś czasie połączyło intymnymi więzami Polkę z mieszkańcem Italii, rozpoczynającym praktykę medyka – jak się okazało – o specjalizacji psychiatry. W pokonaniu barier kulturowych użyteczna okazała się biegłość obydwojga kochanków w języku angielskim. Niestety, Polka ukryła prawdziwą tożsamość, przedstawiając się jako Szwedka z Malmö. Zataiła też fakt, że jest polityczką, związaną z jedną z opozycyjnych w Polsce partii.

Oszustwo wyszło na jaw dopiero kilka miesięcy później podczas ceremonii ślubnej – zerwał ją włoski duchowny z powodu niedostarczenia przez pannę młodą świadectwa urodzenia. „Skłamałam – tłumaczyła zszokowanemu wybrankowi i jego rodzicom – bo mi wstyd, że jestem Polką. Na całym świecie wszyscy nas uważają za idiotów i debili – próbowała się usprawiedliwiać".

Postępowanie kobiety dotarło aż do premier Włoch Giorgii Meloni, która zatarła niesmak tego przykrego wydarzenia, mówiąc: „To jakaś wyjątkowa Polka. Istotnie idiotka".

Kiedy usłyszał to niedoszły mąż, podsumował: „I kandydatka na moją pacjentkę".

Jerzy Jachowicz

eprasa.pl 4ee1868b88

Brudna kampania opozycji

Na te wybory rzucono wszystkie siły, interesy, uliczne protesty i zagraniczne wpływy. Tusk dostał twarde polecenie: obalić rządy PiS, więc jego obóz sięgnął po instrumenty dewastujące polską demokrację i suwerenność. Byle dorwać się do władzy

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Chwilę po południu 11 października Donald Tusk w wąskim gronie zapisuje na kartce koncepcję swojego wystąpienia, orędzia do polskich żołnierzy. Pomysł pojawił się zaraz po tym, jak „Rzeczpospolita" ogłosiła, że dwóch generałów podało się do dymisji. Później informacja będzie sprostowana – nie do dymisji, ale wypowiedziało stosunek pracy, a więc – oględnie mówiąc – miało nadal pozostać w wojsku, tylko zrezygnować z konkretnie zajmowanych stanowisk, ale pierwotna wersja brzmiała bardziej dramatycznie.

Lider PO nagrywa apel o alarmistycznym wydźwięku: „W momencie szczególnym Polską wstrząsnęła dziś informacja o złożeniu dymisji przez szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, pana gen. Rajmunda Andrzejczaka i Dowódcę Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych, pana gen. Tomasza Piotrowskiego. Przed chwilą otrzymałem informacje o dymisjach kolejnych 10 wysokich oficerów dowództwa generalnego. To wszystko dzieje się w sytuacji, kiedy trwa wojna za naszą wschodnią granicą, a na Bliskim Wschodzie narasta konflikt, który może lada godzina zmienić się w konflikt globalny". W internecie anonimowe konta odpalają szokujący przekaz – PiS chce wprowadzić stan wyjątkowy, by nie oddać władzy. Tusk chce się pokazać jako siła zatrzymująca wojskową dyktaturę i sugeruje, że Andrzejczak i Piotrowski odmówili rozkazom zorganizowania powtórki z 13 grudnia 1981 r. „Chyba wszyscy w Polsce rozumiemy powody, dla których tak wielu żołnierzy, oficerów i generałów ma dosyć sytuacji, jaka zapanowała w ostatnich latach" – mówi do kamery.

eprasa.pl 4ee1868b88

Po anonimowych trollach z narracją rusza propagandowa gwardia opozycji. Justyna Dobrosz-Oracz z „Gazety Wyborczej" najpierw powtarza przeinaczoną informację z prasy: „Najważniejsi dowódcy polskiej armii podali się do dymisji!", ale później dodaje: „Nieoficjalnie: Dymisja generałów może mieć związek z przygotowaniami armii na powyborczy scenariusz". Dzień później gen. Piotr Pytel, znowu w „GW", zdradza „sekret", sugerując, że PiS przygotowuje siłową obronę władzy na wypadek przegranych wyborów. „Dlaczego mówię o tym tak śmiało? Bo w wojsku się o tym mówi i wszyscy się z tą ewentualnością liczą". Ten oficer, były szef SKW, ma szczególne powody, by brać udział w nieuczciwej grze wyborczej. Już na początku rządów Zjednoczonej Prawicy wyszły jego powiązania z rosyjską FSB, a dwa tygodnie przed wyborami TVP Info ujawniło dokumenty i nagrania, na których widać, jak Pytel i jego kolega gen. Janusz Nosek fraternizują się z rosyjskimi zabójcami z FSB na skalę niesłychaną po 1989 r. Tylko obalenie PiS i zamknięcie ust mediom może ocalić Pytla od powszechnej hańby za współpracę ze służbami Putina.

I choć nie było najmniejszych podstaw ani faktów, ani przecieków, ani zmian prawnych, ani nagrania, cytatu, żadnego ruchu, który w ogóle wskazywałby na zamiary PiS pozostania u władzy przy pomocy wojska, opozycja podkręcała tę narrację, brzmiącą jak najbardziej ordynarna wrzutka komunistycznych służb. Literalnie właśnie takimi akcjami zajmowała się Służba w sowieckim KGB (dziś FSB). A to wymyślała, że ambasador USA w Indiach przygotowuje rozbicie tego kraju na mniejsze państwa, a to Zełenski ma na Ukrainie dokonywać sekretnych czystek, a teraz rząd w Polsce ma szykować wojskowy zamach stanu. Czy wyborca ma w to wierzyć, bo generał pijący wódkę z rosyjskimi służbami zapewnia, że tak jest?

„APOLITYCZNI" NA POMOC OPOZYCJI

Ale nie tylko dezinformująca retoryka i kłamstwa opozycji są świadectwem ich nieuczciwości. Do szturmu na rządzących przystąpiły z pozoru apolityczne organizacje, które zwyczajnie włączyły się w kampanię pod przykrywką „akcji społecznych".

Jednym z przykładów jest inicjatywa „Nie daj sobie wcisnąć referendum", która namawiała do rezygnacji z udziału w tym demokratycznym wydarzeniu, ale przy oddaniu głosu w wyborach parlamentarnych. W prześmiewczym spocie aktorzy Barbara Wysocka i Alan Andersz uznają referendum za „ośmieszanie praw człowieka", ale udział w tym nagraniu twórcy uzasadniają swoimi prawdziwymi poglądami. „Zrobiłem to, bo tak uważam" – zapewniał Andersz w mediach społecznościowych. Ale to, co się kryło za akcją antyreferendalną, jest czymś więcej niż przekonaniami celebrytów. Kampanię zorganizowały m.in.: Forum Obywatelskiego Rozwoju, Instytut Spraw Publicznych, Ogólnopolska Federacja Organizacji Pozarządowych, Otwarta Rzeczpospolita i Amnesty International.

To pierwsze środowisko zostało założone przez Leszka Balcerowicza wczesną jesienią 2007 r. tuż przed wyborami. Powołało wówczas „Koalicję 21 października", która podobnymi spotami zachęcała do głosowania przeciwko PiS, ale robiono to pod płaszczykiem kampanii frekwencyjnej. Powody są oczywiste – gdyby ludzie Balcerowicza namawiali do głosowania na Platformę Obywatelską, fundusze na ich akcję musiałyby być wliczone do budżetu kampanijnego, ale akcja „obywatelska", „profrekwencyjna" przeszła z niejasno określonymi finansami, ale pod hasłem „Zmień kraj. Idź na wybory", a więc w domyśle: idź zagłosować przeciw PiS. Dziś uderza się w referendum, bo troska o bezpieczeństwo państwa – a o to chodzi w referendum – jest jedną z zasług PiS. Tak oto Amnesty International, powołana do walki o wypuszczanie z więzień opozycjonistów walczących z totalitaryzmem, dziś *de facto* forsuje Donalda Tuska na premiera.

W Ogólnopolskiej Federacji Organizacji Pozarządowych, także wspierającej

Fot. Jacek Domiński / REPORTER, Artur Szczepański/REPORTER, Christian Liewig/ABACAPRESS.COM, Shutterstock

eprasa.pl 4ee1868b88

kampanię antyreferendalną, jest m.in. Związek Harcerstwa Polskiego. Tak oto wybitnie niepodległościowa i wychowawcza organizacja została pośrednio wmontowana do wpływania na demokratyczne wybory w Polsce.

Jak pisał o środowisku Balcerowicza półtorej dekady temu Jacek Maziarski:

„FOR rozpoczęło swoją działalność we wrześniu 2007 r., a więc na miesiąc przed wyborami do Sejmu i jest rzekomo instytucją niezależną, do tej sprawy wrócimy za chwilę. Niestety, nie ma żadnej informacji o włożonym kapitale i o jego pochodzeniu – poza zdaniem, że »jego wyłącznym fundatorem jest L. Balcerowicz«". Maziarski zauważył, że FOR zakładali także bankowiec Tadeusz Syryjczyk i Jan Wejchert z TVN, zagorzali antypisowcy. „W Komitecie Programowym FOR znajdujemy nazwiska Władysława Bartoszewskiego, Andrzeja Olechowskiego, Marka Safjana, Andrzeja Zolla, Jacka Fedorowicza i wielu innych postaci o powszechnie znanej orientacji politycznej". Według oficjalnej wersji finansowania kampanii „Zmień kraj. Idź na wybory", „krótko przed wyborami 2007 r. Balcerowicz wyjął z kieszeni swoje własne pieniądze, nie korzystał oczywiście z niczyjego wsparcia, i rozpoczął niezależną, bezpartyjną i apolityczną kampanię" – ironizował Maziarski (nie mylić z Wojciechem Maziarskim, dziennikarzem „GW").

Do kampanii „apolitycznej" partyjności w tym roku dołączyła także Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Najpierw Jerzy Owsiak, którego aktywność po stronie Tuska nie jest tajemnicą, pojawił się na scenie marszu opozycji 1 października. Następnie na ulicach polskich miast pojawił się billboard WOŚP z wielkim napisem „Pokonajmy to zło. WygraMY", mającym kojarzyć się z walką z PiS. Dopiero drobny, mało zauważalny na plakacie napis „z sepsą" miał sugerować, że mamy do czynienia z kampanią prozdrowotną. Ale w jaki sposób setki, a może tysiące takich ogłoszeń mają pomóc chorym? Nawet to udawanie, że nie chodziło o obalenie obecnego rządu, słabo przeciwnikom politycznym PiS wychodziło.

NIEPOLICZALNE PIENIĄDZE

Ile pieniędzy poza oficjalnymi środkami poszło na kampanię Donalda Tuska i jego koalicjantów? Np. liczba billboardów i plakatów wyborczych od zawsze jest trudną sprawą dla Państwowej Komisji Wyborczej, która rozlicza kampanijne wydatki partii. Ani ona, ani nikt inny nie jest bowiem w stanie dokładnie sprawdzić, czy rachunek za billboardy zgadza się z ich faktyczną liczbą. Plakaty są porozrzucane po miastach, wsiach, przy drogach, zmieniają się w połowie miesiąca, pod koniec miesiąca – nie ma sposobu, by zweryfikować, ile ich jest naprawdę. A tutaj oprócz plakatów opozycji dochodzą jeszcze właśnie takie olbrzymie ogłoszenia „Wielkiej Orkiestry Platformerskiej Pomocy", czasem eksponowane w najdrożej wycenianych miejscach miast, których koszt mógł sięgać milionów złotych. Miliony dodatkowych złotych, tak ważnych, gdy partii Donalda Tuska na ostatniej prostej zaczęło poważnie brakować pieniędzy na kampanię.

> Do szturmu na rządzących przystąpiły z pozoru apolityczne organizacje, które zwyczajnie włączyły się w kampanię na rzecz opozycji pod przykrywką „akcji społecznych"

Jak ujawniono na podstawie Biuletynu Informacji Publicznej, dwa tygodnie przed wyborami Platforma zaciągnęła w mBanku (70 proc. niemieckiego kapitału) kredyt na kwotę przynajmniej 25 mln zł. W tym czasie politycy PO z Tuskiem na czele wydzwaniali do swoich wyborców z prośbą o datki, a „Gazeta Wyborcza" na froncie swojej strony internetowej umieściła odnośniki do zrzutek na pomoc partii. Opozycja jechała więc na finansowych oparach, gdy nagle pomogły niemieckie pieniądze, dziennikarze oraz Owsiak. Ale i to nie kończy listy nieprzejrzystych działań opozycji.

PODATNICY Z WROCŁAWIA

We wrześniu w mającym ogromne znaczenie medialne serwisie społecznościowym YouTube (25 mln użytkowników w Polsce) pojawiły się jeszcze inne antypisowskie spoty. I znowu formalnie niezwiązane z żadnym komitetem wyborczym. Na filmikach – ucharakteryzowani na odrażających – ludzie mający przypominać polityków i wyborców PiS mówią o tym, że dla pieniędzy będą się trzymać władzy albo o posłuszeństwie wobec proboszcza głoszącego niższość kobiet w społeczeństwie. Ten pogardliwy obraz konserwatywnej społeczności (ani księża, ani wierni w rzeczywistości nie głoszą takich poglądów) został sfinansowany w ciekawy sposób. Organizatorem była niedawno założona Fundacja „Twój głos jest ważny" z Pawłem Czumą, rzecznikiem byłego prezydenta Wrocławia Rafała Dutkiewicza, na czele. Obecne władze miasta z prezydentem Jackiem Sutrykiem są związane z Koalicją Obywatelską, zaś szef tej zniesławiającej kampanii Paweł Czuma jest współwłaścicielem lokalnej telewizji Echo24, mającej zasięgi bliskie zeru (wywiady mają czasem po kilkadziesiąt wyświetleń), ale za to mogącej pozyskiwać publiczne środki z samorządu.

Jednak akcja z „ohydnymi pisowcami" także nie jest niczym nowym. W 2019 r. również wypuszczono wiele spotów, gdzie wyglądający jak brakujące ogniwo w teorii Darwina ludzie mieli uchodzić za prawicowych działaczy. W 2007 r. szydzono, że na PiS głosują nierozumiejące świata „moherowe berety" i organizowano kampanię: „Zabierz babci dowód". Gdy wtedy wywołała ona niesmak, nikt nie mógł przypuszczać, że w świetle późniejszej brutalizacji kampanii wyborczej „zabieranie babci dowodu" będzie się jawić jako sympatyczna igraszka.

NIEMCY TEŻ PRZYSZLI Z POMOCĄ

Aktywność Berlina na rzecz Platformy aż woła o szersze opracowania naukowe.

eprasa.pl 4ee1868b88

Na potrzeby prasowe można już pominąć liczne wypowiedzi Ursuli von der Leyen czy Manfreda Webera zapowiadające wsparcie dla Tuska, czy „zaporę ogniową" przeciwko PiS. Warto jednak przypomnieć te bardziej subtelne opinie i zapowiedzi. Na początku października w Warszawie pojawił się niemiecki wiceminister spraw zagranicznych i były ambasador w Polsce Thomas Bagger. Podczas „Warsaw Security Forum" wziął udział w panelu dyskusyjnym, w którym odpór jego tezom dawał m.in. szef BBN Jacek Siewiera. Debata była poświęcona rosyjskiej inwazji na Ukrainę i dyplomata z Berlina pozornie chwalił nasz kraj: „Byłem świadkiem, jak Polska była w centrum uwagi tego geopolitycznego konfliktu". Następnie stwierdził, że nasze państwo nie wykorzystuje swojej szansy, by być ważnym krajem regionu i jako rozwiązanie podpowiedział... zbliżenie z Niemcami i Francją, m.in. poprzez reaktywację Trójkąta Weimarskiego. Siewiera ripostował, że gdyby Warszawa szła takim torem, pomoc dla Ukrainy dotarłaby za późno. Ale to Bagger zebrał oklaski od zgromadzonego w sali salonowego establishmentu. Niemiec w bezprecedensowy sposób krytykował też ministra Raua i jego postawę wobec Ukrainy, co w kontekście kunktatorstwa Berlina w obliczu tej wojny brzmi jak szyderstwo z wyszczerzonymi zębami. Ale Bagger przemawiał tak, jakby spodziewał się po wyborach rozmawiać już z innymi władzami, wspominał coś o nowych spotkaniach na koniec tego roku.

Już tylko wisienką na torcie były niemieckie pieniądze w tej kampanii. To właśnie media oparte na kapitale naszego zachodniego sąsiada były gorliwie zaangażowane w promowanie zakłamanej wizji polityki jak z przemówień Donalda Tuska, zaś Fundacja Adenauera współfinansowała Campus Polska Przyszłości Rafała Trzaskowskiego. O wieloletnim „opiłowywaniu" Polski przez przewodniczącą Komisji Europejskiej, sporach o Turów, a nawet straszeniu zamknięciem granicy z Polską można by pisać osobne artykuły.

Tak to w tej polifonicznej orkiestrze walącej w obóz Zjednoczonej Prawicy ze wszystkich instrumentów mieliśmy mocny czynnik niemiecki: pieniądze z mBanku, z Fundacji Adenauera, wysokobudżetowe media i zaangażowanie polityków zza Odry.

TWIERDZA POLSKA

Kończąc ten tekst przed ciszą wyborczą i w kwestii przewidywania wyników, mogąc oprzeć się tylko na sondażach z Nowogrodzkiej jako wiarygodnych dla obozu niepodległościowego (37 proc. dla PiS, 31 proc. dla PO), można przypuszczać, że zwycięstwo w wyborach Zjednoczonej Prawicy będzie tylko połowiczne. Na wschodniej granicy Łukaszenka z Putinem odpalają nowe prowokacje, w Brukseli gotowa jest już reforma, mająca z Unii Europejskiej zrobić superpaństwo, a nad Wisłą mamy autentyczną piątą kolumnę niemiecką. Wygłodzona władzy, stanowisk i pieniędzy opozycja, zależna od zewnętrznych mocodawców, bez zawahania będzie sięgać po najróżniejsze metody, choćby miała podpalić Polskę. Konserwatywne społeczeństwo jeszcze się trzyma, obóz Zjednoczonej Prawicy jeszcze się broni, a Polska przez ostatnią dekadę zabezpieczyła się przed wieloma kryzysami – dzięki armii, Narodowemu Bankowi Polskiemu, własnej walucie i gospodarce. Ale nie miejmy złudzeń – przed nami długa i trudna droga.

REKLAMA

14/0923/F

eprasa.pl 4ee1868b88

Lista wyzwań

10 fundamentalnych zagrożeń i problemów dla rządu wyłonionego po wyborach 15 października 2023 r. To na pewno nie będzie łatwa kadencja dla Polski

W trakcie kampanii żadna partia opozycyjna ani jej liderzy nawet się nie zająknęli, w jakich warunkach przyjdzie rządzić gabinetowi wyłonionemu po wyborach parlamentarnych 15 października 2023 r. W jak trudnych, a często wręcz ekstremalnych. Jedni nie mają o tym pojęcia, inni kompletnie się tym nie przejmują, gdyby bowiem mieli na to wpływ, przyłączyliby się do większości. W każdym wariancie byłaby to większość z Niemcami jako liderem. Warszawa nie zajmowałaby żadnego własnego stanowiska, tylko podążała za Berlinem.

STANISŁAW JANECKI

Wyjątkowość i trudność rządzenia po 15 października 2023 r. wyznaczają dwa wydarzenia o historycznej randze: zmiana ustroju Unii Europejskiej na drodze zmian w traktatach, czyli utworzenie europejskiego superpaństwa, oraz kontynuacja lub koniec wojny Rosji przeciw Ukrainie. Pierwsze wiąże się z ogromną redukcją obszaru suwerenności Polski. Drugie z agresją Rosji wobec Polski w przyszłości, a tu może być zagrożona nasza niepodległość.

Nowy ustrój Unii zagraża strukturze społecznej i narodowościowej naszego kraju, m.in. wskutek przymusowego przyjmowania nielegalnych imigrantów. Może doprowadzić do zmiany systemu wartości i prawa, przekształcających Polskę w państwo „postępowe". Z końcem lub kontynuacją wojny Rosji przeciwko Ukrainie jest związana sprawa zdolności Polski

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 4ee1868b88

do samodzielnej obrony bądź rezygnacji z tej zdolności wskutek odstąpienia od zakupów broni i sprzętu oraz scedowania tych zadań na organizacje międzynarodowe.

Między wydarzeniami o historycznej randze rząd wyłoniony po 15 października 2023 r. będzie musiał się zmierzyć z problemami wpływającymi na status materialny Polaków i Polski (co ma wpływ na pozycję międzynarodową), unitarność państwa, spójność i pokój społeczne, wieloaspektowe bezpieczeństwo, demografię czy edukację.

Łatwo przewidzieć, które siły polityczne nie poradziłyby sobie z żadnym z tych zadań i problemów, a nawet by ich nie podjęły, a które scedowałyby wszystko na zagranicę. Są też takie siły polityczne, które niczego nie rozumieją, a sprawowanie władzy traktują jak łup albo sztukę dla sztuki. Lista spraw trudnych jest długa, a by pokazać skalę trudności i powagi sytuacji, wystarczy wymienić 10 najważniejszych.

1. USTRÓJ UNII EUROPEJSKIEJ

Rząd utworzony po wyborach 15 października 2023 r. czeka najtrudniejsza kadencja z wszystkich, jakie upłynęły po 27 października 1991 r., czyli po pierwszych wolnych wyborach po 1945 r. (wybory 4 czerwca 1989 r. wolne nie były, a po nich ustrój Polski był hybrydowy). Za kadencji nowego rządu rozstrzygnie się sprawa ustroju Unii Europejskiej i zmiany traktatów (są one przygotowywane od kilku miesięcy i w październiku 2023 r. weszły w fazę przyjmowania). To będzie miało decydujący wpływ na suwerenność Polski oraz jej przyszłość jako niepodległego państwa. Chodzi nie tylko o likwidację weta i zmianę sposobu głosowania, lecz także o wyjęcie spod kontroli polskiego państwa 65 obszarów w 10 najważniejszych dziedzinach. W dwóch UE ma mieć kompetencje wyłączne, a w ośmiu kompetencje mają być dzielone, co oznacza, że Unia ma pierwszeństwo ich wykonywania i od jej „łaski" zależy, czy coś przekaże rządom państw członkowskich. Te dziedziny to: polityka zagraniczna, bezpieczeństwo zewnętrzne i obrona; polityka wobec granic zewnętrznych; środowisko; negocjacje ws. klimatu; leśnictwo; zdrowie publiczne; transgraniczna infrastruktura transportowa; obrona cywilna; przemysł; edukacja. Zmiany w traktatach będą ważne, jeśli przyjmie je większość czterech piątych państw członkowskich, a nie wszystkie. Podobnie zostaną one ratyfikowane, gdy poprą je cztery piąte państw członkowskich lub zostaną zaakceptowane w ogólnoeuropejskim referendum, a nie w referendach w poszczególnych państwach.

2. SUWERENNOŚĆ POLSKI

Zmiany ustroju UE i traktatów mają bezpośredni wpływ na status Polski jako państwa suwerennego bądź zależnego, czyli albo landu, albo guberni europejskiego superpaństwa. Gdyby to porównać do sytuacji pod koniec I wojny światowej, istnienie Polski zależałoby wyłącznie od takich zewnętrznych decyzji, jak akt 5 listopada 1916 r., czyli dekretu cesarzy Niemiec i Austro-Węgier, głoszącego: „Jego Cesarska i Królewska Mość, Cesarz Austrii i Apostolski Król Węgier oraz Jego Cesarska Mość, Cesarz Niemiecki, ułożyli się, by z ziem tych (pokrywających się mniej więcej z obszarem Królestwa Polskiego) utworzyć państwo samodzielne z dziedziczną monarchią i konstytucyjnym ustrojem. Dokładniejsze oznaczenie granic zastrzega się". Albo od ukazu cara Mikołaja II z 25 grudnia 1916 r., w którym zapowiadał on odbudowę Polski złożonej z wszystkich trzech części, dotąd rozdzielonych (ale w unii z Rosją).

3. ZNIESIENIE KONSTYTUCJI RP

Przygotowywana zmiana traktatów i ustroju UE oznacza faktyczne zniesienie nadrzędności polskiej konstytucji w krajowym systemie prawnym. Zapowiada likwidację Trybunału Konstytucyjnego jako „sądu ostatniego słowa" oraz jedynego organu mogącego rozstrzygać spory prawne i kompetencyjne. Oznacza podporządkowanie Sądu Najwyższego, Naczelnego Sądu Administracyjnego i sądów powszechnych Trybunałowi Sprawiedliwości UE oraz jego orzeczeniom. Te, wbrew polskiej konstytucji, stałyby się źródłami prawa w Polsce. Państwo z fasadową konstytucją zostałoby pozbawione prawnej suwerenności, a co za tym idzie – suwerenności w ogóle. I są siły w Polsce, dla których jest to obojętne, a nawet poparłyby takie zmiany, gdyby tworzyły rząd.

4. SKUTKI WOJNY ROSJI PRZECIW UKRAINIE (I ZACHODOWI)

Rząd utworzony po 15 października 2023 r. będzie się konfrontował z zakończeniem wojny Rosji przeciw Ukrainie albo z przewlekłym konfliktem, przez wiele lat mającym wpływ na bezpieczeństwo, gospodarkę, obronę Polski. Ewentualne zakończenie wojny to nowe ułożenie systemu bezpieczeństwa w Europie Środkowo-Wschodniej, co może być dla Polski bardzo niebezpieczne, gdyby powstał rząd podporządkowujący się decyzjom Berlina, Brukseli i pośrednio Moskwy, szczególnie gdyby wojna nie skończyła się klęską Rosji i oznaczała utrzymanie przez nią zdobyczy terytorialnych. Wtedy Polska mogłaby być nawet zagrożona bezpośrednim atakiem. Przewlekły konflikt to z kolei stałe zagrożenie prowokacjami oraz incydentami mającymi wpływ i na poczucie bezpieczeństwa Polaków, i na ich zachowania rynkowe oraz planowanie przyszłości.

5. POLSKA ZDOLNA DO OBRONY ALBO BEZBRONNA

Rząd utworzony po 15 października 2023 r. będzie rozstrzygał dokończenie budowy wielowarstwowego systemu obrony (przede wszystkim przeciwlotniczej i przeciwrakietowej) opartego na zaawansowanych już zakupach broni i systemów obronnych albo zdecyduje o rezygnacji z tego systemu na rzecz mglistego i wciąż tylko planowanego European Sky Shield, broniącego wszystkich i nikogo. Wymyślił go kanclerz Niemiec Olaf Scholz. Miał się on opierać na izraelskiej Żelaznej Kopule,

eprasa.pl 4ee1868b88

ta jednak nie zdała egzaminu podczas ataku Hamasu na Izrael 7 października 2023 r. Odstąpienie od własnego systemu obronnego oznaczałoby kilka, a może nawet kilkanaście lat bez skutecznego systemu obrony, co wrogów mogłoby zachęcać do atakowania Polski, nawet gdyby chodziło o ataki tłumaczone jako przypadkowe, a nie zamierzone. Od rządu zależeć będą wydatki na obronę; jeśli zostałyby zmniejszone, zagrażałoby to dostawom już zakontraktowanej broni oraz powiększaniu stanu osobowego armii, tworzeniu nowych jednostek, co przecież działo się podczas rządów PO-PSL, szczególnie w latach 2011–2012.

6. DYKTATURA KLIMATU

Wprawdzie Europejski Zielony Ład jest już realizowany, lecz decydujące kwestie będą podejmowane w tych latach, na które przypada kadencja nowego rządu. To on będzie ostatecznie rozstrzygał stopień zaangażowania Polski w ten program (łącznie z blokowaniem, rozszerzaniem bądź zawężaniem), co może zdecydować o zahamowaniu rozwoju Polski na dekady, a wręcz o radykalnym obniżeniu polskiego bogactwa bądź kontynuacji obecnego przyspieszenia, manifestującego się przekroczeniem 80 proc. średniej unijnej, gdy chodzi o poziom dochodu na mieszkańca. Komisja Europejska chce, aby każda regulacja była oceniana z perspektywy wpływu na neutralność klimatyczną. Pragnie też otrzymać prawo działania na podstawie aktów delegowanych, aby sama mogła wyznaczać agendę neutralności klimatycznej dla całej UE. I to komisja oceniałaby wdrażanie jej dyrektyw w odniesieniu do Unii jako całości, jak i do poszczególnych państw członkowskich. Miałaby też realne instrumenty nacisku, np. uzależniając korzystanie z unijnych pieniędzy od wypełnienia jej rekomendacji. A Polska ze względu na strukturę rynku energii i gospodarki jest w konflikcie z polityką klimatyczną UE. W dodatku wiąże się ona z ogromnymi kosztami gospodarczymi i społecznymi, wyliczonymi na 240 mld euro do 2030 r. i na niemal 500 mld euro do 2050 r.

7. PRZYMUSOWA RELOKACJA IMIGRANTÓW

Wrzucony na szybką ścieżkę w instytucjach UE pakt migracyjno-azylowy nie tworzy granic ani dla czasu obowiązywania (może funkcjonować do końca Unii Europejskiej lub do końca świata), ani dla maksymalnej liczby relokowanych, a więc i napływających przybyszy. Oznacza to zaproszenie dla kolejnych tysięcy, a nawet milionów nielegalnych imigrantów. Przy tym pakt nie ustanawia żadnego automatycznego mechanizmu zwolnień dla państw przyjmujących uchodźców wojennych, w tym dla Polski. Wszystko jest uzależnione od woli Komisji Europejskiej – za zwolnieniami nie stoją żadne gwarancje, więc sytuacja jest taka, jakby ich w ogóle nie było. Przed wyborami 15 października opozycja demonstrowała wyłącznie złudzenia o zwolnieniach, natomiast (z nielicznymi wyjątkami niemającymi znaczenia) nie odcięła się od samego paktu i wynikających z niego rozwiązań. Nie zanegowała kar, które trzeba by zapłacić za każdego imigranta „przydzielonego" Polsce i nieprzyjętego.

8. ZMIANA STRUKTURY NARODOWOŚCIOWEJ

Wprowadzenie mechanizmu przymusowej relokacji bez ograniczeń czasowych i ilościowych oznaczałoby systematyczny dopływ imigrantów, a także gwałtowny wzrost ich liczby wskutek łączenia rodzin. To systematycznie zmieniałoby strukturę narodowościową, a pośrednio także strukturę społeczną. Wiązałoby się z tworzeniem gett (wszędzie na Zachodzie powstają one samorzutnie, niezależnie od polityki wobec imigrantów w poszczególnych państwach), a potem stref „no-go", czyli właściwe eksterytorialnych. Przykłady Szwecji, Danii, Belgii czy Francji dowodzą, że w takich enklawach kwitnie przestępczość, rozlewająca się na całe miasta, a nawet regiony, utrzymuje się wysokie bezrobocie, głównie wskutek odmowy podejmowania pracy bądź nauki, pogłębia się zapóźnienie edukacyjne, za to rosną konflikty społeczne i wrogość wobec państwa, które imigrantów przyjęło, często skutkujące rozruchami oraz drastycznym obniżeniem się poczucia bezpieczeństwa.

9. REWOLUCJA SPOŁECZNA

W rozpoczynającej się kadencji rząd będzie decydował o tym, czy polskie społeczeństwo pozostanie takie, jak obecnie, czy całkowicie zmieniona zostanie struktura społeczna wskutek działania inżynierii społecznej związanej z krzewieniem „postępu" i wdrażaniem tzw. polityki równościowej. Chodzi też o wdrażanie polityki imigracyjnej, mającej w założeniu przekształcić wszystkie państwa i społeczeństwa UE w wielokulturowe, co ma zmienić hierarchię społeczną, sposoby wyłaniania elit, system wartości, wzory wychowania oraz edukacji, kształt i funkcje rodziny, a ostatecznie także wyniki wyborów. Oznaczałoby to totalną rewolucję społeczną, większą nawet niż ta po rewolucji francuskiej, rewolucji bolszewickiej oraz chińskiej rewolucji kulturalnej. W Parlamencie Europejskim całkiem otwarcie mówi się o konieczności zmiany, a wręcz wymiany społeczeństw – te nowe miałyby być bardziej podatne na wprowadzanie różnych rozwiązań „postępowych" i „równościowych".

10. ZMIANA PARADYGMATU CYWILIZACYJNEGO

Rząd wyłoniony po 15 października 2023 r. będzie decydował o zmianie bądź utrzymaniu paradygmatu cywilizacyjnego i moralnego. Wymiana oznacza narzucanie państwom UE takich samych rozwiązań w obszarach prawa, edukacji, rodziny, obyczajów, religii (przy czym na cenzurowanym jest tylko chrześcijaństwo, natomiast żadne ograniczenia nie odnoszą się do islamu), wartości, norm życia społecznego, bioetyki (np. aborcja, eutanazja, eugenika), pracy, zdrowia itd. Narzucanych także dzięki zmianie ustroju UE i zmianie traktatów. Stworzone w ten sposób nowa Europa i nowa Polska w żaden sposób nie przypominałyby tej znanej od czasu rozpowszechnienia chrześcijaństwa.

Reklama | 55/0823/F

eprasa.pl 4ee1868b88

PRZYSZŁOŚĆ JEST
Z MIEDZI

Globalny lider w produkcji miedzi i srebra. Gigant, wizjoner odkrywca w branży wydobywczej i produkcyjnej. Od ponad 60 lat wydobywamy i przetwarzamy cenne zasoby ziemi, skutecznie budując pozycję lidera branży. Dzięki wiedzy i doświadczeniu naszych pracowników tworzymy produkty, które umożliwiają zrównoważony rozwój świata.

www.kghm.com

KGHM
POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl 4ee1868b88

Spadające gwiazdy internetu

Gdy dorosła Polska była pochłonięta wyborami, najmłodsze pokolenie żyło zupełnie innym wydarzeniem. Śledztwo przeprowadzone przez dwóch youtuberów doprowadziło do ujawnienia afery pedofilskiej wśród młodych gwiazd internetu. Okazało się, że popularni influencerzy uwodzili zapatrzone w nich małoletnie dziewczęta

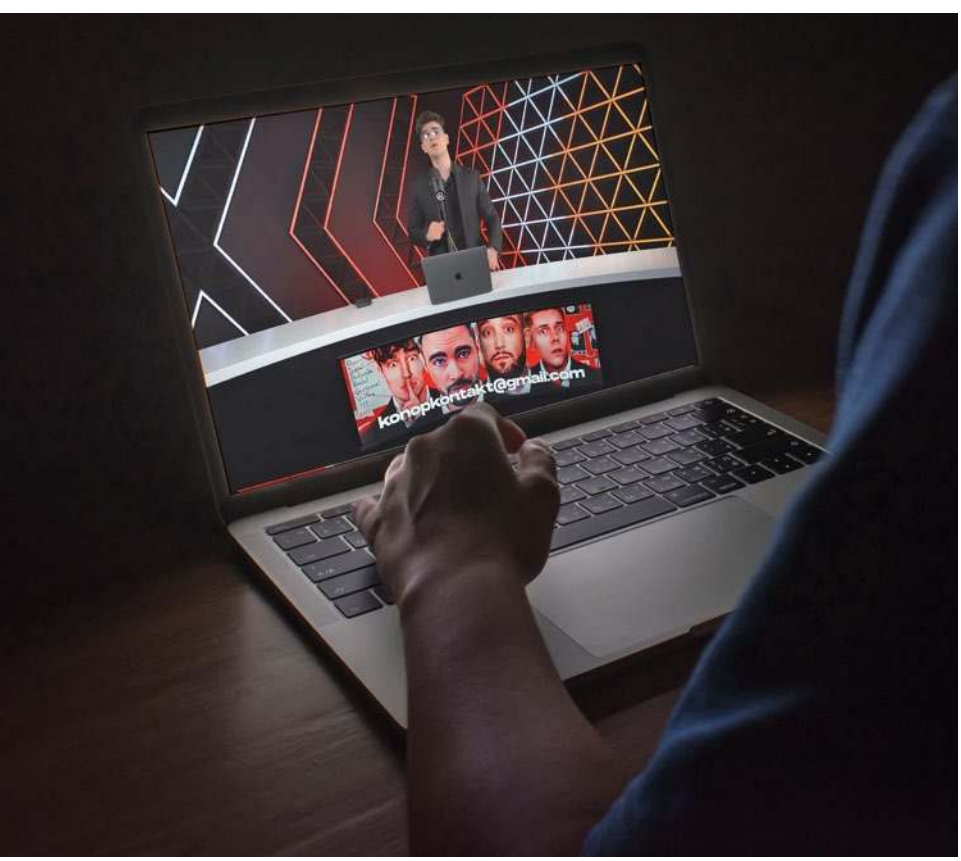

Fot. youtube.com/@Konopskyy; Shutterstock

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Stuart „Stuu" Burton, Marcin Dubiel, Michał „Boxdel" Baron – te nazwiska niewiele, albo wręcz nic nie mówią starszemu i średniemu pokoleniu Polaków. Tymczasem do niedawna należeli oni do największych gwiazd wśród nastolatków.

Nie są to – jak to kiedyś bywało z gwiazdami – muzycy ani aktorzy. Ich sceną był internet, a dokładnie platforma YouTube, na której można zamieszczać filmiki własnego autorstwa i jeśli osiągną one wystarczająco duży próg popularności, zarabiać na nich setki tysięcy złotych. A filmy umieszczane przez Stuu Burtona, Marcina Dubiela i im podobnych były bardzo popularne. Subskrypcje ich kanałów (nie tylko na YouTube, ale także Instagramie i TikToku) znacznie przekraczały 1 mln osób, a czasami – jak w przypadku Stuu – sięgały kilku milionów.

Oznaczało to, że miliony widzów, najczęściej nastoletnich, regularnie oglądały materiały zamieszczane w sieci przez młodych gwiazdorów. Dzięki temu mieli oni ogromny wpływ na młodzież, na to, jak się zachowuje, w co ubiera, co ją śmieszy, a co irytuje. Dla wielu, zwłaszcza młodszych, stali się wręcz wzorami do naśladowania, autorytetami.

Ten fenomen natychmiast wykorzystały agencje marketingowe i wielkie korporacje. Gwiazdy internetu mogły bowiem reklamować różne produkty dla młodzieży. Oczywiście nic za darmo. W ten sposób grupka młodych youtuberów amatorów stała się zawodowymi influencerami zarabiającymi gigantyczne pieniądze. Tymczasem szybko zarobione wielkie pieniądze połączone z wielką popularnością i niedojrzałością mogą źle się skończyć. I tak też było w tym przypadku.

LICZY SIĘ KASA

Gdy dorosła Polska była pochłonięta wyborami, najmłodsze pokolenie żyło zupełnie innym wydarzeniem. Dzien-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 4ee1868b88

nikarskie śledztwo przeprowadzone przez dwóch znanych youtuberów – Sylwestra Wardęgę oraz Mikołaja Tylko, znanego jako Konopskyy – doprowadziło do ujawnienia wielkiej afery pedofilskiej wśród młodych gwiazd internetu. Okazało się, że niektórzy popularni gwiazdorzy uwodzili zapatrzone w nich małoletnie dziewczęta lub wysyłali im sprośne wiadomości i zdjęcia.

Naturalnie rodzice tych dziewczynek nie wiedzieli, z kim one korespondują i z kim się umawiają. Byli zapewne przekonani, że ze szkolnymi koleżankami. Żadnych obaw nie budziła też fascynacja ich dzieci filmikami zamieszczanymi w internecie. W końcu to nie była żadna pornografia ani drastyczne treści. Ot, zwykłe żarty zamieszczane oficjalnie na YouTube. To przecież nie mogło być groźne. I być może rzeczywiście nie byłoby takie, gdyby rodzice tego nie zlekceważyli i poświęcili własnym dzieciom nieco więcej czasu.

Filmiki zamieszczane w internecie przez gwiazdy polskiego YouTube na pozór wydawały się nieszkodliwe. Na jednym z nich grupka młodych, wygłupiających się ludzi testuje gumy do żucia lub żelki. Na innym rozmawia o swoich problemach. Na jeszcze innym odwiedza ich rodzina lub znajomi. Takie reality show dla nastoletniej młodzieży w wykonaniu aktorów naturszczyków. Identyczne programy są przecież w wielu komercyjnych stacjach telewizyjnych i niejedna mama tych dziewczynek lubi je oglądać. Dlaczego więc miałaby odmówić tego samego dzieciom?

W rzeczywistości filmy te mogły wywierać destrukcyjny wpływ na psychikę i system wartości sporej części nastoletnich widzów. Przede wszystkim kreowały sztuczny świat, w którym liczyły się przede wszystkim pieniądze, markowe ubrania, nieustająca zabawa oraz ludzka seksualność – ładne ciało, kosmetyki. Nie wnosiły żadnych innych wartości – wiedzy, erudycji czy kultury. Wszystko obracało się wokół jednego – dużej kasy, wygłupów i ciągłego imprezowania.

Jednocześnie tego rodzaju prymitywny styl życia wcale nie jest rzadkością wśród dojrzałych osób. Może trudno się więc dziwić, że niektórzy rodzice nie widzieli w takich treściach żadnego zagrożenia dla swoich dzieci. I tym samym oddali je na wychowanie gwiazdom z YouTube.

TAJEMNICA POLISZYNELA

Centralną postacią afery jest Stuart „Stuu" Burton. To 31-letni dzisiaj syn Polski i Brytyjczyka, urodzony i wychowany w Luton pod Londynem. Na jego pierwszych filmach, które można znaleźć w sieci, jest jeszcze młodym, sprawiającym wrażenie nieśmiałego, młodym człowiekiem. Z czasem zamienił się w marketingowy produkt: wyrzeźbiona sylwetka, modne ubrania, ufarbowane włosy i przystrzyżona bródka. Miał przyciągać widzów, zwłaszcza młode dziewczęta, i stać się ich idolem. Chyba się to udało, bo na swoim kanale na YouTube zdobył ponad 4 mln stałych subskrybentów, a filmy z jego udziałem biły rekordy popularności.

Stuu miał jednak – jak się okazało – drugie, mniej znane oblicze. Otóż jak wynika ze śledztwa przeprowadzonego przez Wardęgę i Konopskyy'ego, najbardziej pociągały go nastoletnie dziewczęta. Obaj wspomniani youtuberzy dotarli do wysyłanych przez niego do młodych fanek sprośnych ofert oraz rozbieranych fotografii. Niektóre z poszkodowanych dziewcząt, dziś już pełnoletnich, opowiedziały, że Stuu zapraszał je do swojego domu, gdzie je całował, nagabywał i namawiał do seksu. Miał też twierdzić, że niepełnoletność jest kwestią umowną, bo zależną od prawodawstwa i w niektórych krajach można uprawiać seks przed 14 rokiem życia.

Co więcej, w środowisku youtuberów skłonności Stuu miały być tajemnicą poliszynela, jednak panowała zmowa milczenia. Jedyną sprawiedliwą była Justyna Sukanek – youtuberka występująca kilka lat temu wspólnie ze Stuu – otwarcie mówiąca o obrzydliwym zachowaniu swojego kolegi. Została jednak wyśmiana i uznana za chorą psychicznie. Dlaczego? Być może dlatego, że Stuu był bardzo popularny i wpływowy w środowisku, więc nikt nie chciał mu się narazić. Ale również dlatego, że Burton, choć dowody przeciwko niemu są najbardziej drastyczne, nie był wcale wyjątkiem i molestowanie nieletnich dziewcząt (m.in. prośby, aby przesyłały swoje intymne zdjęcia) miało w tym środowisku – jak wszystko na to wskazuje – znacznie większy zasięg.

W 2020 r. Stuu nagle zniknął z internetu i wrócił do Wielkiej Brytanii. Oficjalnie podał, że jest wyczerpany psychicznie. Dzisiaj wygląda jednak na to, że po prostu zasugerowali mu to jego współpracownicy i sponsorzy. Wybuch afery pedofilskiej mógłby bowiem oznaczać dla wszystkich potężne straty finansowe.

W ostatnią środę pojawiły się niejasne informacje, że youtuber został zatrzymany i poturbowany przez Polaków w Londynie oraz przekazany tamtejszej policji. W chwili, gdy piszę te słowa, nie znam jego dalszych losów.

KOLEDZY OD MINECRAFTA

Stuu Burton zaczynał tak jak większość późniejszych gwiazd YouTube, w internetowej społeczności miłośników Minecrafta. Dla niewtajemniczonych: to gra komputerowa rozgrywająca się w wirtualnym świecie, częściowo wykreowanym przez gracza, którego uczestnik musi się bronić przed przeciwnikami. Minecraft, którego wielu uważa za dość infantylną grę, szczyty popularności ma już za sobą.

Miłośnicy gry stworzyli własną społeczność w serwisie TeamSpeak, pozwalającym graczom na kontakt ze sobą podczas gry. W ten sposób zbudowali grupę, z której wywodziło się wielu popularnych youtuberów, takich jak właśnie Stuu czy wspomniany wcześniej Boxdel lub Bartosz „Vertez" Kwaśniewski, który również został oskarżony przez Konopskyy'ego o niewłaściwe zachowania wobec nastolatek. 13-letnia fanka Verteza pisała mu np. jakie ma zadania z matematyki do odrobienia w domu, a ten ją prosił, aby nauczyła go rozpinać swój stanik.

Gdy zainteresowanie Minecraftem spadło, koledzy sprzed komputera postanowili zmienić profil i w całości przenieść się na YouTube, gdzie uruchomili własne kanały, na których umieszczali filmiki z głupimi dowcipami (określanymi w slangu jako pranki). Bawili się np. w głuche telefony, biegali nago po galerii handlowej, stroili sobie żarty z policji – wszystko to budziło duże zainteresowanie wśród nastolatków

eprasa.pl 4ee1868b88

i stopniowo powiększało zasięgi. A gdy rosły zasięgi i oglądalność, pojawiła się szansa na spore zarobki.

Warto w tym miejscu powiedzieć parę słów o zarabianiu w internecie. Otóż YouTube, z założenia platforma dla twórców pragnących rozpowszechniać swoje nagrania, dawał im możliwość zarabiania na reklamach umieszczanych przy ich filmach. Początkowo wystarczyło mieć więcej niż 10 tys. wyświetleń, potem – w 2018 r. – mocno zaostrzono limity, aby promować bardziej zaangażowanych yutuberów.

Zwiększenie limitów miało jednak jeszcze jeden efekt: znacząco wzrosły stawki za reklamy. Ci, którzy chcieli zarobić, musieli być bardziej aktywni, produkować więcej i stale przyciągać widzów. Powstała grupa zawodowych youtuberów, żyjąca wyłącznie z umieszczania swoich filmów w internecie.

Konkurencja o widza zaostrzyła się i wymusiła na youtuberach zmianę strategii. Jedni próbowali iść w treści sensacyjne i drastyczne, ale tych zazwyczaj odnajdywał algorytm YouTube i odcinał im monetyzację treści. Inni – tak jak Boxdel – spróbowali swoich sił w przedsięwzięciu również przyciągającym masową widownię wśród młodych internautów i było dobrze płatne, czyli w Fame MMA – galach, podczas których walczą ze sobą celebryci: youtuberzy, raperzy czy influencerzy. Była jeszcze jedna droga: robić nadal to samo, co do tej pory, tylko połączyć siły.

W ten sposób pojawiły się sprofesjonalizowane grupy youtuberów. Pierwszą z nich była Ekipa, wymyślona przez gwiazdę YouTube – Karola „Friza" Wiśniewskiego (niepowiązanego z żadnymi skandalami pedofilskimi). Kolejną, konkurencyjną stał się firmowany przez Stuu Burtona zespół youtuberów pod nazwą Team X.

ZAMYKANIE OCZU

Team X był już czystym produktem marketingowym. Jego uczestnicy – grupka chłopaków i dziewczyn – zamieszkali wspólnie w wynajętym domu pod Warszawą, a widzowie mogli oglądać ich życie. Organizowano również koncerty z udziałem uczestników oraz obozy dla dzieci. Za produkcję odpowiadała agencja marketingowa Spotlight, a jej współudziałowcem został Stuu.

Produkcje Team X były kierowane do nastoletniego widza i sprofilowane na YouTube jako „family friendly". Dzięki temu profilowi zawierano kontrakty na reklamowanie przyborów szkolnych, garderoby dla młodzieży, lecz także na żywność i linie kosmetyków dla nastolatków. Wielkie koncerny zwietrzyły bowiem okazję do poszerzenia rynku i upolowania młodej klienteli, a Stuu oraz Team X mieli w tym pomóc, zarabiając przy tym ogromne pieniądze.

> Stuu Burtona najbardziej pociągały nastoletnie dziewczęta. Jego skłonności miały być dobrze znane w środowisku youtuberów, jednak panowała zmowa milczenia

W rzeczywistości zawartość kanału Team X wcale nie była tak przyjazna wartościom rodzinnym, jak zapewniali jego twórcy. Wśród usuniętych po wybuchu afery filmów można było odnaleźć takie tytuły, jak: „Z kim dziewczyny cimicirimci?", „Kto z kim chce się przespać?", „Kto ma najlepszą pupę?", „Źle odpowiesz – rozbierasz się", „Tinder w prawdziwym życiu" itp. Nastolatki to oglądały i przesiąkały tego typu treściami.

Kanał produkował również muzykę. Jedną z piosenek śpiewa Natsu – żeńska gwiazda Team X i skanduje w niej: „Ja wychodzę z toalety, a na sobie mam tylko skiety". Inny idol śpiewa dzieciom, że „skończy w sromie matki". W tekstach piosenek jest też mowa o „j...baniu", waleniu szotów, a na jednym z teledysków młoda uczestniczka zespołu oblewa się w basenie alkoholem.

Okazuje się, że do wybuchu afery nikomu to nie przeszkadzało. Ani platformie YouTube, ani koncernom reklamującym swoje towary w tych produkcjach. Najważniejszy był zarobek, a to się dobrze sprzedawało. Co znacznie gorsze – nie budziło także wystarczającego zainteresowania wielu rodziców. Trudno się więc potem dziwić, że dzieci, zwłaszcza nastoletnie dziewczęta, bywają wulgarne i wyzywające.

UCIECZKA SPONSORÓW

Po ujawnieniu afery wybuchła panika. I to chyba nie tyle z powodu pokrzywdzonych dzieci, ile ze względu na utratę dochodów. Konopskyy ujawnił w swoim filmie, że Stuu zakazywał swojej nastoletniej „wybrance" mówić o łączących ich relacjach, bo mogło to zagrozić jego współpracy z Coca-Colą.

Teraz jest podobnie. Agencja Spotlight przypomniała w swoim oświadczeniu, że Stuu od dawna nie jest jej udziałowcem. Zdecydowała także o likwidacji projektu Team X i powołaniu w jego miejsce innego. Nic dziwnego, bo zaczęli uciekać kontrahenci i sponsorzy. Ostatnio ze współpracy wycofał się Rossmann, w swoich drogeriach sprzedający kosmetyki sygnowane logo Team X.

Z kolei bohaterowie afery są wyraźnie pogubieni. Dopiero teraz zaczęło do nich docierać, że ich wielka sława i pieniądze nie są wieczne, a za złe rzeczy lub ich ukrywanie ponosi się odpowiedzialność. Daniel Pawlak, znany jako DeeJayPalaside, dla większych zasięgów umieszczający na swoim kanale rozbierane zdjęcia swoich nastoletnich fanek, z płaczem przepraszał za swoje zachowanie. Przepraszał także Boxdel, którego odsunięto z Fame MMA. Inni, jak Marcin Dubiel, odgrażają się sądem.

Wielkie pieniądze i popularność zepsuły tych młodych ludzi. Najgorsze jest jednak to, że w gruncie rzeczy niczym się oni nie wyróżniają, są bardzo przeciętni, nie mają nic mądrego do przekazania ani do zaoferowania innym. Ale to właśnie oni stali się gwiazdami.

Afera polskich jyoutuberów trafiła już do prokuratury. Ile jest jednak innych środowisk, w których ciągle dochodzi do podobnych patologii, a które nie zostały jeszcze nagłośnione i rozliczone?

Reklama | 11/0923/F

eprasa.pl 4ee1868b88

GRUPA **ORLEN** WZMACNIA **BEZPIECZEŃSTWO ENERGETYCZNE POLSKI**

W trosce o bezpieczeństwo i niezależność energetyczną Polaków zwiększyliśmy dostawy LNG, które obecnie są jednym z głównych źródeł zaopatrzenia Polski w gaz ziemny. W 2022 roku w terminalach im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu oraz litewskiej Kłajpedzie odebraliśmy rekordową liczbę ładunków skroplonego gazu. Rozwijamy również własną flotę gazowców, która zagwarantuje stabilność dostaw oraz wzmocni naszą pozycję na globalnym rynku LNG. Dwie jednostki w barwach naszej Grupy dostarczają już gaz do Polski.

epiasa.pl 4ee1868b88

To koniec Europy, jaką znamy

Po eskapadzie po Europie, Afryce i Bliskim Wschodzie związanej z realizacją „Migrantów" wróciłem do Polski i miałem ochotę całować ziemię. Bo to jest dobrze zorganizowany, zamożny i bezpieczny kraj. Niepozbawiony problemów, jeszcze dużo przed nami do zrobienia, ale nie niszczy go od środka gangrena, z którą nie wiadomo, jak walczyć

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4ee1868b88

Z Jackiem Łęskim, dziennikarzem TVP, autorem cyklu dokumentalnego „Migranci", rozmawia Dorota Łosiewicz

Żeby przygotować „Migrantów", przejechałeś pół Europy, kawałek Afryki, byłeś na Bliskim Wschodzie. Jak migranci zmienili krajobraz Europy?

Jacek Łęski: Przed pracą nad reportażem pojechałem do Londynu, dobrą dekadę temu. Już wtedy stolica Wielkiej Brytanii była miastem kolorowym, ale teraz są całe jej części czy dzielnice, gdzie człowiek czuje się jak w krajach Sahelu czy na Bliskim Wschodzie, tak dużo żyje tam migrantów. Podobnie jest we Francji. Byliśmy np. w bazylice św. Dionizego w Saint-Denis. Pochowani są tam francuscy królowie, m.in. Karol Młot, który w 732 r. w bitwie pod Poitiers rozgromił Saracenów, czyli Arabów, na tyle skutecznie, że od tamtej pory nie podjęli próby inwazji na Europę od strony Hiszpanii. Z tej katedry wychodzi się niemal w samo serce dzielnicy muzułmańskiej. Niebywały chichot historii. Migranci są wszędzie: w metrze, punktach usługowych, sklepach, restauracjach, na bazarach, które nie różnią się już właściwie od tych na Bliskim Wschodzie. Trudno sobie wyobrazić, że tak masowa obecność ludzi pochodzących z innych kultur i części świata nie zmienia miasta czy kraju. To naturalne, że przynoszą oni swoje obyczaje, przyzwyczajenia, sposób jedzenia, ubierania się. Na pierwszy rzut oka ten koloryt jest ciekawy, ale gdy się okazuje, że ci ludzie przywożą ze sobą swoje podejście do kobiet czy rywalizację gangów, które są związane z poszczególnymi klanami, to już przestaje być tak wesoło. Okazuje się, że młodsze pokolenie migrantów jest bardziej kłopotliwe niż starsze.

Dlaczego?

Ci ludzie przyjeżdżają z krajów autorytarnych, radykalnych, jeśli chodzi o wychowanie. Tam nie ma kultury dialogu czy partnerstwa w rodzinie. Ojciec rządzi twardą ręką i już. I twardą ręką trzyma swoich synów. I oni trafiają nagle do zupełnie innej kultury, w której dzieci wychowuje się inaczej, dużo więcej im wolno. Nagle okazuje się, że oni nie umieją się w tym odnaleźć. Ojciec przestaje być autorytetem, tylko jest bezrobotnym facetem, który siedzi w domu i nie wie, co ze sobą zrobić. Ci chłopcy często wpadają w złe towarzystwo rówieśnicze lub nieco starsze, które błyskawicznie wciąga ich w różne przestępcze struktury, albo handlujące narkotykami, albo organizujące przemyt ludzi. W tych gangach jest większa możliwość awansu społecznego i dorobienia się niż w pracy przykładowego hydraulika. W Sztokholmie, w dzielnicy Rinkeby, widzieliśmy taką scenę: podjechał szkolny autobus, wysypały się z niego dzieci w odblaskowych koszulkach. Prawdopodobnie cała klasa. I większość dzieci była ciemnoskóra, tylko kilkoro miało biały kolor skóry. Taka klasa zupełnie inaczej funkcjonuje. Przenoszą się na nią i na szkołę konflikty etniczne poszczególnych grup. Burmistrz jednego z francuskich miasteczek opowiedział nam taką historię: przyszła do niego mama z rodziny migranckiej, prosząc, by w klasie, do której chodzi jej dziecko, było więcej Francuzów. A on zdziwiony pyta: „O co pani chodzi? Przecież wszyscy jesteśmy Francuzami". A ona mu na to, że chodzi o takich białych Francuzów. Migranci sami się połapali, że przebywanie tylko w izolowanej społeczności migranckiej degraduje ich dzieci i rodziny, bo osłabia ich szanse na normalne funkcjonowanie.

Mówisz o problemach kulturowych, wcześniej mówiłeś o traktowaniu kobiet. Czemu prawa kobiet przegrywają z prawami migrantów?

Jeden z naszych rozmówców w odcinku o Niemczech mówi, że w lewicowo-liberalnej ideologii jest kategoryzacja ofiar. Ci, którzy są najbardziej poszkodowani, muszą mieć taryfę ulgową. Choć według tej ideologii kobiety są najbardziej poszkodowane, bo żyją w społeczeństwie patriarchalnym, to jednak migranci są bardziej poszkodowani niż one. Jeśli więc kobieta oskarża białego o gwałt, musi on udowodnić, że do gwałtu nie doszło. Gdy jednak oskarżony o gwałt jest migrant, to się przymyka oczy, bo albo był pijany, a może nie wiedział właściwie, że nie wolno.

Kilka lat temu szwedzka policja chciała walczyć z przemocą seksualną za pomocą opasek z napisem „Nie dotykaj mnie". Chyba nie zdały egzaminu?

Zaskakująca jest naiwność postępowej publiczności, która się cieszy, że przybywają migranci, bo będzie kolorowo i różnorodnie, a co najważniejsze – runą struktury starego społeczeństwa, którego oni nienawidzą. Jest taka drastyczna historia. Dziewczyna, notabene rzeczniczka pewnej lewicowej organizacji, została brutalnie zgwałcona przez trzech migrantów. Gdy doszła do siebie i wyszła ze szpitala, napisała list, w którym właściwie ich przeprosiła, bo uznała, że oni też są ofiarami opresyjnego społeczeństwa, które doprowadziło ich do takiego stanu, że ją skrzywdzili. To przepraszanie za winy własne, cudze, prawdziwe i urojone sprawia, że możemy mówić o dwóch obiegach prawnych. Jeden dotyczy rdzennych obywateli, migranci mają taryfę ulgową. Aleksandra Rybińska, która wystąpiła w naszym dokumencie, tłumaczyła, że jest coś takiego, jak rasizm zaniżonych oczekiwań. To przekonanie, że jest grupa ludzi, która z natury jest niezdolna do przestrzegania pewnych norm, nauczenia się z czegoś. Więc wobec nich stosuje się zaniżone wymagania.

A dlaczego właściwie migranci przybywają do Europy? Czego tu szukają?

Głównie stabilności ekonomicznej, poczucia, że w przyszłości nic złego się nie zdarzy. W Kurdystanie tłumaczono mi, że wśród migrantów panuje przekonanie, iż w Europie nawet jak masz niską pensję, to jednak ją masz. I z dnia na

eprasa.pl 4ee1868b88

dzień jej nie stracisz. A jak stracisz, to dostaniesz zasiłek. A jak jesteś stary i zachorujesz, to zawsze jakiś szpital się tobą zajmie, na emeryturze masz zabezpieczenie. A tu nic nie ma na pewno, emerytura zaś to fikcja. Nie ma pracy, nie ma przyszłości, państwo jest przeżarte korupcją i układami, gospodarczo niewydolne. Ci ludzie nie uciekają przed wojną, ich życie nie jest zagrożone. Oni po prostu szukają lepszego życia, bezpieczeństwa.

I w poszukiwaniu tego lepszego życia oraz bezpieczeństwa migranci powierzają swoje życie w ręce przemytników. W swoim dokumencie pokazujesz brutalność tego procederu. Dlaczego on się tak rozwinął?

Mamy tu trzy elementy. Pierwszy to niebywale atrakcyjny obraz Europy wśród tych, którzy chcą do niej dotrzeć. Wydaje im się, że jak już będą w Europie, to będzie istna sielanka i eldorado. Oni wiedzą też, że ta Europa ich przyjmie. Dowodzą tego historie tych, którzy jechali przed nimi. Drugi element to nieciekawa sytuacja w krajach, z których wyjeżdżają. I nie mówimy tu o wojnie oraz prześladowaniach. W Tunezji spotkałam migranta z Gwinei, który opowiadał, że nie jest w stanie zarobić tyle, by zapewnić rodzinie podstawowy byt. Dlatego wyruszył w podróż. Mówił, że jest w drodze od 2007 r., czyli 16 lat. W międzyczasie, próbując przedrzeć się przez Libię, trafił do więzienia, w którym spędził dwa lata. Ale wciąż chce do tej Europy. Zapytałem, czy bierze pod uwagę, żeby zrezygnować, a on, że nie, bo nie ma kompletnie nic do stracenia. Nie jestem w stanie zweryfikować prawdziwości jego historii, ale to parcie do przodu było absolutnie prawdziwe. Większość mieszkańców Sahelu, których spotkałem w Tunezji, mówi to samo. No i pomiędzy tymi dwoma czynnikami mamy trzeci: gigantyczną machinę zarabiającą kolosalne pieniądze na przemycie ludzi. Jedna łódź przemyca ok. 50 osób, każda z nich płaci co najmniej 3 tys. dol. To po odliczeniu kosztów daje ok. 130 tys. dol. zysku. 10 łodzi to już 1,3 mln dol. To są miliony tygodniowo, nie miesięcznie. Nie ma takiej siły, która powstrzymałaby organizatorów tego procederu przed przemytem. Na tym zarabia się więcej niż na narkotykach.

Jedna łódź przemyca ok. 50 osób, każda z nich płaci co najmniej 3 tys. dol. To po odliczeniu kosztów daje ok. 130 tys. dol. zysku. 10 łodzi to już 1,3 mln dolarów. To są miliony tygodniowo, nie miesięcznie. Nie ma takiej siły, która powstrzymałaby organizatorów tego procederu

Jednocześnie dowiadujemy się, że niemiecki rząd finansuje organizacje parające się przemytem.

No właśnie. Państwa europejskie szerokim gestem sponsorują organizacje, kancelarie, fundacje, które *de facto* żyją z migrantów. Powstał cały biznes, który pod hasłami obrony praw człowieka po prostu świetnie zarabia. Idą na to miliardy euro rocznie. I tak sprowadza się do Europy prawie każdego, kto tego chce.

Byłeś na Lampedusie akurat podczas wizyty na wyspie Ursuli von der Leyen i na konferencji prasowej premier Włoch i szefowej KE. Giorgia Meloni mówiła: zablokować wyjazd migrantów do Europy, relokacja to nie jest rozwiązanie, a von der Leyen zapewniła: będziemy sprawniej relokować.

Straszne jest to, że Europa nie ma żadnego pomysłu, jak rozwiązać problem. Najbardziej oczywisty wydaje się taki: zatrzymajmy nielegalną migrację na Stary Kontynent, sprawmy, by granice stały się realnie chronione i nie do przekroczenia. Jednak eurokratom, z pobudek ideologicznych, to najprostsze rozwiązanie nie mieści się w głowie. A każde inne to blaga. Można by też zmniejszyć socjal, jaki otrzymują migranci w państwach UE. Ale tego się nie robi, bo pojawiłyby się zarzuty o dyskryminację. Wszystkie inne rozwiązania niż uszczelnienie granicy zewnętrznej przypominają zaklejanie dziury w cieknącym statku gumą do żucia.

To samo próbował zrobić Matteo Salvini, wicepremier Włoch, i teraz grozi mu kara więzienia.

A to był jedyny facet mający odwagę powiedzieć, że statki, które zgarniają migrantów z Morza Śródziemnego, nie mają prawa zawijać do włoskich portów i były one odsyłane. W tamtym czasie liczba migrantów, którzy trafili do Włoch, była dziesięciokrotnie mniejsza. Tymczasem Salvini stanął przed sądem na Sycylii, oskarżony o blokowanie łodzi z migrantami. Grozi mu 15 lat więzienia. A przecież gdy blokuje się jeden szlak, banda przemytnicza szuka innego. Wystarczyłoby zamknąć wszystkie drogi. Szefowa KE mówi o masowej migracji jako o europejskim problemie, który potrzebuje europejskiego rozwiązania. I byłaby nim koordynacja zamknięcia granic zewnętrznych UE, tak by nie dało się ich przekroczyć.

Ale nie to miała na myśli von der Leyen.

Niestety, nie. To najbardziej oczywiste rozwiązanie nie przychodzi europejskim elitom politycznym do głowy, za to wszystkie inne – tak. Ta konferencja na Lampedusie to była mowa trawa, taka europejska nowomowa. Nie dało się z tego wiele zrozumieć. Szefowa KE mówiła o nowych ramach prawnych, czyli o planowanym pakcie migracyjnym. Meloni robiła dobrą minę do złej gry, ale było po niej widać rozczarowanie. Podobnie zaskoczeni i rozczarowani byli włoscy dziennikarze – znów usłyszeli to, co zawsze, a te rozwiązania od zawsze zawodzą. Szefowa KE

eprasa.pl 4ee1868b88

zaproponowała np., by wraz z agendą ONZ ds. migrantów zwiększać bezpieczeństwo migrantów na szlaku. Czyli żeby bezpieczniej mogli tu docierać. Jak ona to chce zrobić? Nie wiadomo, bo to, co zaproponowała, to półśrodki i banały, które nie rozwiązują problemu. Tylko szczelne granice mogą go rozwiązać.

Bohaterowie reportażu „Migranci" często powtarzają: „My nie jesteśmy przeciw migrantom, nie jesteśmy rasistami. Chcemy żyć normalnie". Skąd ten lęk przed oskarżeniem o rasizm?

To jest pałka, którą przez całe dziesięciolecia bito po głowie tych, którzy mówili, że wpuszczanie do Europy migrantów bez ograniczeń źle się skończy. Właśnie widzimy, że źle się kończy. Ci, co wszędzie widzieli rasistów, mówią dziś – no, może jest problem, ale z tym nie da się nic zrobić. To jest intelektualnie nieuczciwe podejście. Najpierw nakręcono koniunkturę na migrację do Europy mimo ostrzeżeń, że to grozi katastrofą. Tym, którzy ostrzegali, zatykano usta zarzutami o rasizm, mówiąc, że kto jest przeciw migracji, ten ksenofob, faszysta, rasista i zły człowiek. Widzimy już tragiczne skutki, więc słyszymy: teraz to już jest ich za dużo, nic się nie da zrobić. Czy my chcemy w Polsce takich problemów? Nie chcemy. Nikt by nie chciał. Po eskapadzie po Europie, Afryce i Bliskim Wschodzie wróciłem do Polski i miałem ochotę całować ziemię. Bo to jest dobrze zorganizowany, zamożny i bezpieczny kraj. Niepozbawiony problemów, jeszcze dużo przed nami do zrobienia, ale nie niszczy go od środka gangrena, z którą nie wiadomo, jak walczyć. Przeraża mnie ta intelektualna miałkość i bezradność europejskich elit wobec problemów, jakie niesie masowa zmiana struktury społecznej.

> W Kurdystanie tłumaczono mi, że wśród migrantów panuje przekonanie, iż w Europie nawet jak masz niską pensję, to jednak ją masz. A jak ją stracisz, to dostaniesz zasiłek. A jak zachorujesz, to jakiś szpital się tobą zajmie. A tu nic nie ma na pewno

Wróćmy do 2015 r. i głośnego zaproszenia wystosowanego przez Angelę Merkel pod adresem migrantów oraz zapewnienia, że „damy radę". Dlaczego ówczesna kanclerz Niemiec nagle zdecydowała się szeroko otworzyć ramiona na migrantów, skoro wcześniej wcale nie była do tego taka skora?

Tego nikt do końca nie wie. To, co się wydarzyło, było zmianą o 180 st. w stosunku do wcześniej głoszonych opinii. W tej sprawie są różne spekulacje. Pierwsza teoria, polityczna, mówi o tym, że Angela Merkel chciała w wyborach odebrać część elektoratu partii Zielonych przez przejęcie części jej postępowych, liberalnych haseł do CDU. Chciała więc pokazać, że w kwestii migrantów jest bardziej proimigrancka niż wszyscy Zieloni razem wzięci. Druga teoria to teoria moralnego szantażu, wywieranego przez środowiska lewicowe i media, nazywające ją nieczułą i bezduszną. W tym kontekście mówi się np. o dramacie chłopca znanego pod pseudonimem Alan Kurdi. Trzyletni syryjski migrant pochodzenia kurdyjskiego utonął wraz z matką i bratem podczas próby przepłynięcia Morza Śródziemnego z tureckiej wioski Akyarlar do greckiej wyspy Kos. Zdjęcia jego ciała wyrzuconego na plażę obiegły międzynarodowe media, znajdując się na okładkach ponad 70 gazet, wywołując wstrząs światowej opinii publicznej. Inna sytuacja z udziałem Merkel, to konferencja, która miała miejsce w 2013 r. Ówczesna kanclerz spotkała się z dziećmi ze szkoły w Rostocku. I uczennica, z pochodzenia Libanka, opowiadająca, jak jej tu dobrze, zapytała, czy jej rodzina też będzie mogła przyjechać do Niemiec. Merkel odpowiedziała wówczas, że Niemcy nie mogą przyjąć wszystkich. Uczennica się rozpłakała przed kamerami. Kanclerz próbowała ją pocieszać, było to strasznie nieudolne, coś w stylu Komorowskiego rozmawiającego z panią na wózku. Zwaliła się na nią wówczas lawina krytyki. Jest jeszcze trzecia teoria. Niektórzy wskazują na komunistyczną przeszłość Merkel, która wywodzi się z NRD, była członkiem młodzieżówki komunistycznej i mogłoby chodzić o jej uwikłania z przeszłości. Nie wiem, która teoria jest prawdziwa, ale fakt jest taki, że dziś Europa ponosi bolesne skutki tamtej decyzji.

Czy to już jest koniec Europy, jaką znamy?

Sądzę, że w niektórych krajach tych procesów nie da się już ani odwrócić, ani powstrzymać. We Francji, Wielkiej Brytanii czy Szwecji przekroczono pewną proporcję ludności napływowej w stosunku do rdzennej i w przewidywalnej perspektywie zmian nie da się wyhamować. W Szwecji aż 20 proc. obywateli urodziło się poza tym krajem. Jak do tego doliczmy migrantów, którzy jeszcze nie mają obywatelstwa, oraz pierwsze i drugie pokolenie przybyszy, to wychodzi, że co trzeci Szwed nie pochodzi ze Szwecji. Ci ludzie mają prawo głosu, mają wszystkie prawa, które mają Szwedzi i przywożą ze sobą problemy, których ten kraj wcześniej nie znał. Podobnie jest we Francji. Dorzućmy do tego dynamikę demograficzną. Migranci mnożą się znacznie szybciej niż rdzenni mieszkańcy tych krajów. To sprawia, że dzisiejsza Francja czy Szwecja już nigdy nie będą wyglądały tak jak w latach 70. czy 80. XX w. W Niemczech, choć kwotowo są to liczby znaczne, procentowo liczba obywateli Niemiec, którzy do tego kraju przybyli, oscyluje wokół 10 proc. Niemcy mają dziś ogromne problemy socjalne, kulturowe i związane z bezpieczeństwem. Mogłyby jeszcze pozostać państwem, jakie znamy, jednak ktoś musiałby zatrzymać napływ migrantów. Szanse na to nie są wielkie.

eprasa.pl 4ee1868b88

Moje zmagania z rakiem piersi

Dziś tak jak każdego dnia w Polsce diagnozę o raku piersi usłyszy 50 Polek. I choć już dobrze wiemy, że „rak to nie wyrok", to jednak w tym roku te słowa zabrzmią w uszach ok. 20 tys. kobiet, a 7 tys. Polek umrze z jego powodu. Dlatego proszę nie przekładać tej strony, tylko przeczytać, aby zachęcić siebie lub swoją żonę, córkę czy mamę do tego, aby nie odkładała już więcej decyzji o badaniu

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Ja także usłyszałam diagnozę, której żadna z nas nie chce usłyszeć. Wiedziałam, że rak piersi pozostaje najczęściej diagnozowanym nowotworem, zarówno w Polsce, jak i na świecie, a jednak byłam pewna, że mój zdrowy styl życia i wiek uchronią mnie przed profilem ofiary tego agresora. Jak każda kobieta niezagrożona genetyczną mutacją, miałam zaledwie 12 proc. szans na zachorowanie. Moim obowiązkiem jest więc nagłaśniać podstępy choroby nowotworowej. I przyznam, że jeśli po lekturze tego artykułu choć kilkadziesiąt kobiet zdecyduje się udać od razu na profilaktyczne badania – będę odtąd pacjentką onkologiczną odrobinę szczęśliwszą.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 4ee1868b88

JAK ZAMACHOWIEC STANU

Rak pozostaje jedną z największych tajemnic medycyny, ponieważ jest rewolucją własnego organizmu. Niektórzy onkolodzy przedstawiają go jako „zamach stanu naszych komórek". Oto żyliśmy sobie jakby nigdy nic, a nagle i niepostrzeżenie nasze własne DNA, nasze komórki, zwracają się przeciwko nam. Zawsze służyły nam pomocą w rozwiązywaniu problemów i reperowaniu uszkodzonych tkanek, a teraz nagle ulegają perfidnym modyfikacjom, namnażając się ze stachanowską wydajnością. W dodatku jak przystało na (czerwonych) rewolucjonistów, nie zadawala ich wybuch rewolucji w jednym miejscu, ale chcą stworzyć „międzynarodówkę" – dając przerzuty do innych organów. Zupełnie jakby te szalone komórki mówiły: „Zrobiłyśmy niezły zamęt, podpaliłyśmy chatę, a teraz będziemy szukać sposobów ucieczki", podrzucając tym samym iskrę w inne miejsca. Owszem, nasz układ odpornościowy jest inteligentny, dlatego parę razy dziennie umie zidentyfikować i zniszczyć to, co obce oraz zagrażające. Tyle że perfidna komórka rakowa jest w stanie przyczaić się i ominąć systemy rozpoznawania naszego układu odpornościowego. Za wszelką cenę chce namnażać się i rosnąć w innych miejscach organizmu, co sprawia, że rak jest tak trudną do okiełznania chorobą. I dlatego tak ważne jest, aby odciąć głowę hydrze w jej początkowym stadium, zanim rozwinie swoje macki i doprowadzi do stanu paliatywnego lub śmierci.

MILCZENIE OZNACZA WSPÓŁUDZIAŁ

Zacznijmy jednak od cytatu z książki pt. „Cesarz wszech chorób" Siddharthy Mukherjee. Publikacja ta słusznie zdobyła nagrodę Pulitzera i wiele innych wyróżnień. „Na początku lat 50. Fanny Rosenow, kobieta, która pokonała raka piersi i zaangażowała się w krzewienie wiedzy o nowotworach, zadzwoniła do »New York Timesa«, chcąc zamieścić ogłoszenie o grupie wsparcia dla kobiet zmagających się z chorobą, przez którą sama przeszła. Przełączono ją do działu społecznego. Kiedy zapytała, czy może dać ogłoszenie, nastąpiła długa chwila milczenia. W końcu redaktor powiedział: »Przykro mi, proszę pani, ale 'Times' nie może publikować na swoich łamach słów PIERŚ ani RAK. Może sformułuje to pani jakoś inaczej, np. że odbędzie się spotkanie w sprawie chorób klatki piersiowej?«. Fanny Rosenow zdegustowana odłożyła słuchawkę".

Cisza wokół raka piersi tak naprawdę przyczynia się do zwiększania liczby ofiar. Przy okazji 15 października, czyli Europejskiego Dnia Walki z Rakiem Piersi, mówi się o nim więcej, zachęcając kobiety do badań przesiewowych (czyli USG piersi – skierowanego dla młodych kobiet – oraz mammografii). To jednak wciąż za mało i jakkolwiek źle to zabrzmi, milczenie o problemie w debacie publicznej jest jednym z kluczowych powodów rosnącej śmiertelności. Łatwo udowodnić tę ryzykowną tezę, ponieważ wedle najnowszych zestawień zachorowalność na raka piersi w Polsce i w Hiszpanii jest niemal identyczna. Wynosi przeciętnie 125 na 100 tys. kobiet, a jednocześnie żniwo śmierci w Polsce jest prawie dwa razy większe niż w Hiszpanii – 49 zgonów na 100 tys. w porównaniu do 28 na Półwyspie Iberyjskim. Polska pozostaje jednym z trzech krajów o najwyższej w Europie śmiertelności raka piersi. Powód? Nie tyle nawet ograniczony dostęp do bezpłatnych badań, ile złe nawyki. Polki zbyt późno zgłaszają się na badania, czasem pełne obaw chcą przeczekać problem, czasem robią to, niestety, ze wskazań lekarza, odsyłającego na wizytę za pół roku. Według najnowszych danych mammografię wykonuje zaledwie 36 proc. kobiet objętych programem bezpłatnych badań! Część winy leży też po stronie mediów (mnie samej jako dziennikarki), bo wiem, że w Hiszpanii temat raka piersi jest eksploatowany w debacie publicznej aż do przesytu. Dzięki temu jednak Hiszpanki obsesyjnie poddają się samobadaniu i robią systematycznie badania profilaktyczne, podczas gdy Polki przychodzą, gdy jest już (za) późno. Zresztą sprawa nie dotyczy tylko kobiet, bo rak piersi dotyka też 1 proc. mężczyzn.

Nie da się ukryć, że polski mainstream ma sporo na sumieniu. Notorycznie skupia uwagę społeczeństwa na losie nielegalnych imigrantów lub krzykliwych mniejszościach seksualnych, ale ciche cierpienie tysięcy rodaków, których nie stać na nierefundowany lek – już ich nie interesuje. Wszak liberalne elity zawsze się wyżywią i wyleczą prywatnie. A rak jest najbardziej „demokratyczną" chorobą, choć jego przyczyna wciąż pozostaje niewyjaśniona. Owszem, znamy wiele czynników wpływających na jego rozwój, m.in. te genetyczne i hormonalne, zła dieta, otyłość, palenie papierosów lub starszy wiek, jednak aż u 75 proc. kobiet nie stwierdza się żadnego z nich (tak jak u niżej podpisanej). Prawda o raku jest dojmująca: nieleczony nieuchronnie prowadzi do śmierci. A lekarstwem jest profilaktyka!

> Czytanie opasłej „biografii raka" Mukherjee przy okazji operacji i zabiegów, które przeszłam na oddziale chirurgii onkologicznej, okazywało się dla mnie zbawienne

RAK RAKOWI NIERÓWNY

Jak napisał wspomniany autor biografii raka, amerykański onkolog, hematolog Siddhartha Mukherjee: „Rak to nic innego jak maszyna, która nie umie wyłączyć wydanego jej polecenia (dzielenia się), a tym samym staje się niezniszczalnym *perpetuum mobile*. Żyje straceńczo, pomysłowo, zawzięcie, terytorialnie i defensywnie – niekiedy mogłoby się wydawać, że chce nas nauczyć, na czym polega przetrwanie".

Oczywiście szybkość rozrostu nowotworowego jest uzależniona od cech biologicznych i podtypu raka. Najczęściej występujący tzw. hormonozależny (luminalny) dotyka 70 proc. kobiet, u których zdiagnozowano tę chorobę. Jest mniej agresywny niż dwa inne występujące typy: czyli HER2+ i potrójnie ujemny.

eprasa.pl 4ee1868b88

Trzeba więc pamiętać, że, najprościej rzecz ujmując, rak rakowi nierówny. I nawet w chwili, gdy piszę ten artykuł w poradni onkologicznej, zgaduję, że każda z towarzyszek niedoli czekających w kolejce jest leczona zupełnie inaczej niż ja. Wybór metody leczenia raka piersi jest uzależniony m.in od jego typu histologicznego, obecności przerzutów, podtypu molekularnego, chorób towarzyszących, wieku oraz menopauzy. Dlatego raczej wszystkie pacjentki są poddane leczeniu chirurgicznemu, choć bardzo niewielka z nich część przejdzie mastektomię. Niektóre są dręczone radioterapią, chemioterapią lub hormonoterapią, leczeniem ukierunkowanym molekularnym. Zakres tortur jest na szczęście coraz węższy, bo świat medycyny uczy się najszybciej, i to przede wszystkim jak nie szkodzić pacjentce.

Czytanie opasłej „biografii raka" Mukherjee przy okazji operacji i zabiegów, które przeszłam na oddziale chirurgii onkologicznej, okazywało się dla mnie zbawienne. Ileż radości w smętnym losie pacjentki kryje się w odkryciu, że jeszcze parę dekad temu w ramach radykalnej rozprawy z rakiem piersi (zwanej metodą Halsteda) chirurdzy cięli zamaszyście (niczym kombajn) nie tylko pierś, mięśnie piersiowe, węzły chłonne, lecz także czasem żebra, fragmenty mostka i obojczyk. Dziś nie wypada nawet użalać się nad sobą, gdy miliony kobiet przed nami już samo leczenie raka przypłaciły zdrowiem i życiem.

> Wprowadzenie do systemu koordynatora onkologicznego, który „prowadzi za rękę" kobietę oszołomioną diagnozą raka, jest niewymowną pomocą. To koordynator umawia niezbędne badania, pytając nas tylko, czy odpowiada nam konkretna data, godzina i placówka, prowadzi nas przez grząską ścieżkę diagnostyki i leczenia

ROKOWANIE

Błąd popełniany przez wielu laików polega na nieodróżnianiu raka od nowotworu piersi. Zwykło się używać potocznie i niemal wymiennie obu tych nazw. Tymczasem różnica jest zasadnicza, bo nie każdy nowotwór jest rakiem, za to każdy rak jest nowotworem złośliwym. Nowotwory łagodne nie stanowią już dziś żadnego zagrożenia, ale rak pozostaje, niestety, „cesarzem wszech chorób". Rokowania znów zależą od jego rodzaju i podtypu, wielkości guza, wskaźnika proliferacji (czyli dynamiki wzrostu komórek nowotworowych), obecności i lokalizacji przerzutów, odpowiedzi na leczenie itd. Nowym i niepokojącym zjawiskiem jest zwiększenie występowania raka wśród młodych kobiet, u których choroba ma zwykle znacznie bardziej agresywny przebieg. Przywykło się określać dla każdego raka odsetek „przeżyć pięcioletnich", co zupełnie nie oznacza, że chorzy żyją tak krótko. Wskazuje on po prostu, jaki procent pacjentów ze zdiagnozowanym rakiem piersi żyje po pięciu latach od rozpoznania. Wynika to też z faktu, że w badaniach naukowych pacjenci onkologiczni właśnie tak długo są obserwowani. Najwyższe przeżycia uzyskuje się przy rozpoznaniu w stadium I zaawansowania raka, natomiast najniższe, pięcioletnie przeżycia dotyczą chorych w IV stadium i wynoszą zaledwie od 5 proc. do 26 proc. Na szczęście odsetek pacjentek z pięcioletnim przeżyciem w raku piersi w ciągu ostatnich lat powoli wzrasta. Dlatego tak ważna jest profilaktyka, bo nie wszystkie raki mają postać wyczuwalnego guza. Każda zmiana w obrębie piersi powinna być sygnałem ostrzegawczym (zaczerwienienie, kolor skóry, jej pomarszczenie, wyciek z brodawki, obrzęk). Ryzyko nawrotu raka po 5 czy 10 latach przeżycia jest bardzo niewielkie, ale gdy się objawi – groźne, jeśli nie zabójcze.

PLAGA SPOŁECZNA

Choroba nie jest „tylko" problemem zdrowotnym, społecznym, lecz także ekonomicznym. Zgodnie z danymi ZUS za 2020 r. rak piersi stanowił pierwszy nowotwór pod względem liczby dni absencji chorobowej spośród wszystkich nowotworów. Dla porównania – rak prostaty oraz rak płuca, będące kolejnymi nowotworami co do częstości wystawiania L4, generowały ponad trzykrotnie mniej zaświadczeń lekarskich. Dane ZUS wskazują, że w latach 2017–2020 rak piersi stanowił pierwszy nowotwór pod względem liczby wystawianych orzeczeń w celu uzyskania renty. Leczenie chorych na raka kobiet jest dla systemu kosztowne,

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 4ee1868b88

ale zbyt późne rozpoczęcie kuracji i zgony owych 7 tys. kobiet rocznie są jeszcze bardziej kosztowne dla państwa.

Obecnie jednak nawet zaawansowany rak piersi staje się chorobą przewlekłą, z którą można funkcjonować, pracować a nawet cieszyć się życiem. Rak przestał być tematem tabu, społeczeństwo dostrzega problem, a pracodawcy ułatwiają godzenie procesu leczenia z pracą (tu głęboki ukłon dla mojego Naczelnego i całej Redakcji!).

USPRAWNIENIE LECZENIA

Podziękowania należą się też tzw. państwu PiS, dzięki któremu leczenie onkologiczne wreszcie wjechało na tory cywilizowanej opieki zdrowotnej. Wprowadzenie do systemu koordynatora onkologicznego, prowadzącego za rękę kobietę oszołomioną diagnozą raka, jest niewymowną pomocą. To on wydzwania i umawia kolejne, niezbędne badania, pytając nas tylko, czy odpowiada nam konkretna data, godzina i placówka, prowadzi nas przez grząską ścieżkę diagnostyki i leczenia. Owszem, tzw. pakiet onkologiczny wszedł jeszcze w styczniu 2015 r., ale to dopiero wraz z rządami prawicy pojawiło się leczenie koordynowane, a w 2021 r. tzw. strategia. Polegała ona na wprowadzeniu wielu zmian w dostępie do nowoczesnych leków, wymianie sprzętu do diagnostyki, stosowaniu nowych terapii, bo prawie 30 nowych leków znalazło się w ostatnim roku na liście refundowanej. W całej Polsce wchodzi właśnie w życie Krajowa Sieć Onkologiczna jako przełom w dostępie do leczenia. Na onkologię wreszcie przeznacza się coraz więcej środków z budżetu, choć nikt nie zaprzeczy, że wciąż brodzimy w oceanie potrzeb. I znów wrócić trzeba do mantry tego tekstu, że podnoszenie świadomości społecznej w sprawie profilaktyki uratuje nas przed niewydolnością systemu wobec rozmiaru wyzwań. Nikt nie zaprzeczy przecież, że wraz ze zwiększoną obecnością uchodźczyń z Ukrainy kolejki znacznie się wydłużyły, a przecież onkologów nie przybyło.

NIE JESTEŚ SAMA

I w końcu najważniejsze: żadna kobieta nie choruje sama, o ile otacza ją troska rodziny. Niepotrzebny jest zastęp psychoonkologów, gdy można liczyć na najbliższych. Lansowany przez lewicę model singla, „bezkidki" czy też „dwa + psiecko" jest – upieram się – po prostu śmiertelnym wyrokiem na psychikę i zdrowie chorego. Rak piersi jak w soczewce pokazał mi kolejny cud posiadania rodziny, od którego chcą nas odwieść współcześni barbarzyńcy. Proszę więc wybaczyć odrobinę prywaty, ale z tego miejsca pragnę też podziękować zwłaszcza Kochanemu Mężowi i Synom, Rodzicom i Siostrze. Nieoczekiwanie dla armii onkologów na drodze „cesarza wszech chorób" najgroźniejszym jego przeciwnikiem okazuje się... zjednoczona w walce, ale też modlitwie rodzina.

Panu
Maciejowi Świrskiemu

Przewodniczącemu Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

MAMY

składają
członkowie Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji
oraz pracownicy Biura KRRiT

17/1023/F

Pragniemy wyrazić głębokie współczucie
Panu

Maciejowi Świrskiemu

Przewodniczącemu Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji
w związku z odejściem

Mamy

W tych trudnych chwilach, myślami
i modlitwą jesteśmy z Panem.

Połączeni w żałobie
prezesi siedemnastu Rozgłośni Regionalnych Polskiego Radia

18/1023/F

eprasa.pl 4ee1868b88

Dlaczego Izrael dał się zaskoczyć?

MAREK BUDZISZ

Dla zamieszkanego przez 9 mln ludzi Izraela śmierć ponad 1,3 tys. obywateli zamordowanych przez terrorystów z Hamasu w ciągu kilkunastu godzin jest narodową katastrofą. Prezydent Jicchak Herzog, powiedział, i trudno się z tym nie zgodzić, że „była to największa masakra Żydów od czasów Holokaustu". Państwo mające, zdaniem wielu ekspertów, najlepiej wyszkoloną armię na świecie i najsprawniejszy wywiad zostało zaskoczone i upokorzone przez organizację kontrolującą Strefę Gazy, liczący 365 km² wąski pas lądu, zamieszkany przez ponad 2 mln ludzi. Porażka izraelskiego wywiadu jest tym większa, że – jak wynika z jednej z przechwyconych i ujawnionych przez media rozmów – przygotowania do uderzenia trwały ponad rok, a eksperci zwracają uwagę na skalę trudności związaną z przeprowadzeniem wielodomenowego ataku. Uderzenie nastąpiło od strony lądu, z morza, powietrza i z podziemnych tuneli, co potwierdza tezę o wielomiesięcznych przygotowaniach na dużą skalę.

ZLEKCEWAŻONE SYGNAŁY

Klęska izraelskiego wywiadu nie podlega dyskusji, istotne jest co innego. Czy była ona, jak napisała na łamach „Foreign Policy" Elena Grossfeld z londyńskiego War College, wynikiem braku wiedzy, czy może braku woli działania i wykorzystania posiadanych informacji?

Wydaje się, że informacje były dostępne. „Times of Israel" już po napaści Hamasu informował, iż szef egipskich służb specjalnych skierował do premiera Netanjahu osobisty list, w którym przestrzegał, że „Hamas szykuje coś wielkiego", a doniesienia te publicznie potwierdził Michael McCaul, kierujący komisją spraw zagranicznych Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych – przyznał on, że trzy dni przed atakiem rząd Izraela był informowany o zagrożeniu. Jeszcze w sierpniu Yigal Carmon, w przeszłości pułkownik wywiadu, a obecnie założyciel i szef izraelskiego think-tanku strategicznego MEMRI, opublikował raport, w którym prognozował, że we wrześniu lub październiku bardzo prawdopodobna jest kolejna wojna z Hamasem, przygotowującym się do uderzenia w „okolicach świąt żydowskich". Atak nastąpił w święto Sukkot.

Izraelskie media ujawniły też, że w poprzednich miesiącach Hamas wcale nie krył się z tym, iż szkoli się, aby móc przeprowadzić uderzenie. Zbudował nawet w Strefie Gazy specjalne miasteczko przypominające izraelski kibuc i ćwiczył zdobywanie tego osiedla. Nagrał również film instruktażowy, najprawdopodobniej znany przedstawicielom izraelskiego wywiadu.

To nie pierwszy raz w historii, kiedy wywiad, mając wiedzę i niezbędne informacje, nie umiał w prawidłowy sposób przewidzieć, jak rozwiną się wydarzenia i wysyłał uspokajające komunikaty. Amerykanie dali

eprasa.pl 4ee1868b88

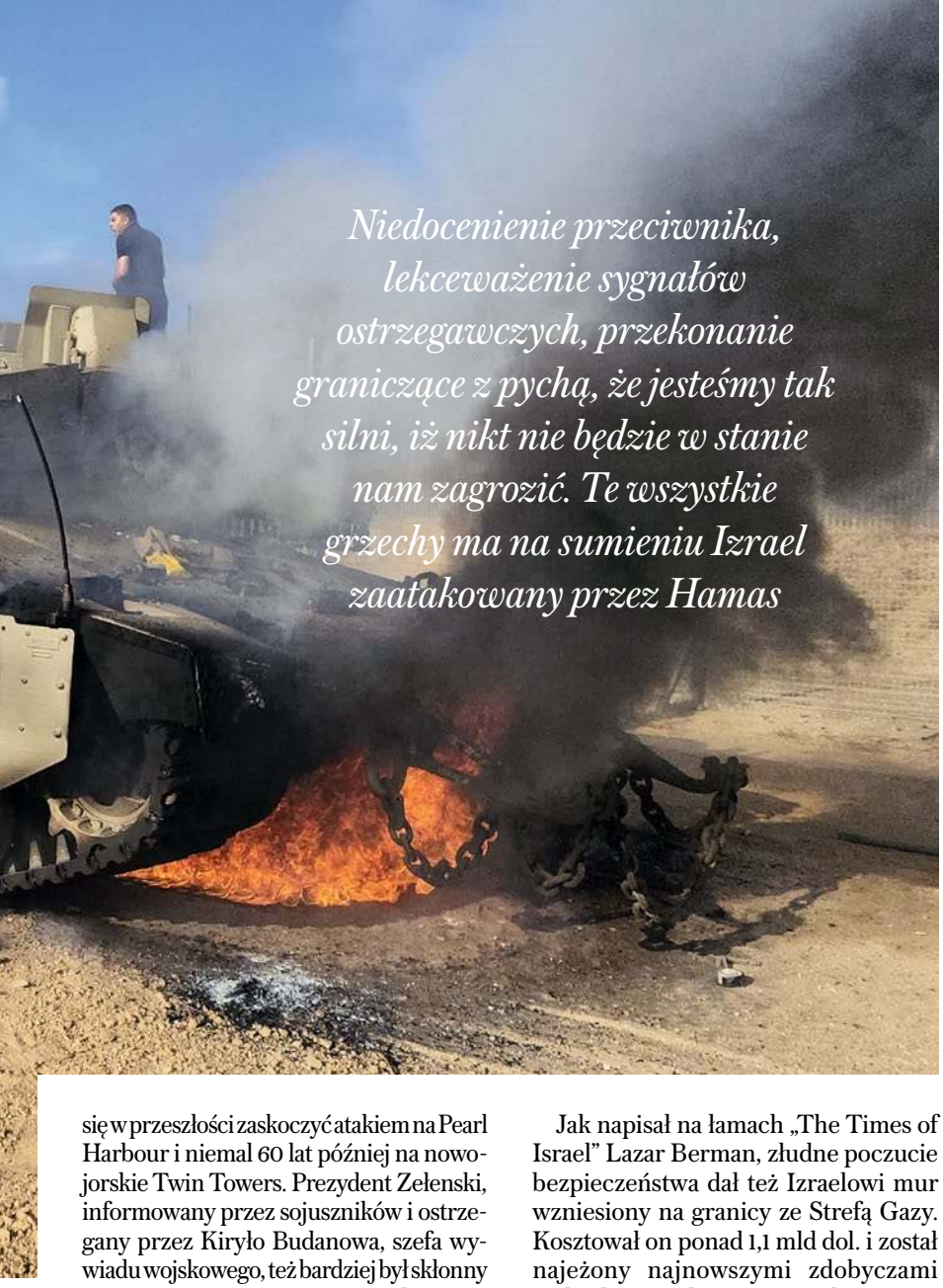

Niedocenienie przeciwnika, lekceważenie sygnałów ostrzegawczych, przekonanie graniczące z pychą, że jesteśmy tak silni, iż nikt nie będzie w stanie nam zagrozić. Te wszystkie grzechy ma na sumieniu Izrael zaatakowany przez Hamas

Fot. AP Photo/Hassan Eslaiah / EastNews

się w przeszłości zaskoczyć atakiem na Pearl Harbour i niemal 60 lat później na nowojorskie Twin Towers. Prezydent Zełenski, informowany przez sojuszników i ostrzegany przez Kiryło Budanowa, szefa wywiadu wojskowego, też bardziej był skłonny wierzyć tezie, że „Rosjanie nie odważą się zaatakować" i wybuch wojny zastał go we własnym łóżku.

Nie jest to nic nadzwyczajnego i pokazuje pewną prawidłowość, a mianowicie to, że wywiad i politycy mają skłonność do sortowania informacji. Przyjmują do wiadomości te, które potwierdzają ich poglądy, a lekceważą sprzeczne z nimi. Tak zapewne było też w przypadku Izraela, bo jak powiedział Agencji Reutera Yaakow Amidroor, były narodowy doradca ds. bezpieczeństwa, „głupio wierzyliśmy w to, że Hamas jest niezdolny do ataku". Izraelska klasa polityczna i przedstawiciele wywiadu uważali, iż rządzący Strefą Gazy są zainteresowani przede wszystkim rozwojem gospodarczym tego obszaru, zwiększaniem liczby pozwoleń na pracę w Izraelu dla Palestyńczyków i nie planują kolejnych ataków.

Jak napisał na łamach „The Times of Israel" Lazar Berman, złudne poczucie bezpieczeństwa dał też Izraelowi mur wzniesiony na granicy ze Strefą Gazy. Kosztował on ponad 1,1 mld dol. i został najeżony najnowszymi zdobyczami techniki umożliwiającymi obserwację tego, co się dzieje po drugiej stronie. To zresztą niejedyne tego rodzaju inwestycje podjęte w ostatnich latach. Podobne mury wzniesiono na granicach z Jordanią, Syrią czy Egiptem. Niektórzy specjaliści uważają nawet, że system Iron Dome – Żelazna Kopuła – przechwytujący rakiety wymierzone w izraelskie cele, też jest „rodzajem muru" mającego gwarantować bezpieczeństwo znajdującym się w jego zasięgu. Gen. Meir Finkel już w 2015 r. zwracał uwagę, że polityka odgrodzenia się od przeciwników nie tylko oznacza wydawanie środków budżetowych na drogie inwestycje, które niekoniecznie sprawdzą się w czasie wojny, czego najlepszym przykładem jest francuska linia Maginota. Powodują również „uśpienie czujności" wywiadu i sił zbrojnych – ich przedstawiciele uważają, że kraj jest bezpieczny i nie ma potrzeby utrzymywać stanu ciągłej gotowości. Atak Hamasu, który zaskoczył elitarne jednostki z bazy wojskowej Erez, potwierdził słuszność tej diagnozy. Jest to zresztą szerszy, dyskutowany w Izraelu problem.

Inni oficerowie, tacy jak płk Yehuda Vach, komendant jednej ze szkół oficerskich, już kilka lat temu argumentowali, że w sensie strategicznym mur wzmacnia raczej przeciwnika niż Izrael, gwarantując mu kontrolę nad odgrodzonym terytorium, które nie jest penetrowane przez siły zbrojne Izraela. Tym bardziej że nie zapewnia szczelności „w drugą stronę". A zatem, jak dowodził, jego budowa powoduje strategiczną asymetrię na korzyść sił wrogich. Inny ekspert, wykładający na Uniwersytecie w Tel Awiwie, Yoav Fromer, zwracał uwagę, że bariera, będąc uzasadnionym sposobem zapewnienia ochrony ludności cywilnej, stała się „celem samym w sobie", mającym zagwarantować bezpieczeństwo w każdym wymiarze, również wojskowym. Niektórzy z wypowiadających się izraelskich wojskowych uważają wręcz, że mówienie wyłącznie o obronie oznacza zaniedbanie możliwości uprzedzającego uderzenia na przeciwnika, zawsze daje mu przewagę inicjatywy, bo to wróg wybiera miejsce i czas ataku. W świetle tej argumentacji najlepszą gwarancją bezpieczeństwa jest takie ukształtowanie sił zbrojnych, aby w razie konieczności były one zdolne zaatakować koncentrującego się przeciwnika na jego terytorium.

Elity polityczne Izraela uznały w ostatnich latach, że państwu nie grozi wojna z sąsiadami na wielką skalę, a jedynie słabe, nieskoordynowane i takie, którym łatwo przeciwdziałać ataki grup terrorystycznych w rodzaju Hamasu czy Islamskiego Dżihadu. W efekcie podjęto też decyzję o docelowym zmniejszeniu liczebności sił zbrojnych z 45 do 40 tys. żołnierzy, skróceniu do 36 miesięcy okresu obowiązkowej służby wojskowej dla mężczyzn i zaczęto dyskutować, czy nie byłoby celowe zmniejszenie o jedną trzecią liczebności aktywnej rezerwy. Te korzystne z ekonomicznego i budżetowego punktu widzenia decyzje świadczą jednak o niedocenieniu przeciwników, a może nawet, jak powiedział Martin Indyk, były ambasador Stanów Zjednoczonych w Izraelu, są dowodem pychy, przekonania, że jesteśmy tak silni, iż nikt nie będzie w stanie nam zagrozić.

eprasa.pl 4ee1868b88

OSTRY SPÓR WEWNĘTRZNY

Izrael od 10 miesięcy jest też wstrząsany głębokim konfliktem politycznym na tle reformy wymiaru sprawiedliwości realizowanej przez rządzącą konserwatywną koalicję. Jak obliczyli eksperci izraelskiego Narodowego Instytutu Studiów nad Bezpieczeństwem, w kraju w tym czasie miało miejsce ponad 1,8 tys. demonstracji w 200 miastach i miasteczkach.

Jak napisał Ofer Shelah, emerytowany dowódca w siłach powietrznodesantowych, spór polityczny, w którym Izrael pogrążył się w ostatnich 10 miesiącach, „doprowadził do przekroczenia wielu czerwonych linii, które do tej pory nigdy w historii Izraela nie były przekraczane". Oskarżył on też przedstawicieli rządu o „rozpętanie wojny kulturowej" i „celowe niszczenie autorytetu korpusu oficerskiego". Druga strona nie była też bez winy. Niektórzy oficerowie rezerwy, tacy jak gen. Yair Golan, określali konstytucyjny i wybrany w demokratycznych wyborach rząd mianem „grupy religijnych ekstremistów", a liczni oficerowie rezerwy izraelskiego lotnictwa, regularnie uczestniczący w ćwiczeniach, deklarowali w związku z kryzysem politycznym wstrzymanie swego udziału w szkoleniu. David Barnea, szef Mosadu, jeszcze w lutym wyraził zgodę na uczestnictwo pracowników niższych szczebli w antyrządowych protestach. Te działania pogłębiły tylko nieufność między politykami z mającej większość w Knesecie koalicji rządowej a światem wywiadu i armii – te zaczęły być przez nich postrzegane w kategoriach zaangażowanej strony ostrego sporu politycznego.

Komentatorka prawicowego, lecz krytycznego wobec Netanjahu dziennika „Israel Hayom" napisała, że w ostatnich miesiącach dowództwo sił zbrojnych więcej czasu poświęcało na przekonanie rezerwistów, aby uczestniczyli w szkoleniach, niż na obserwację tego, co się dzieje dookoła Izraela.

To odwrócenie uwagi sił zbrojnych od spraw ważnych jest też „zasługą" współtworzących rządową koalicję formacji ortodoksyjnych. Aktywnie wspierają one osadnictwo żydowskie na Zachodnim Brzegu, co w ostatnich miesiącach doprowadziło do wieli konfliktów i starć z Palestyńczykami. W efekcie to ten obszar, a nie Strefę Gazy uznano za region, gdzie może nastąpić wybuch i dowództwo armii podjęło decyzję o przesunięciu tam części jednostek.

Protesty w Izraelu, jak napisała Elena Grosfeld w „Foreign Policy", trwający miesiące spór polityczny ujawniły nie tylko głębokie podziały społeczne, lecz także spowodowały, że siły zbrojne przestały być postrzegane jako apolityczny „wielki niemowa". Spór przede wszystkim wpłynął na to, jak wrogowie zaczęli oceniać sytuację. Mogli oni uznać, że jest to świadectwo słabnięcia państwa, niezdolności do podjęcia trudnych decyzji i w związku z tym otwiera się dla nich „okienko możliwości".

> Michael McCaul, kierujący komisją spraw zagranicznych Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych, przyznał, że trzy dni przed atakiem rząd Izraela był informowany o zagrożeniu

Zdaniem niektórych ekspertów izraelskie służby zanadto uwierzyły też w zdobycze nowych technologii, zdolność do przechwytywania rozmów telefonicznych, nieograniczone możliwości śledzenia ruchów przeciwnika oraz najnowocześniejsze systemy nasłuchu i rozpoznania. Zaniedbano metody tradycyjne, takie jak pozyskanie osobowych źródeł informacji i penetrację. Hamas odpowiedział na ten przechył ruchem w przeciwnym kierunku – przestał używać telefonów komórkowych, zbudował sieć wytłumionych i ukrytych punktów dowodzenia oraz dosłownie zszedł pod ziemię, budując setki kilometrów tuneli, określanych mianem Metra Gazy, aby być w stanie przemieszczać się niepostrzeżenie i zaatakować z zaskoczenia.

KRYZYS PRZYWÓDZTWA

Jest wreszcie ostatnia kwestia, o której zaczynają pisać izraelscy komentatorzy. Mowa o kryzysie przywództwa. David Baron, komentator dziennika „Israel Hayom", napisał, że rosyjska reakcja na masakry Hamasu sprawiła, iż Moskwa „ujawniła swe prawdziwe kolory". Netanjahu jest ostro krytykowany za to, że nie ma go z ludźmi na ulicach, nie słucha ich wypowiedzi, nie uczestniczy w narodowej traumie, a ogranicza się jedynie do telewizyjnych wystąpień. Padają też pytania, czy dotychczasowa linia izraelskiego premiera – utrzymywanie równego dystansu między Moskwą a Kijowem, nie zgadzając się choćby na dostawy broni dla Ukrainy – nie okazała się strategicznym błędem.

Tym bardziej w świetle pogłębiającego się aliansu wojskowego między Rosją a Iranem i wsparcia Moskwy dla Hamasu, którego kierownictwo dwukrotnie w ciągu ub.r. odwiedzało rosyjską stolicę. Kwestie jakości klasy politycznej, jej zdolności przywódczych, umiejętności budowania narodowej jedności i zgody okazują się, zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych, warunkiem koniecznym do przetrwania i zwycięstwa.

Jakie wnioski na nasz użytek możemy wyciągnąć z izraelskich doświadczeń? Nie ma domkniętego systemu bezpieczeństwa, który należy zbudować, a potem można żyć, nie interesując się tym, co robią nasi wrogowie. Ci zawsze będą starali się nas osłabić i to, w jaki sposób praktykujemy naszą wolność i demokrację, wpływa na ich oceny. Nawet jeśli podziały wewnętrzne nas nie osłabią, to wróg może myśleć, że jest inaczej i zdecydować się na atak. Uderzy tam, gdzie się najmniej spodziewamy i gdzie jesteśmy najsłabsi. W trudnych czasach nie ma też niczego ważniejszego niż dobrze rozpoznający sytuację strategiczną, odważni i oddani interesom ojczyzny przywódcy polityczni, bo to oni nie mogą podjąć błędnej decyzji w chwili próby. Od ich decyzji, podejmowanych czasem lata wcześniej, zależy przyszłość naszej wspólnoty. Izrael opuścił Strefę Gazy w 2005 r. i uwierzył, że wzniesiony mur gwarantuje mu bezpieczeństwo. Ostatnie wydarzenia pokazały, jak bardzo się wówczas pomylono.

eprasa.pl 4ee1868b88

Podsumowanie drugiej edycji programu „Zdrowe życie”

Druga edycja programu „Zdrowe życie” dobiegła końca. Ten największy w Polsce program profilaktyczny, realizowany pod patronatem pary prezydenckiej, przy współpracy jednostek administracji rządowej, instytucji publicznych, służb mundurowych i narodowego ubezpieczyciela, Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń, w ciągu dwóch lat zagościł w 37 lokalizacjach, w jego ramach wykonano blisko 150 tys. usług, badań i konsultacji. W br. medyczny konwój rozpoczął podróż przez Polskę 22 kwietnia w Skierniewicach i odwiedził 25 miejscowości, w których wykonano ponad 100 tys. usług, w tym blisko 65 tys. samych badań i konsultacji

„Zdrowe życie” to pierwszy ogólnopolski projekt poświęcony profilaktyce zdrowotnej, przygotowany we współpracy Ministerstwa Zdrowia, Ministerstwa Aktywów Państwowych, Narodowego Funduszu Zdrowia, PZU oraz pod honorowym patronatem pary prezydenckiej. Celem projektu jest zachęcenie dorosłych i dzieci do prowadzenia zdrowego stylu życia i przeprowadzania regularnych badań kontrolnych w myśl hasła: „Lepiej zapobiegać, niż leczyć”.

Fot. Materiały prasowe

W br. w 25 miejscowościach Polacy skorzystali ze 110 tys. usług, w tym 65 tys. badań i konsultacji. Dla porównania łącznie we wszystkich miastach, w których w 2022 r. pojawiła się Mobilna Strefa Zdrowia, zrealizowano w ramach całego programu 34 481 usług, w tym 14 587 badań i konsultacji lekarskich. Dane te wskazują na rosnące zainteresowanie projektem promującym bezpłatne badania wśród Polaków. W br. zwraca uwagę przeważająca liczba badań i konsultacji medycznych w porównaniu do usług towarzyszących.

Kolejny pozytywny aspekt obecnej edycji programu to statystyki osób, których wyniki badań znalazły się poza normą. W 2022 r. według uśrednionych danych prawie co czwarta osoba (24 proc.) została skierowana na dalszą diagnostykę. W 2023 r. ten trend zaczyna powoli spadać – obecnie średnia wyników poza normą to 17 proc. W niektórych wypadkach spadek jest bardzo wyraźny: pomiar poziomu glukozy wskazywał nieprawidłowe wartości już tylko u co dziesiątego badanego, chociaż rok wcześniej było to 22 proc. Największą zmianę obserwujemy w przypadku pomiaru cholesterolu całkowitego. W 2022 r. aż w 43 proc. badań wynik był ponadnormatywny, w br. – w 18 proc. Chociaż nadal jest to wynik daleki od ideału, z pewnością stanowi jedną z najlepszych informacji tegorocznej edycji. Dużą rolę odgrywała tutaj skuteczność działań informacyjnych zachęcających do badań profilaktycznych osoby zdrowe, a był to jeden z kluczowych celów projektu z punktu widzenia działań prewencyjnych.

Według badania o życiu i zdrowiu Polaków zrealizowanego przez agencję badawczą IQS na zlecenie PZU niemal co piąty Polak nie robił badań profilaktycznych przede wszystkim z braku czasu i potrzeby. Najczęściej na badania decydują się dopiero ludzie po 55. roku życia, co oznacza, że o swoim stanie zdrowia myślimy dopiero przed emeryturą. Często dopiero wtedy zdajemy sobie sprawę ze skali zaniedbań, jakich dopuściliśmy się przez lata wobec własnego organizmu. Tymczasem w profilaktyce chodzi o to, żeby o swoim przyszłym stanie zdrowia myśleć dużo wcześniej, nie zaniedbując badań, wizyt lekarskich i ogólnej kondycji. Zdrowie to nie tylko brak objawów choroby, lecz także dobre samopoczucie, zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Profilaktyka pozwala nam szybko reagować na wczesne symptomy pogarszania stanu zdrowia, dlatego tym bardziej cieszą wyniki tegorocznej edycji „Zdrowego życia”.

Artykuł sponsorowany | 57/0923/F

eprasa.pl 4ee1868b88

Polowanie na Żydów

Atak palestyńskich radykałów na Izrael wstrząsnął cywilizowanym światem. Również dlatego, że od czasu likwidacji warszawskiego getta i komór gazowych Birkenau nikt nigdy nie zabił tak licznej rzeszy żydowskich cywilów tylko z tego powodu, że byli Żydami

JAN ROKITA

Nagły nawrót wojny na Bliskim Wschodzie nie jest niespodzianką. W końcu każdy wie, iż trwa ona dłużej, niż my żyjemy, a co jakiś czas wybucha z nową gwałtownością. Taka właśnie jest natura tzw. zamrożonych konfliktów.

Prawdopodobieństwo kolejnej eksplozji było już od jakiegoś czasu tym większe, że Izrael pod przywództwem premiera Benjamina Netanjahu przyjął twardszą linię postępowania wobec Palestyńczyków, odrzucając postulowane przez cały świat tzw. rozwiązanie dwupaństwowe. Co ciekawe, można już było mieć wrażenie, że twarda linia Netanjahu przynosi Izraelowi sukcesy w postaci nawiązywania normalnych dyplomatycznych relacji z kolejnymi krajami arabskimi. A coraz bardziej izolowani palestyńscy radykałowie z Hamasem na czele, rządzącym od 16 lat w Strefie Gazy, zmuszeni są miarkować się w atakach na Izrael, by móc w ogóle przetrwać.

Woda, gaz, prąd, możliwości pracy – 2 mln Palestyńczyków żyjących w Gazie może przecież dostać to wszystko jedynie od Izraela, o ile ich przywódcy akceptowaliby jakąś formę chwiejnego *modus vivendi* z państwem żydowskim. I po ustaniu ostatnich walk w 2021 r. Gaza powoli zaczynała żyć normalnie, bez ustawicznego stanu oblężenia. Mur otaczający miasto stał się przenikalny, bo rząd Netanjahu zaczął wydawać każdego roku dziesiątki tysięcy pozwoleń na pracę w Izraelu dla mieszkańców Gazy, tłumacząc, iż jest to akcja budująca pokój. Ale co ważniejsze, izraelskie służby od 2018 r. z premedytacją przepuszczały pochodzące od katarskich szejków walizki z gotówką, teoretycznie przeznaczoną na utrzymanie władz miasta i tamtejszych usług publicznych. A wszystko to było negocjowane z rządzącą w Gazie administracją Hamasu, oczywiście nie bezpośrednio, ale za uprzejmym pośrednictwem rządu Egiptu.

SPRZYJAJĄCY MOMENT DO ATAKU

Dla palestyńskich radykałów musiało więc być jasne, że utrzymanie takiego trendu oznacza nie tylko kres marzeń o państwie palestyńskim, lecz także stopniowe słabnięcie ich wpływów pośród ludności Strefy Gazy.

Ta erozja wpływów z pewnością by przyspieszyła, jeśli już za chwilę by doszło – co intensywnie negocjowali Amerykanie – do historycznego pojednania Izraela z najważniejszym państwem sunnickim, czyli monarchią saudyjską. Saudyjski książę jako ambasador przy rządzie Netanjahu, negującym prawo Palestyńczyków do własnego państwa – to musiałby być symboliczny cios w radykałów z tzw. skrzydła wojskowego Hamasu, którzy ciągle myśleli o zniszczeniu państwa żydowskiego w Palestynie.

Dla decyzji o wznowieniu wojny z Izraelem (im okrutniejszej, tym lepiej) nie bez znaczenia było też pogrążenie się izraelskiej demokracji w kryzysie wewnętrznym wokół sporu o tamtejszy Sąd Najwyższy, przechwytujący część

45/1222/F

eprasa.pl 4ee1868b88

politycznej władzy nad państwem. Nieustanne protesty, zamieszki, oskarżenia o „faszyzm", rosnąca wrogość Zachodu wobec izraelskiej polityki, słabość rządu trzymającego się na kilku posłach i, co może tu najważniejsze, nieustanne sygnały o złych nastrojach w armii oraz protestacyjnych odmowach udziału wojskowych w szkoleniach i manewrach. Taki moment skłócenia się Żydów musiał wyglądać na dobrą okazję do ataku.

Powtórzmy zatem, bo to rzecz istotna: nawrotu wojny w takich okolicznościach należało się spodziewać. To jednak, co nagle się wydarzyło o świcie w sobotę, 7 października, było tak zdumiewające, że nie tylko Izraelczycy, lecz także chyba cały świat wpadł w osłupienie.

Wzniesiony kosztem miliardów dolarów i najeżony cyfrową technologią mur graniczny pomiędzy Izraelem i Gazą okazał się (jak napisała jedna z gazet izraelskich) „ścianą z papieru". A bojówkarzom Hamasu wystarczyły tanie drony, wytwarzane domowym sposobem bomby i zwykłe buldożery, aby błyskawicznie znaleźć się w samym środku budzących się o tej porze, gęsto zamieszkanych żydowskich kibuców. Nie był to jednak bynajmniej atak napastników amatorów, lecz dobrze zorganizowana akcja z udziałem ok. 2 tys. przeszkolonych, gotowych na śmierć bojowców, dokonujących inwazji z lądu, morza i powietrza, za pomocą paralotni, pick-upów, motocykli, wózków golfowych oraz łodzi motorowych.

Napastnicy działali w zorganizowanym rozproszeniu, tak by jednocześnie zaatakować obozy wojskowe armii izraelskiej, leżące w pobliżu granicy. A przede wszystkim po to, by w tym samym czasie rozpocząć zabijanie i uprowadzanie Żydów mieszkających albo akurat przebywających blisko granicy.

ŚWIAT W SZOKU

Kiedy pełnomocniczka rządu Bidena ds. walki z antysemityzmem Debora Lipstadt powiedziała następnego dnia, iż dokonał się właśnie „najbardziej śmiercionośny atak na Żydów od czasu Holokaustu", uznałem to w pierwszym odruchu za przejaw histerii. Ale wkrótce potem w telewizyjnym orędziu powtórzył te słowa prezydent Izraela Jicchak Herzog. Dopiero oglądając w sieci jego poruszającą mowę, uświadomiłem sobie, co w istocie zdarzyło się w sobotę na południu Izraela. Faktycznie, od czasu likwidacji warszawskiego getta i komór gazowych Birkenau nikt nigdy nie zabił tak licznej rzeszy żydowskich cywilów tylko z tego powodu, że byli Żydami. Ginęli na wojnach izraelscy żołnierze, podczas igrzysk olimpijskich mordowano izraelskich sportowców, przypadkowi Żydzi padali ofiarą nożowników albo eksplozji autobusów podczas tzw. intifady, zdarzały się pogromy, jak choćby ten w Kielcach. Ale to dopiero skala mordów dokonanych w poprzednią sobotę musiała wywołać u Żydów na całym świecie wątpliwość, czy aby nie jest możliwy nowy Holokaust. I pewnie stąd bierze się wstrząs, którego doznał tego dnia cywilizowany świat. Obrazy sobotniej masakry znajdują się w sieci, co zresztą stało się powodem ostrych sporów, m.in. między Komisją Europejską i Elonem Muskiem, który nie zastosował na platformie X (d. Twitter) jakiejś rygorystycznej cenzury. Z kolei Nathaniel Buzolic, najpopularniejszy izraelski aktor (znany z kultowego serialu „Pamiętniki wampirów"), wywołał wielką awanturę z Instagramem, który zamknął mu konto, gdy opublikował na nim całą listę filmików pokazujących sceny polowania na Żydów. Buzolic chyba nie bez racji zarzuca Instagramowi, że uniemożliwiając pokazanie światu skali zbrodni, niemieszczących się normalnym ludziom w głowach, ochrania morderców.

Załamany dowódca jednostki spadochroniarzy, która dopiero po 12 godz. polowania na Żydów lądowała w kibucu Kfar Aza, aby ratować ocalałych, opowiada o dziesiątkach trupów całych rodzin przy stołach, gdyż o poranku siadano właśnie do śniadania. Cały świat oglądał niezliczone nagrania polowań na żydowską młodzież, która tłumnie pojawiła się w kibucu Berei na festiwalu muzycznym „Supernova", po raz pierwszy odbywającym się w Izraelu. A ponieważ kibuc Berei leży na samym skraju pustyni Negew, do uciekającej przez nią i niemającej się gdzie skryć młodzieży Palestyńczycy strzelali jak do kaczek na jeziorze.

Fot. SAID KHATIB / AFP / EastNews

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA
saltus.pl

W ofercie ubezpieczenia:
mieszkaniowe,
zdrowotne, NNW,
podróżne i na życie!

Dostępne m.in. w placówkach
Spółdzielczych Kas
oraz Banków Spółdzielczych.

TOWARZYSTWO
UBEZPIECZONYCH

eprasa.pl 4ee1868b88

Bojówkarze Hamasu nie tylko z łatwością dostali się do Izraela, nieniepokojeni przez żadną armię czy straż graniczną. Nie tylko mieli wiele godzin na to, aby, niczym w warszawskim getcie, przeszukiwać piwnice i strychy domów, by wykryć jeszcze jakiegoś żywego Żyda, lecz także wielu z nich pozwolono na powrót do Gazy wraz z licznymi porwanymi zakładnikami.

JAK TO MOŻLIWE?

Przyznam otwarcie, że nic w tym scenariuszu nie jest dla mnie zrozumiałe, ale pocieszam się, że taką samą niezdolnością rozumienia sytuacji wykazują się teraz fachowi izraelscy publicyści. Izraelskie media formułują dramatyczne pytania, ale nie potrafią na nie odpowiedzieć.

Jak to możliwe, że izraelski wywiad, mający legendę najlepszego na świecie, nie wiedział o tak dużym zbrojnym przedsięwzięciu, przygotowywanym przez wojskowe skrzydło Hamasu? A może wiedział, tylko jego wiedza została zignorowana przez polityków i wojskowych? Jak to możliwe, że trzeba było wielu godzin, by w zaatakowanych kibucach pojawiła się regularna armia, ponoć też najsprawniejsza na świecie? Jak to możliwe, że po całodziennym polowaniu na Żydów na terytorium Izraela część bojówkarzy mogła wrócić do Gazy wraz z uprowadzonymi zakładnikami? No i przede wszystkim – jak to możliwe, że nadgraniczne fortece armii izraelskiej były tak zaskoczone atakiem, że po trwających mniej więcej godzinę walkach zostały zdobyte i spalone przez napastników, niebędących przecież żołnierzami żadnej armii, ale konspiracyjnymi bojowcami, szkolonymi w ukryciu?

Polakowi żyjącemu w przekonaniu o mitycznej sile i perfekcyjnej organizacji izraelskiego państwa oraz armii każdy z tych faktów musi wywracać obraz świata do góry nogami. Mnie się przypomniała czytana parę lat temu publikacja z listami wysyłanymi przez żołnierzy izraelskich do swoich domów podczas tzw. wojny lipcowej 2006 r., czyli nieudanej próby pacyfikacji szyickiego Hezbollahu w Libanie. Zapamiętałem ton jednego z nich, który zdał mi się w miarę reprezentatywny: „Mamusiu, tu naprawdę do mnie strzelają!". To wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że być może etos państwowy Izraela z czasów pierwszych osadników, bojowników Hagady i wojny sześciodniowej 1967 r. przechodzi już do historii. A niedawne wielkie parady gejów i wiece na rzecz sędziów w Tel Awiwie, żądające w istocie kontrkulturowej rewolucji obyczajowej oraz religijnej, umacniają mnie w przekonaniu, że Izrael jako zwykła demokracja zachodnia podlega tym samym trendom społecznego rozkładu, które obserwujemy na całym Zachodzie.

CO DALEJ?

Sobotnie polowanie na Żydów oznacza fiasko dotychczasowej, jeszcze niedawno tak dobrze rokującej polityki Netanjahu. Izraelskie media, i to wcale nie tylko te ostro opozycyjne (np. dziennik „The Times of Israel"), zarzucają teraz premierowi, że to w gruncie rzeczy jego polityka „wyhodowała" zbrodniarzy z Hamasu. Rzecz w tym, że głównym celem wieloletniej polityki palestyńskiej Netanjahu było przeszkodzenie prezydentowi Autonomii Palestyńskiej Mahmudowi Abbasowi w jego dążeniu do utworzenia państwa palestyńskiego.

> Kibuc Berei leży na samym skraju pustyni Negew, więc do uciekającej przez nią i niemającej się gdzie skryć młodzieży Palestyńczycy strzelali jak do kaczek na jeziorze

Wiedząc, że Abbas ma poparcie świata zewnętrznego, a Hamas jest coraz bardziej izolowany, Netanjahu grał radykałami rządzącymi w Gazie, przepuszczając katarskie pieniądze, dając pracę ich ludziom, machając ręką na mało szkodliwe rakiety domowej roboty, stale wystrzeliwane ze Strefy Gazy. Minister finansów Bezalel Smotrich miał ponoć kiedyś wprost powiedzieć, że to „Autonomia jest ciężarem, a Hamas atutem politycznym Izraela". Atak Hamasu jest śmiertelnym ciosem zadanym tej polityce. Być może zatem Netanjahu wiedział (jak się podejrzewa) o przygotowaniach do niego, lecz podobnie jak rok wcześniej zrobił to Zełenski zlekceważył je, bo taka wizja kłóciła się z jego polityką.

A teraz jesteśmy i zapewne jeszcze długo będziemy świadkami brutalnego odwetu Żydów na Palestyńczykach. Odwetu, który prezydent Biden uznał nie tylko za „prawo", lecz także „obowiązek" Izraela. Zresztą amerykański prezydent miał przy tej okazji bodaj najbardziej żarliwe i emocjonalne wystąpienie w swojej karierze. „Nasi ludzie na zawsze zapamiętają tę mowę, jak i człowieka, który ją wygłosił" – napisał nie bez przyczyny były izraelski ambasador w Waszyngtonie Michael Oren.

Dowódcy izraelskiej armii deklarują, że celem obecnego oblężenia Gazy ma być „pozbawienie Hamasu wszelkich możliwości prowadzenia wojny". Po cyklu druzgocących bombardowań gęsto zaludnionego miasta nastąpi zapewne inwazja lądowa, w trakcie której zginą tysiące Palestyńczyków i setki izraelskich żołnierzy. Pozostaje jednak pytanie, na które nie ma żadnej odpowiedzi: co dalej zamierza zrobić Izrael z 2 mln Palestyńczyków w Strefie Gazy, na nowo teraz pobudzonymi do furii nienawiści wobec państwa żydowskiego?

Dzisiejsza globalna sympatia i współczucie dla Izraela szybko miną pod wpływem tego, co będzie się dziać w mieście już obecnie odciętym od prądu, gazu, wody, dostaw leków i żywności. Wiele wskazuje na to, że Izrael nie potrafi wykorzystać wyjątkowej dla siebie chwili, gdy każde jego działanie jeszcze przez krótki czas ma zapewnione polityczne poparcie większości świata. Całkiem możliwe, że wszystko stanie się właśnie tak, jak to zaplanował Mohammed al-Masri, czyli legendarny „Deif" (po arabsku „Gość") – przywódca wojskowego skrzydła Hamasu, który tak perfekcyjnie przygotował w konspiracji wielki atak na Izrael. Po wszystkich okrucieństwach, jakich armia dopuści się w Gazie, przywództwo sprawy palestyńskiej wróci w ręce twardych terrorystów, przekonanych, że tylko konsekwentne zabijanie Żydów zawsze i wszędzie jest jedyną słuszną drogą, która pozostaje Palestyńczykom.

Reklama | 13/0923/F

eprasa.pl 4ee1868b88

Ponad

miliardów złotych

przekazanych na polski sport i kulturę

Dofinansowanie sportu

ponad **15,7 miliardów złotych** od 1994 roku

Dofinansowanie kultury

ponad **3,3 miliarda złotych** od 2003 roku

#WygrywamyRazem

Gabriela Topolska

Łyżwiarka szybka, specjalizująca się w short track'u, Ambasadorka Totalizatora Sportowego

Dawid Tomala

Mistrz olimpijski z Tokio w chodzie na 50 km, Ambasador Totalizatora Sportowego

TOTALIZATOR SPORTOWY

Właściciel marki LOTTO

NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY W POLSCE

eprasa.pl 4ee1868b88

Nocny most do domu

Połączone i dobrze współdziałające instytucje państwa pokazały, że w przypadku śmiertelnego zagrożenia polscy obywatele za granicą mogą liczyć na skuteczną i przede wszystkim szybką pomoc. Mieliśmy okazję z bliska przyjrzeć się operacji umożliwiającej polskim turystom ucieczkę przed bombami spadającymi na Izrael

MARCIN WIKŁO

Wylot na Kretę najpierw miał być w poniedziałkowy wieczór, potem we wtorek w południe, ostatecznie ruszyliśmy z lotniska w Warszawie przed północą. „Musimy czekać, aż dostaniemy informację, że druga casa z naszymi pasażerami wystartuje z Tel Awiwu" – poinformował nas kapitan. Ścisła współpraca – to właśnie klucz do powodzenia operacji „Neon", mającej na celu ewakuację polskich obywateli z ostrzeliwanego przez Hamas Izraela. Nasz samolot z Polski znajdzie się w Grecji mniej więcej w tym samym czasie, co wojskowe transportowce z uciekającymi ludźmi. O godz. 23.28 dociera do nas informacja, że są już w powietrzu. Zatem ruszamy.

NIE ZOSTAWIAMY NIKOGO

Ponad tydzień temu, w sobotni poranek, w Izraelu rozegrały się sceny jak z filmu sensacyjnego albo wojennego. Niestety, terrorystyczny atak to nie fikcja, lecz bolesna prawda, która dotknęła przede wszystkim bezbronnych cywilów. Urywki filmów, nagrywane zresztą głównie przez samych napastników, pokazują ich bestialstwo. Gwałty, uprowadzanie kobiet i dzieci, bezwzględne egzekucje, strzelanie z zimną krwią do ludzi oraz domowych zwierząt. Podłogi domów zalane krwią, jak w rzeźni. Piekło na ziemi. Do tego ciągły ostrzał z powietrza – to warunki, w których bez pomocy wojska działać nie można.

– Bardzo istotną rzeczą jest koordynacja pomiędzy instytucjami państwa – mówi tygodnikowi „Sieci" Paweł Jabłoński, wiceminister spraw zagranicznych. – Kancelaria premiera, MSZ, nasza ambasada na miejscu w Izraelu, pracownicy konsulatu, Ministerstwo Obrony Narodowej, żołnierze, także LOT, który się w tę operację zaangażował – wszyscy działamy w trudnych warunkach, często z krótkimi przerwami na sen i odpoczynek. Mam naprawdę wielki szacunek dla tych dziesiątek osób, które są w to zaangażowane, bez nich to by się nie udało – dodaje.

Ucieczka z zagrożonego terenu to nie jest spontaniczna akcja, tylko dobrze skonstruowany most. Pierwszy etap to lot z Tel Awiwu do Chanii na Krecie – za ten odcinek odpowiada wojsko, bo tylko te samoloty mają jakiekolwiek systemy ochrony powietrznej. Czy to misja niebezpieczna? Niestety, tak. Dlatego żołnierze tak bardzo irytują się, gdy na niektórych portalach pojawiają się narzekania, że standard tej podróży nie był taki, jak trzeba. „A jaki ma być? Ratujemy ludzkie życie, pasażerowie nie wybrzydzają, są nam wdzięczni. Oni też nie rozumieją mediów, które działają na polityczne zamówienie" – słyszę od wojskowych.

Prawdę o tych realiach pokazują fotografie zamieszczone w mediach społecznościowych przez Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych. W półmroku ładowni wojskowego samolotu widzimy ludzi leżących na podłodze pomiędzy bagażami. „Jesteście bezpieczni, działamy dalej. Operacja

Fot. Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych

eprasa.pl 4ee1868b88

»Neon« będzie prowadzona tak długo, jak będzie to konieczne" – uspokajają żołnierze.

Cywilne maszyny wykonują etap drugi – z Chanii do Warszawy. Dlatego ważne jest, by samolot PLL LOT ruszył ze stolicy w odpowiednim momencie. Polski Embraer 195 zabiera na pokład nieco ponad 100 osób, dwie wojskowe casy, transportujące ludzi z Tel Awiwu, mieszczą ok. 90 osób. Tylko dlatego do Grecji mogło polecieć kilkoro dziennikarzy.

> Polska jest krajem, który rozpoczął ewakuację na taką skalę jako pierwszy, dzisiaj za naszym przykładem idą inni. A należy podkreślić, że nie wszystkie kraje unijne zareagowały właściwie od samego początku – mówi minister Paweł Jabłoński

ZMĘCZENIE I ULGA

Podczas lotu z Warszawy dziennikarze dostają szczegółowe instrukcje. Nie wolno filmować płyty lotniska, bo wokół jest sporo greckiego wojska. Poza tym to część bazy NATO, która musi być chroniona. Pasażerów spotkamy wewnątrz terminalu. Na ewentualne rozmowy będzie niespełna godzina, to czas na przygotowanie samolotu do drogi powrotnej, odprawę pasażerów i wejście na pokład.

O godz. 2.09 (3.09 czasu lokalnego) jesteśmy już na Krecie. Puste lotnisko nie sprawia przytulnego wrażenia. Wieje chłodem, choć temperatura na zewnątrz to prawie 20 st. na plusie. A przecież Chania to urokliwe miasteczko, chętnie odwiedzane przez turystów. Dzisiaj jednak nie widzimy tego ani my, ani uciekinierzy z Izraela. Gdy pojawiają się w terminalu, są stremowani widokiem kamer i reporterskich mikrofonów. Odpowiedzi są zdawkowe, zdania urywane. „Bardzo przepraszam, ale jesteśmy bardzo zmęczeni" – starsza kobieta przymyka oczy z wyczerpania. Należy ją zrozumieć, jest środek nocy, przed chwilą spędziła prawie trzy godziny w wojskowym samolocie. Mówi, że ostatni czas był zbyt nerwowy, by zebrać myśli.

86 osób, które wróci z nami do Polski, to grupy pielgrzymkowe i kilkoro turystów indywidualnych. Gdy wybuchła wojna, okazało się, że turystyczne samoloty czarterowe po nich nie polecą. Jedyna droga do domu to most powietrzny i operacja „Neon". „Teraz już jest dobrze, nie narzekamy na warunki, jesteśmy wdzięczni rządowi, że się nami zaopiekował" – opowiada nam prowadzący grupę ksiądz. Więcej mówić nie chce, potrzebuje teraz wytchnienia. „Jestem bardzo szczęśliwa, bo jestem już w Polsce!" – mówi z radością w głosie kolejna kobieta. To pokazuje skalę emocji, przecież w kraju będziemy dopiero za kilka godzin, ale grecki przystanek już oznacza dla nich bezpieczeństwo.

– Witam państwa na pokładzie samolotu Polskich Linii Lotniczych LOT w rejsie... no właśnie, w rejsie do domu – wita pasażerów kapitan Kamil Chudy. Na pokładzie słychać westchnienie ulgi. W lekkie rozbawienie wprawia wszystkich fakt, że w Warszawie jest 7 st. Celsjusza, to przecież prawie o 30 st. mniej niż w Izraelu. „Dostałem polecenie od mojego

Fot. M. Czutko

eprasa.pl 4ee1868b88

11-letniego synka, by szczególnie pozdrowić pielgrzymów z Ziemi Świętej. Serdeczne pozdrowienia od Mateuszka!" – ten komunikat przekazany przez kapitana przez głośniki jest zaskakujący, ale to bardzo miły, ludzki gest. Pasażerowie kwitują go gromkimi oklaskami. Do wszystkich dociera, że teraz już nic złego nie może im się przydarzyć.

DBAŁOŚĆ PAŃSTWA

Szybka reakcja była możliwa, bo państwo polskie ma wszystkie elementy decydujące o powodzeniu tej akcji. Przede wszystkim chodzi o linie lotnicze – po raz kolejny przekonujemy się, jak ważne jest, by LOT był w polskich rękach.

Gdy pojawiły się pierwsze doniesienia o zbrodniczym ataku Hamasu na Izrael, od razu stało się jasne, że polscy obywatele nie są tam bezpieczni. Trudno było oszacować, ile osób będzie potrzebowało pomocy. Pierwszy tydzień to blisko 1 tys. turystów bezpiecznie dostarczonych do domu. Kolejne nazwiska wypełniają już listy gromadzone przez MSZ, po skompletowaniu grupy rusza kolejny transport. Dzisiaj nikt nie mówi, kiedy operacja „Neon" się zakończy. Słyszymy zapewnienia, że wtedy, gdy już nikt nie będzie potrzebował pomocy.

– Kluczowa była oczywiście wola polityczna, natychmiast podjęliśmy decyzję, by nie zostawiać naszych obywateli w potrzebie. Polska jest krajem, który rozpoczął ewakuację na taką skalę jako pierwszy, dzisiaj za naszym przykładem idą inni. A należy podkreślić, że nie wszystkie kraje unijne zareagowały właściwie od samego początku – mówi minister Paweł Jabłoński.

Może mu chodzić np. o kompletnie niezrozumiałą opieszałość rządu w Berlinie. Przecież obywatele Niemiec stanowią jedną z najliczniejszych grup turystycznych w Izraelu, a rząd kanclerski potrzebował aż tygodnia, by zacząć organizować dla nich pomoc. W zupełnie innym położeniu była Litwa, która jako państwo nie ma takich możliwości organizacyjnych. Dlatego świadomy tego prezydent Gitanas Nausėda poprosił o wsparcie prezydenta Andrzeja Dudę. Polska oczywiście pomoże sąsiadom, ale priorytetem jest bezpieczeństwo naszych obywateli.

„PIĘKNY" PAŹDZIERNIK

Gdy samolot do Warszawy wystartował, wielu jego pasażerów po zjedzeniu jagodzianki i wypiciu gorącej herbaty od razu zasypia. Otuleni kocami i ciepłymi swetrami mogą się wreszcie rozluźnić – to ostatni etap podróży, która w planach wyglądała przecież zupełnie inaczej. Słyszę, jak dwie kobiety rozmawiają, że nawet nie zdążyły dotrzeć do miejsca pielgrzymki, czyli Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Czy jeszcze wrócą do Izraela? To zbyt szybko, by podejmować takie decyzje, w tym momencie wciąż jest w nich strach i pewien uraz psychiczny. Pokazywane w mediach okrutne obrazy nie pozwolą im szybko zapomnieć, jak blisko śmierci były.

O godz. 6.36 nasz Embraer 195 ląduje na Okęciu. „Nareszcie polska ziemia!" – ktoś głośno komentuje. Wreszcie widzę uśmiechy na twarzach wracających z piekła Polaków, nawet żarty stają się coraz głośniejsze. „Pielgrzymka się nie udała, ale i tak będzie co opowiadać kolegom w pracy" – śmieje się jeden z mężczyzn. Kolejny raz słyszymy w głośnikach komunikat pogodowy. „W Warszawie jest w tej chwili 7 st. Celsjusza. Życzymy państwu udanego dnia – mówi szef pokładu. – Zimno. No trudno, niech będzie zimno. W końcu to październik, chłodny, ale piękny. Bo nareszcie jesteśmy w domu!"

W oczekiwaniu na wyjście z samolotu można wreszcie włączyć telefony. W ruch idą komunikatory, w zasadzie wszyscy rozsyłają informacje do najbliższych. Na początek to zazwyczaj jedno słowo: „Jesteśmy".

Kilkadziesiąt minut później przy wyjściu z lotniska ponownie spotykam kpt. Kamila Chudego. „To jest część naszej misji jako narodowego przewoźnika, tak to traktuję. Z punktu widzenia lotniczego to nie jest skomplikowana trasa, co prawda to nocny rejs, no, ale nocą też się lata i nie jest to nic nadzwyczajnego" – opowiada mi oficer. Dodaje, że o wiele trudniej było, gdy dwa lata temu ewakuowaliśmy naszych rodaków z opanowanego przez talibów Kabulu. „Ale zawsze jest niepewność, bo nie wiemy, w jakim stanie fizycznym i psychicznym będą osoby, które zabieramy. Dzisiaj na szczęście nikt nie potrzebował specjalnej pomocy" – mówi kapitan i odchodzi do służbowego busa. „Pędzę do synka, żeby mu przekazać, że wszyscy są już bezpieczni. On naprawdę bardzo się tym przejmował".

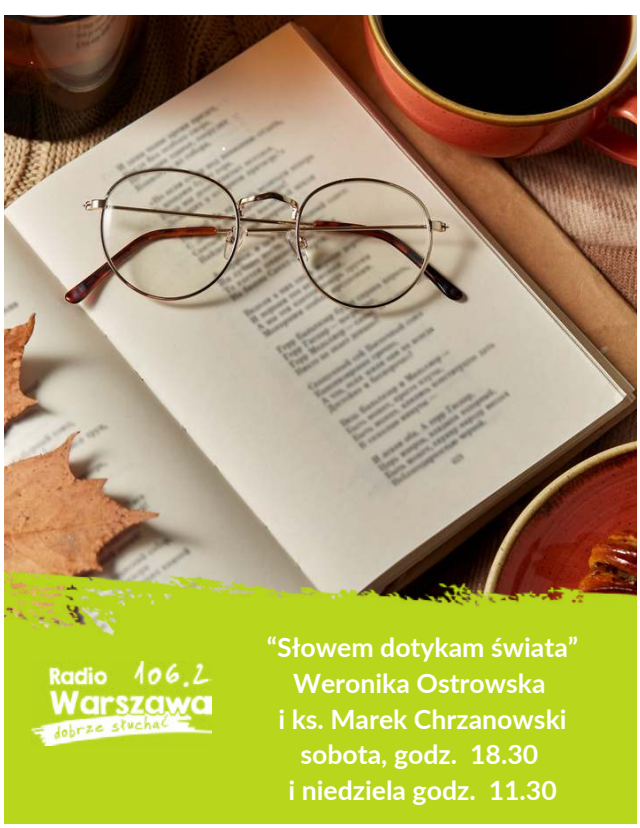

Reklama | 46/0923/F

eprasa.pl 4ee1868b88

Waszyngtońska gerontokracja

Jak Joe Biden rozegra w kampanii kwestię swojego wieku? Większość Amerykanów uważa, że jest zdecydowanie za stary na kolejną kadencję w Białym Domu

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Podczas wizyty Leonida Breżniewa w Wielkiej Brytanii premier Margaret Thatcher zapytała gościa: „Jaki jest twój stosunek do Churchilla?". „Kim jest Churchill?" – odparł Breżniew. Po powrocie do sowieckiej placówki dyplomatycznej ambasador zadeklarował entuzjastycznie: „Gratulacje, towarzyszu Breżniew, pokazałeś Thatcher gdzie jest jej miejsce. Nie będzie już zadawać głupich pytań". „A kim, do cholery, jest Thatcher?" – zapytał Breżniew.

Takie i inne dowcipy krążyły w ZSRS, gdy sekretarzem generalnym KC KPZR był Breżniew, uzależniony od środków nasennych i chory na serce. Bełkotał i przysypiał podczas wizyt zagranicznych gości. Gdy zmarł w 1982 r., średnia wieku członków politbiura wynosiła 70 lat. Jego następcy Konstantin Czernenko i Jurij Andropow długo się władzą nie nacieszyli. Zmarli w 1984 i 1985 r. Żartowano wówczas, że politbiuro powinno obywatelom oferować abonament na pogrzeby komunistycznych dostojników.

SLEEPY JOE

Teraz pismo „The New Yorker" twierdzi, że gerontokracja zadomowiła się także w USA. W lipcu przywódca republikańskiej mniejszości w Senacie Mitch McConnell nagle stracił zdolność mówienia podczas cotygodniowej konferencji prasowej dla liderów tej partii. Milczał przez kilkanaście sekund. Pod koniec sierpnia sytuacja się powtórzyła. 81-letni McConell „zaciął się" na 30 sek. podczas spotkania z dziennikarzami w Kentucky. Senator Demokratów Dianne Feinstein, która zmarła 29 września w wieku 90 lat, w ostatnich latach swojego urzędowania miała poważne problemy z pamięcią. Podczas głosowania w jednej z komisji Senatu w sierpniu wydawała się nie wiedzieć, nad czym głosuje. Była przewodnicząca Izby Reprezentantów, kongresmenka Demokratów Nancy Pelosi, lat 83, w 2024 r. planuje ponownie ubiegać się o miejsce w Kongresie. Zapytana przez dziennikarzy o to, czy nie powinna odejść na emeryturę, oskarżyła ich o „seksizm". „Wy to wiecie i ja to wiem, i nie będę wymieniać nazwisk ważnych senatorów (płci męskiej), którzy byli przewodniczącymi różnych komisji, i którzy byli w gorszym stanie ode mnie" – zaznaczyła.

Amerykańskie media oraz wyborcy widzą to jednak nieco inaczej. Szczególnie że podobne problemy jak McCon-

Fot. Paul Froggatt/Shutterstock.com

eprasa.pl 4ee1868b88

nell czy niegdyś Feinstein ma 80-letni prezydent Joe Biden. Lista jego gaf i potknięć jest naprawdę długa. We wrześniu jego współpracownicy wyłączyli mu mikrofon podczas konferencji prasowej w stolicy Wietnamu Hanoi. Zamiast tego włączyli muzykę jazzową na pełny regulator. W pewnym momencie prezydent USA zapytał obecnych na sali reporterów, czy „to już wieczór?", zanim, skonfundowany, zszedł ze sceny. Kilka tygodni później podczas wspólnego wystąpienia z prezydentem Brazylii na marginesie posiedzenia Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku, Biden wszedł w rozstawione na scenie flagi, a potem zamiast z Luizem Inácio Lula da Silvą, przywitał się entuzjastycznie z mężczyzną z obsługi stojącym na scenie. Następnie udał się na szlak kampanijny, gdzie zadziwił słuchaczy na eleganckiej imprezie, powtarzając dwa razy tę samą historię o zamieszkach w Charlottesville w 2017 r., które miały skłonić go do kandydowaniu przeciwko Donaldowi Trumpowi w wyborach prezydenckich. Nikt nie miał serca, by zwrócić mu uwagę. Tak jest w zasadzie od chwili, gdy przejął Biały Dom w 2020 r. Biden przysypiał podczas szczytu COP26 w Glasgow, a w minionym tygodniu podczas spotkania ze swoimi doradcami ds. bezpieczeństwa wewnętrznego mamrotał pod nosem i połykał końcówki słów, tak że z trudem dało się go zrozumieć.

TRUMP TO TRUMP

Biden twierdzi, że czuje się znakomicie, i to samo mówią demokraci. Amerykanów niepokoi jednak to, że prezydent, jeśli wygra reelekcję w 2024 r., rozpocznie drugą kadencję w wieku 82 lat, a skończy ją w wieku 86. Tak wynika w każdym razie z sondaży. W tym przeprowadzonym przez „Wall Street Journal" 73 proc. ankietowanych odpowiedziało, że jest on za stary, by ubiegać się o drugą kadencję. W sondażu Associated Press-NORC z zeszłego tygodnia 77 proc. Amerykanów, w tym 69 proc. demokratów, stwierdziło, że Biden jest „za stary, aby skutecznie sprawować władzę" przez kolejną czteroletnią kadencję.

W badaniu AP-NORC z września zapytano także Amerykanów o pierwsze słowo przychodzące im do głowy, gdy myślą o Bidenie. 4 na 10 osób, które udzieliły odpowiedzi, wybrało słowo odnoszące się do wieku Bidena (np. „stary", „dziadek") lub sprawności umysłowej („nieudolność"). Według sondażu CBS News/YouGov opublikowanego w zeszłym tygodniu tylko 34 proc. zarejestrowanych wyborców uważa, że Biden dotrwa do końca drugiej kadencji.

Na niekorzyść prezydenta demokraty gra również to, że choć od jego prawdopodobnego rywala Donalda Trumpa w kwestii wieku dzielą go zaledwie trzy lata, to jedynie 47 proc. badanych negatywnie odnosi się do wieku byłego prezydenta, który popadł w poważny konflikt z amerykańskim wymiarem sprawiedliwości. Biden jest „pogubiony", a Trump nawet jeśli (delikatnie mówiąc) się myli, jak ostatnio, gdy podczas jednego z wieców wyborczych twierdził, że USA „szykują się do II wojny światowej", jest „po prostu Trumpem". „Taki już jest, trochę ekscentryczny" – podkreślił „Washington Post".

Niektórzy eksperci, jak prof. Jay Olshansky z uniwersytetu w Chicago, uznał takie badania za „ageism", czyli dyskryminację wiekową. „Wiek przy ocenie kandydata na prezydenta jest równie ważny jak kolor oczu, a skupianie się na nim przez opinię publiczną nie pozwala dostrzec takich darów, jak mądrości i doświadczenie" – podkreślił naukowiec w rozmowie z „New York Times".

MŁODZI I RADYKALNI

Inni, jak prominentny amerykański statystyk Nate Silver, wskazują jednak, że „te kilka lat różnicy wieku i poziomu sprawności z Trumpem może być tym, co będzie kosztowało Bidena kolejną kadencję". Według sondaży prezydenta pozytywnie ocenia już tylko 39 proc. badanych, a 37 proc. wyborców Demokratów zadeklarowało, że jego podeszły wiek powoduje, iż „mniej chętnie będą na niego głosować". Jest to szczególnie niepokojące, jeśli weźmie się pod uwagę, że w ostatnich sondażach Biden pozostaje daleko w tyle za Trumpem (42 proc. do 51 proc.). Amerykanie negatywnie oceniają m.in. politykę gospodarczą i migracyjną prezydenta.

Dlatego w obozie demokratów pojawił się pomysł, by wesprzeć innego kandydata w prawyborach. Tyle że w przeszłości kończyło się to na ogół źle, bez względu na partię zresztą, jak choćby w 1976 r., gdy Ronald Reagan rzucił w prawyborach republikanów wyzwanie Geraldowi Fordowi, co tylko osłabiło Forda w wyścigu prezydenckim przeciwko Jimmy'emu Carterowi. Ford przegrał wybory. „Tak naprawdę w ciągu ostatnich dekad poważne wyzwania rzucane urzędującemu prezydentowi w prawyborach zawsze poprzedzały utratę przez niego Białego Domu" – czytamy na łamach „Washington Post".

Poza tym nie za bardzo wiadomo, kto miałby to wyzwanie rzucić. Wiceprezydent Kamala Harris jest wysoce niepopularna. W prawyborach demokratów w 2020 r. osiągnęła jednocyfrowy wynik i szybko się wycofała z wyścigu. Teraz jej notowania są równie niskie. Gubernator Kalifornii Gavin Newsom, który ma 56 lat, wprawdzie marzy o prezydenturze, ale woli poczekać, aż Biden odejdzie na emeryturę. Tak jest bezpieczniej. A młode gwiazdy demokratów, jak Alexandria Ocasio-Cortez, członkini Izby Reprezentantów, są zbyt lewicowe, by przekonać do siebie także niezdecydowanych i umiarkowanych wyborców.

Silna polityczna polaryzacja spowodowała, że demokraci nie mają już w zasadzie prawicowego skrzydła, a republikanie lewicowego. Biden może i jest stary, ale jednoczy, czego nie można powiedzieć o młodych neomarksistach w jego partii. Wygląda więc na to, że demokraci na dobre utknęli z duetem Biden–Harris na wybory w 2024 r. i pozostaje im tylko mieć nadzieję, że stan zdrowia oraz umysłu prezydenta się znacząco nie pogorszy. Pozostaje pytanie, co się okaże bardziej obciążające: problemy prawne Trumpa czy problemy kognitywne Bidena.

Tymczasem w Północnej Dakocie konserwatywny aktywista zaczął zbierać podpisy pod petycją wzywającą władze do wprowadzeniu zakazu kandydowania w wyborach po 81 roku życia. Jak przekonywał, dokument „nie ma związku z konkretnym kandydatem", a wszelkie podobieństwa są przypadkowe.

eprasa.pl 4ee1868b88

Liberalny kraj uśmiechniętego zamordyzmu

To, do czego doszło w holenderskim Alkmaar – pobicie po meczu polskich piłkarzy, trenerów, działaczy – jest bez precedensu, jeśli chodzi o zawody sportowe, lecz wcale nie zaskakujące, gdy weźmiemy pod uwagę, gdzie to się stało

DARIUSZ MATUSZAK

Wiele wskazuje na to, że wieczór 16 grudnia będzie w Warszawie bardzo gorący. Nie chodzi o prognozę lokalnej anomalii pogodowej, a o to, że wtedy odbyć się ma w stolicy Polski rewanż Pucharu Konferencji pomiędzy Legią a holenderskim Alkmaar. Rewanż oznacza nie tylko mecz, lecz także odpowiedź z naszej strony na brutalne potraktowanie przez tamtejszą policję piłkarzy i działaczy stołecznego klubu. Zresztą nie tylko ich. Jeśli wierzyć prezesowi Dariuszowi Mioduskiemu i kibicom, Polacy byli w mieście ścigani, przeganiani, wyrzucani z restauracji, pubów itd., a wszystko dlatego, że pani burmistrz Alkmaar, rasowo czystej krwi Europejka, Anja Schouten, nie życzyła sobie ich obecności w mieście.

W zakompleksionych polskich mediach, a także wśród polityków opozycji, pojawiły się teorie, że być może wszyscy z prezesem Mioduskim na czele byli niebezpieczni, że holenderska, przepojona europejskimi wartościami policja nie byłaby brutalna i agresywna bez powodu. No cóż, ja wolę jednak wierzyć prezesowi Legii oraz jej kibicom i jestem dziwnie przekonany, że pani burmistrz zachowała się tak, jak przed każdym Marszem Niepodległości prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, mający wtedy wzmożenie poczucia bezpieczeństwa, prowokujący i szukający okazji, by w jakikolwiek sposób wykazać, że faszystowskie rodziny maszerują przez stolicę, a on jej broni. Z wodzowską miną pojawia się wtedy w Centrum Bezpieczeństwa Miasta Stołecznego Warszawy i jak Napoleon ze wzgórza obserwował pole bitwy, tak on wpatruje się w ekrany pokazujące ulice miasta i zbiera się do wydania rozkazu o rozstrzygającym ataku.

JAK REŻIM

To, do czego doszło w Alkmaar – pobicie po meczu piłkarzy, trenerów, działaczy – jest bez precedensu, jeśli chodzi o zawody sportowe, lecz wcale niezaskakujące, gdy weźmiemy pod uwagę, gdzie to się stało. Pomińmy już, że pół roku wcześniej kibole Alkmaar napadli na stadionie na rodziny piłkarzy angielskiego West Ham. Chodzi raczej o egzemplifikację czegoś, co można nazwać uśmiechniętym, liberalnym zamordyzmem. Reżimem niezwykle pobłażliwym dla wszelkich lewackich, imigranckich i ekologicznych szaleństw i z niezwykłą brutalnością atakującym wszystko, co mu w jakikolwiek sposób zagraża. Zawsze chodzi o tzw. skrajną prawicę i tzw. nazistów (choć nazizm był i jest ideologią lewicową), czyli tych, którzy ośmielają się kwestionować dogmaty politycznej lewackiej poprawności. Tak właśnie kojarzeni są kibice czy środowiska piłkarskie, więc uśmiechnięta Europa pałuje je, ile wlezie. Szarże konne na piłkarskich fanów w Holandii to właściwie standard. To państwo obok Kanady premiera Justina Trudeau to znakomita egzemplifikacja takich uśmiechniętych, miłych reżimów.

Nigdzie nie traktowano przeciwników pandemicznych obostrzeń z taką brutalnością. W Holandii widzieliśmy sceny

Fot. Marcel Van Dorst/East News

eprasa.pl 4ee1868b88

szokujące: demonstrantów szczutych psami, gryzionych przez nie, policjantów, którzy pałami, pięściami okładają nawet starsze kobiety, kopią leżących. Z niezwykłą bezwzględnością, nawet strzelając do nich, rozprawiano się z protestami farmerów, sprzeciwiających się przymusowemu wywłaszczaniu ich gospodarstw. To część szaleńczego planu niby ratowania planety, choć rolnicy otwarcie twierdzą, że chodzi o tereny dla deweloperów. Jakkolwiek było, rząd umyślił sobie zniszczyć jedną z najważniejszych dziedzin holenderskiej gospodarki.

Kiedy ekoszaleńcy blokowali autostradę w Hadze, władzom aż trzy dni zabrało zmobilizowanie się do interwencji, choć obłąkańczy protest paraliżował życie tysięcy ludzi i wielkiego miasta. Właściwie bezkarnie możesz palić samochody, demolować dzielnice miast – pod warunkiem, że robisz to jako imigrant. Ba, możesz sobie nawet zbudować w murach miasta swoje udzielne księstwo jakiegoś gangu czy klanu – nazywa się to non go zone i żadna policja, państwo nie będzie ci specjalnie przeszkadzać w robieniu tego, co tam chcesz. Możesz też zniszczyć jakieś dzieło sztuki albo symbole chrześcijaństwa i nic ci nie zrobią. Lecz spróbuj podnieść rękę na jakieś znaki ideologii LGBTcośtam+, to pójdziesz siedzieć.

Aparat przymusu holenderskiego państwa będzie bezwzględnie wykorzystany przeciwko odrzucającym ten uśmiechający się zamordyzm tzw. liberalnej demokracji bądź w jakiejkolwiek formie mogą mu zagrozić. W budowaniu takiego reżimu sojusznikami są ekobandy, lewica wszelaka, aktywiszcza ideologii LGBTcośtam+. Tu panuje pełna bezkarność, bo to jest pożyteczna tłuszcza dla władców i właścicieli Zachodu, chcących zaprowadzić swoje porządki. Jeśli chcesz zmusić ludzkość, by niby dla ratowania planety nie wychodziła z domu, tak jak to dla Europejczyków wymyślił odwieczny, czysty rasowo eurokrata Frans Timmermans, zaczynający karierę polityczną w ambasadzie w Moskwie, to przecież nie będziesz pałował debili przyklejających się do jezdni i blokujących ruch w mieście.

PRZYPADEK TIMMERMANSA

Postać tego całkowicie oderwanego od realiów życia polityka – podobnie jak w przypadku Ursuli von der Leyen jego ojciec był dyplomatą i jak ona wychowywał się w towarzystwie wyższej jakości – doskonale ilustruje paradoksy, a właściwie patologie demokracji w liberalnych reżimach. Timmermans to człowiek, który nigdy nie miał wyborczej,

eprasa.pl 4ee1868b88

demokratycznej legitymacji, a mimo to posiada wpływ na życie setek milionów obywateli Unii Europejskiej. Holandia to jeden z krajów permanentnego niedorozwoju demokracji, gdzie rządy już praktycznie na stałe są mniejszościowe i stanowią nie tyle wybór obywateli, co efekt knucia, układów wewnątrz elit.

Gdy w lutym do dymisji podał się rząd Marka Rutte, od 2010 r. stojącego na czele przeróżnych mniejszościowych gabinetów, Timmermans złożył rezygnację z funkcji unijnego komisarza, by na czele socjalistów z Partii Pracy (PfdA) i komunistów z GroenLinks zawalczyć o władzę w swoim kraju. Ma powstrzymać Ruch Rolników Obywateli (BoerBurgerBeweging/BBB). Ta nowa partia, która wygrała wiosną wybory samorządowe i ma najwięcej mandatów w Eerste Kamer (izbie wyższej holenderskiego parlamentu), wyrosła na masowych protestach przeciwko totalitarnym porządkom Ruttego – rozpoczął on masową akcję przymusowego wywłaszczania farmerów. Wiele wskazuje na to, że może ona liczyć na sojusz z dopiero co powstałą prawicową partią Nowa Umowa Społeczna. Jej charyzmatyczny lider Pieter Omtzigt wyprowadził ją na czoło wyścigu wyborczego.

W listopadowych wyborach startuje jednak aż 20 ugrupowań i tak naprawdę nikt nie wie, jaka koalicja może się wyłonić. Spory programowe czasami są realne, lecz tak naprawdę w Holandii sztuka zdobywania władzy sprowadza się nie tyle do pozyskiwania głosów wyborców, ile intryg gabinetowych oraz umiejętności zawierania koalicji, w czym Rutte jest niedościgłym mistrzem. Przyjrzyjmy się: oto dziś jeszcze na czele rządu stoi polityk, którego partia zdobyła w ostatnich wyborach niecałe 22 proc. głosów i ma ledwie 34 posłów w liczącej 150 deputowanych izbie niższej parlamentu (Tweede Kamer). Jednym z koalicjantów tego mniejszościowego gabinetu jest np. Unia Chrześcijańska (CU) – zdobyła ledwie 3,3 proc. głosów i ma pięciu posłów. Odwiecznym beneficjentem tych gierek, układzików i bałaganu jest właśnie Timmermans – jego Partia Pracy zdobywa ok. 5 proc. głosów (w ostatnich wyborach ledwie 5,7 proc. i ma dziewięciu deputowanych), a mimo to ten człowiek bywał już wicepremierem, ministrem spraw zagranicznych i dwukrotnie brukselskim komisarzem.

To ilustruje patologię demokracji à la hollandaise, lecz także w całej Unii. Człek o mentalności politruka, którego u władzy nie chcą nawet jego właśni rodacy, może zaprowadzać w Europie zielony bezład Fit for 55 i ściąga katastrofę na 450 mln obywateli Unii (angielskiego słowa „fit" tłumaczonego jako „gotowy", „w dobrej kondycji", „pasujący", trzeba zacząć używać też w jego innym znaczeniu. „Fit" to także „atak", „napad"). Tak czy owak, jeśli partia Timmermansa doczołga się do 5 proc. i wśliźnie do rządzącej koalicji, eurokrata może zażądać, by wysłano go na komisarza do Brukseli i wróci niszczyć Europę. Już raz tak zrobił – po poprzednich wyborach.

NARKOPAŃSTWO ZWALCZA GLOBALNE OCIEPLENIE

W tym roku może być jednak inaczej, bo spory są realne. Dotyczą ekoszaleństwa, ogromnej przestępczości i imigracji. Rząd w Hadze zamierza do 2030 r. przeznaczyć na walkę z tzw. ociepleniem, wyregulowanie temperatury na Ziemi dodatkowe 28 mld euro – ponad to, co idzie na niszczenie farm. W 2030 r. emisja CO_2 ma być niższa o 20 mln t rocznie. Jak precyzyjnie wyliczył i podał minister klimatu i energii Rob Jetten, przyczyni się to do zmniejszenia tzw. średniej temperatury na globie o uwaga – 0,000036 st. Minister dokonał tych niosących ludzkości nadzieję na ocalenie kalkulacji na podstawie danych Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu przy ONZ – ten znanym sobie sposobem ustalił, że zmniejszenie emisji CO_2 o 1 bln t powoduje obniżenie temperatury na Ziemi o 0,45 st. Proporcjonalny wkład Holandii, która, będąc drugim na świecie eksporterem żywności przystępuje do niszczenia swego rolnictwa, wyniesie właśnie 0,000036 st.

Drugi wielki problem to imigracja i związana z nią przestępczość. Ta ma swe źródło także w szaleńczym pomyśle zalegalizowania miękkich narkotyków i handlu nimi. W samym Amsterdamie działa blisko 200 coffee shopów. Holandia jest więc największą hurtownią i punktem dystrybucji narkotyków w Europie, a może i na świecie. To prawdziwe narkopaństwo. W 2022 r. w porcie Rotterdam skonfiskowano 47 t kokainy, a w 2021 r. aż 70 t. Tam, gdzie narkotyki, tam też wojny gangów o kontrolę handlu nimi, więc Holandia obok Szwecji jest najbardziej wybuchowym krajem Europy. W 2022 r. w samym Amsterdamie doszło do 90 eksplozji, a w pierwszej połowie tego roku w Rotterdamie było ich 50.

Gangi są zasilane niczym niekontrolowaną imigracją. W 2022 r. do 18-mln Holandii przybyło 403 tys. imigrantów – o 150 tys. więcej niż rok wcześniej. Liczba wniosków o azyl wyniesie w tym roku 70 tys. – rekord od 2015 r. To oznacza nie tylko wzrost przestępczości – w 2022 r. co piąty Holender padł ofiarą przestępstwa, konflikty społeczne wywołane zderzeniem kultur, lecz także problemy gospodarcze i bytowe. Ile ludzi może przyjąć najgęściej zaludniony kraj Europy, w którym na 1 km² przypada 435 osób?

Z tymi problemami zmierzą się Holendrzy, stając w listopadzie do wyborów. A jeśli jeszcze brać pod uwagę, że najpiękniejszymi kobietami w tym kraju są mężczyźni, to wiadomo, że ma się do czynienia z mieszanką wybuchową. Najbardziej urodziwą kobietą kraju wybrany został facet – niejaki/a Rikkie Valerie Kollé i teraz będzie on/a reprezentował/a Holandię na zawodach urody w Salwadorze, gdzie odbędzie się konkurs Miss Universe. W takim kraju łatwo więc o załamanie nerwowe, pobudzenie i agresję, wyładowywane choćby na polskich piłkarzach i kibicach. Zwłaszcza że można to robić bezkarnie.

W Holandii za ustęp o najpiękniejszym Holenderce policja zawlokłaby mnie przed sąd. Lecz żadne trybunały, żadne komisje europejskie i światowe nie zajmą się demokracją i praworządnością kraju liberalnego zamordyzmu, w którym obowiązuje cenzura, bije się protestujące przeciwko reżimowi kobiety, szczuje ludzi psami, utrzymuje na niemieckich rentach weteranów SS, zabija dzieci i starców uznanych za chorych i nieprzydatnych. Biskup ordynariusz Amsterdamu Johannes Hendriks twierdzi, że każdy Holender miał znajomego, przyjaciela, członka rodziny, w majestacie prawa zabitego przez państwo. Nie spodziewajmy się więc niczego dobrego po takim kraju i dla własnego dobra trzymajmy się jak najdalej od tych jego europejskich wartości.

Reklama | 38/0923/F

eprasa.pl 4ee1868b88

Efektywność energetyczna w firmie?
Zrób audyt z TAURONEM i oszczędzaj!

biznes.tauron.pl/audyty

eprasa.pl 4ee1868b88

Nadzieja i niepokój

O watykańskim synodzie o synodalności z ks. prof. Robertem Skrzypczakiem rozmawia Goran Andrijanić

4 października rozpoczęło się w Watykanie jedno z najbardziej oczekiwanych wydarzeń w Kościele katolickim w ciągu ostatnich kilku lat – synod o synodalności. Niektóre środowiska w Kościele patrzą na synod z nadzieją, a inne z niepokojem?

Ks. prof. Robert Skrzypczak: Tak, niektóre środowiska przyjęły synodalny proces z entuzjazmem. Zwłaszcza Kościoły Europy Zachodniej, żyjące w warunkach galopującej sekularyzacji i sąsiedztwa ze wspólnotami protestanckimi. Także w Polsce w wielu miejscach zaczęto wiązać duże nadzieje z synodalnością. Zwłaszcza że nadzieja na synodalną skuteczność Kościoła zasiliła główny nurt oficjalnego myślenia katolickiego w naszej ojczyźnie.

Tymczasem wielu znaczących hierarchów kościelnych zaczęło żywic obawy i przestrzegać przed tym synodem. Jak dotąd najwyraźniej wybrzmiał głos australijskiego kard. George'a Pella, który nazwał ten synod „toksycznym koszmarem". Chiński kard. Joseph Zen wyraził obawę, że synod zmierza do „rewolucyjnej zmiany w konstytucji Kościoła i w moralnym nauczaniu o seksualności". Że jego intencją jest „wywrócenie „piramidy" hierarchii i „przywrócenie demokracji" w Kościele. Dodał, że procedury synodalne zostały poddane „całemu planowi manipulacji", mając na myśli „ludzi, którzy opowiadają się za moralnością seksualną odmienną od tradycji katolickiej".

Przy wielu okazjach podobny niepokój wyraża poprzedni prefekt Dykasterii Nauki Wiary, strażnik doktryny za czasów pontyfikatu papieża Benedykta XVI, kard. Gerhard Mueller, który stwierdził wręcz, iż w następstwie tego synodu obawia się nie tyle schizmy, ile herezji.

Jak przyjmowane są zaskakujące wypowiedzi Franciszka?

Na pewno spore zaskoczenie wywołało stwierdzenie papieża zapowiadającego synod, iż „Kościół jest z natury synodalny" i że „wszyscy ochrzczeni są synodoi". Stwierdzenie to wywołało zamęt, ponieważ – jak się wyraził kard. Zen – „jak Bóg mógł zapomnieć, by Kościół żył tym konstytutywnym elementem przez 20 wieków swojego istnienia?".

Choć dotychczasowe doświadczenie synodów w Kościele stanowiło jedną z podstawowych form sprawowania apostolskiej władzy kolegialnej, oznacza to jednak, że synody – mimo zapraszania do udziału w nich różnych innych osób – były biskupie i to ostatecznie biskupi podejmowali na nich decyzje, w zgodzie ze starożytną zasadą *synodus episcoporum est*.

Czy Ojciec Święty może na nowo definiować zasadnicze elementy tajemnicy Kościoła albo ingerować w doktrynę katolicką, choćby nauczając, iż „Kościół jest z natury synodalny"?

Aktualny prefekt Dykasterii Nauki Wiary, argentyński kard. Víctor Manuel Fernández, stwierdził niedawno, że istnieje coś takiego, jak „charyzmat papieski", co oznacza, że „jedynie Ojciec Święty ma charyzmat strzeżenia

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl 4ee1868b88

wiary", a biskupi, którzy uważają, że mają „specjalny dar Ducha Świętego do osądzania doktryny Ojca Świętego", są na drodze do herezji i schizmy.

Tego poglądu nie podzielają inni biskupi. Np. szwajcarski bp Marian Eleganti powiedział niedawno, że „nie można utożsamić ze sobą papieża i Kościoła. Kościół jest nieomylny, papieże – tylko w szczególnych momentach".

Czy obecny synod wzmocni, czy osłabi Kościół?

Wydaje mi się, że nie czujemy się dziś wcale mocniejsi ani pewniejsi naszego związku z nauką Jezusa Chrystusa dzięki podejmowanym inicjatywom synodalnym. Czujemy się na rozdrożu, nie wiedząc wcale, czy Kościół z tego „synodalnego" eksperymentu wyjdzie bardziej wzmocniony, czy osłabiony w swej chrześcijańskiej tożsamości. Trudno powiedzieć, czy aktualny synod utwierdzi, czy rozmyje duszpasterską i misyjną gorliwość ludzi Kościoła, duchownych i świeckich.

Dodatkowe obawy może budzić ciągłe powoływanie się pomysłodawców nowej dynamiki synodalnej w Kościele na autorytet soboru watykańskiego II i przyjętego wówczas paradygmatu *Ecclesia semper reformanda*. Jeśli Kościół wymaga dziś reform, czy reformy te mają objąć struktury władzy w Kościele? A może nowe rozumienie sakramentów, np. Eucharystii (chodzi o pomysł dopuszczania do komunii św. osób tkwiących w sytuacji obiektywnego grzechu) czy też sakramentu święceń (chodzi o postulat odseparowania święceń kapłańskich od celibatu, święcenie kobiet, a wreszcie propozycje zastępowania kapłaństwa urzędowego powszechnym kapłaństwem wiernych wynikającym z chrztu).

Ale pomysł zwołania synodu o synodalności nie powinien budzić obaw i zastrzeżeń?

Oczywiście. Odwołuje się on do najstarszej praktyki – czerpiącej wzór z pierwszego zwołania apostołów do Jerozolimy ok. 50 r. – znanej Kościołowi od pierwszych wieków. Greckie słowo „synodos" oznaczało pierwotnie „iść razem". Pojęcia te odnoszono do wielkich spotkań połączonych z dyskusją, co w świecie chrześcijańskim przybrało z czasem postać uroczystych, reprezentatywnych, liturgicznych zjazdów biskupów, inspirujących się obietnicą Chrystusa: „Gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich" (Mt 18,20).

Wspomina ksiądz o soborze watykańskim II i o tym, jak zwolennicy synodalności odwołują się właśnie do niego.

Po soborze bardzo mocne stało się przekonanie, że Kościół potrzebuje przeżyć nowe otwarcie na świat, w którym żyje. Dlatego nie powinno być żadnych murów pomiędzy tymi dwoma porządkami. Wszelkie dualizmy: między Kościołem a światem, duszą a ciałem, łaską a naturą, *sacrum* a *profanum* – powinny zniknąć jako szkodliwe. W efekcie tego postępowała sekularyzacja myślenia, nauczania i działania katolików świata zachodniego. Chodziło o progresizm, z chrześcijańskiego punktu widzenia całkiem chybiony, by nie powiedzieć: chory.

Nic zatem dziwnego, że wewnątrz katolicyzmu zdawała się dominować myśl zgoła niekatolicka, której przejawem stawała się chęć pokonywania dogmatów, ich ponownego odczytywania, co w efekcie pozbawiało je treści.

Niektóre zjawiska zaistniałe w epoce posoborowej przywodziły wręcz myśl – w zgodzie ze słowami Pawła VI – jakby „do świątyni Boga przedostał się dym szatana". Czasy bardziej zwartego, zintegrowanego odczytywania nauczania kościelnego w zgodzie z całą wcześniejszą tradycją wiary katolickiej nastały wraz z pontyfikatem Jana Pawła II i Benedykta XVI. W Stolicy Piotrowej zasiadł wówczas jeden z ojców soborowych, a następnie wiodący ekspert teologiczny tegoż soboru, którzy na jakiś czas zdołali wyciszyć wcześniejsze naciski zmierzające do postępowych zmian w zakresie nauczania kościelnego i jego sakramentalnej dyscypliny.

Nie wiemy, co kryje w sobie postulat „synodalności", mający odzwierciedlać marzenia Boga w stosunku do swego Kościoła. Ów antropomorficzny zwrot przypisany Panu Bogu być może stanowi projekcję marzeń niektórych postępowych dysydentów kościelnych i duszpasterskich, którzy pragną „nowej reformacji" i „nowego Kościoła", stanowiącego wypadkową ściśle katolickich, ekumenicznych, międzyreligijnych i globalistyczno-światowych aspiracji.

I gdzie jesteśmy teraz?

Czas pokaże, czy neologizm „synodalność" zaproponował katolikom Duch Święty, czy też duch tego świata.

Dodatkowej ostrożności wymaga także to, iż soboru ani synodu nie można nigdy traktować jako modelu zwykłego funkcjonowania Kościoła. Potrzeba jego zwołania bywa zwykle wymuszona nadzwyczajną sytuacją, w której chrześcijanie potrzebują przemyśleć i przemodlić swą misję głoszenia Ewangelii w nowych warunkach historyczno-kulturowych.

Debaty i dyskusje, reformy i innowacje służą Kościołowi raczej za lekarstwo niż za pokarm. Warunkiem normalnego życia chrześcijańskiego jest wspólnota słowa i sakramentu oraz wynikająca z nich miłość bliźniego, nie zaś dyskusja czy debata teologiczna. Toteż synody wówczas dowodzą swej skuteczności, gdy nie trzeba zbyt często się do nich uciekać.

W każdym razie dla Kościoła nadszedł czas wymagający, przepasanych bioder i zapalonych pochodni. I umiejętności używania kolan w żarliwej modlitwie o to, by Bóg naprawdę odnowił swą owczarnię w świecie. Papież Jan Paweł II niejednokrotnie mówił: „Kościół dzisiejszy nie potrzebuje nowych reformatorów. Kościół potrzebuje nowych świętych".

Kluczową kwestią dla Kościoła, konfrontującego się nieustannie z kryzysem duchowym ludzkości, zdaje się to, czy istnieją święci, którzy są gotowi dokonać czegoś nowego i żywego. Inaczej, bez owego radykalnego wezwania do świętości Kościół zamiast wnosić w świat zaczyn Ewangelii, sam w sobie odbija jego kryzys.

eprasa.pl 4ee1868b88

Nie potrzebujemy silnych Niemiec

W przeddzień kolejnej próby federalizacji UE, tego „zjednoczenia Niemiec" w skali kontynentalnej, z pomocą przychodzi nam Jacques Bainville. Potrzebujemy dziś bowiem Europy bez hegemonii Niemiec, opartej na ich bezsilności. Niestety, francuska polityka wciąż widzi Niemcy takimi, jakimi chciałyby, aby je postrzegać, a nie takimi, jakimi są

MACIEJ WALASZCZYK

Dotychczas polski czytelnik mógł sięgnąć tylko po „Dzieje Francji" Jacques'a Bainville'a, historyka, jednego z patriarchów francuskiej prawicy spod znaku Action Française. Do niedawna był to jedyny polski przekład, który nie zdążył się ukazać z powodu wybuchu wojny i do 1946 r. zalegał w magazynach jednej z krakowskich drukarni. Największym paradoksem jest jednak to, że na rynek trafił uzupełniony o przedmowę Henryka Jabłońskiego, już wtedy bliskiego komunistom członka PPS, a w przyszłości ważnego notabla PRL. Decydujące było to, że autor, choć związany z rojalistyczną prawicą, znakomicie pokazywał istotę budowy politycznej dominacji Niemiec w Europie.

Dobrze więc się stało, że otrzymujemy kolejne dwa zbiory historycznej publicystyki Bainville'a: „Dzieje dwóch narodów" (1915) oraz „Bismarcka" (1907). Francuz był przecież autorytetem m.in. dla Adolfa Bocheńskiego czy Stanisława Mackiewicza, podziwiającego jego zdolność formułowania myśli i błyskotliwy styl. Książki Bainville'a potwierdzają prawdę, że analiza działań politycznych i faktów historycznych to przede wszystkim studium elity władzy. Jak mówił, „oczy inteligentnych mężów stanu dostrzegają, że dobre lub złe ziarno zasiane w politycznej glebie może wykiełkować długo po tym, kiedy sami znikną". Że w polityce naród zbiera owoce mądrości przodków, lecz również cierpi z powodu ich błędów. Czego dowodem była francuska polityka wobec rosnących w siłę Niemiec.

WSPIERAĆ „NIEMIECKĄ ANARCHIĘ"

Utrzymać Niemcy w stanie politycznego rozbicia i przekreślić dzieło Bismarcka – oto zalecana przez niego naczelna zasada polityki. Po I wojnie światowej zamiast upokorzenia proponował rozczłonkowanie Niemiec, tłumacząc, że tylko ono zagwarantuje w Europie pokój, przewidując całą sekwencję wydarzeń aż do wybuchu wojny, łącznie z paktem Ribbentrop–Mołotow.

Fot. Jean Roubier/BHVP/Roger-Viollet/East News

eprasa.pl 4ee1868b88

Antagonizm francusko-niemiecki był dla niego osią polityki europejskiej. Dlatego problem zjednoczenia Niemiec, z którym nieustannie mierzono się już od średniowiecza, stanął w centrum jego zainteresowań. To najpierw sojusz Kapetyngów z papiestwem okiełznał ambicje Hohenstaufów, chcących uzyskać dziedziczność korony cesarskiej. Naczelną zasadą było zachowanie elekcyjnego i republikańskiego charakteru Cesarstwa, rozpraszanie jedności przez podsycanie podziałów. Równowagę w Europie gwarantowała „niemiecka anarchia" – przekonuje Bainville – polegająca na utrzymaniu korony elekcyjnej, a liczne ingerencje dyplomatyczne nieustanie podsycały w Niemcach partykularyzmy powstałe dzięki feudalnemu rozdrobnieniu.

Cesarz miał mieć mniej lub bardziej nominalną władzę – z powodu negocjacji oraz ustępstw na rzecz licznych książąt, prałatów, baronów czy mieszczańskich republik – kruchą i opartą na korupcji. Choć koronę zdobywano w gronie kilku elektorów, skutki tak ograniczonego prawa wyborczego były takie same, jak w demokracjach: handel głosami, podporządkowanie interesu publicznego prywatnym rozgrywkom, mnożenie obietnic i wybuchy chciwości, czyli wykorzystywanie głosów do uzyskiwania korzyści materialnych.

Francja dbała, by ten system przez wieki był nieusuwalną częścią życia politycznego Niemiec, co skutkowało wtrąceniem ich w stan anarchii. Kilka wieków później Bismarck dobrze będzie wiedział, co robi, konsekwentnie odpłacając Francji tym, co Niemcom zaserwowali niegdyś Kapetyngowie: akceptacją szkodliwych, republikańskich instytucji, stanowiących przeciwieństwo swoich własnych.

W SIECI POKOJU WESTFALSKIEGO

Ta sama idea przyświecała francuskiej polityce w XVII w., w czasie wojen religijnych. Choć niemieccy protestanci zwrócili się do katolickiego króla Francji jako obrońcy „germańskich swobód", widząc w nim swego naturalnego sprzymierzeńca, to kard. Richelieu, nie lekceważąc protestanckiego zagrożenia, najpierw złamał go jako siłę polityczną, a potem odrodził francuską politykę w Niemczech zgodnie z wypróbowanymi i sprawdzonymi zasadami. Protestantami posłużył się – jak zwykł mawiać jego powiernik, ojciec Józef (François Joseph Le Clerc du Tremblay) – tak jakby byli środkiem, którego niewielka ilość działa jak lekarstwo, a zbyt duża jak trucizna. Wsparcie dla nich wyznaczały granice interesów Francji. Kardynał, nie działając na rzecz protestantyzmu ani nie ulegając złudzeniom kontrreformacji, koncentrował się zatem przede wszystkim na rozbijaniu grupy państw katolickich, w Niemczech i Włoszech skupionych wokół Austrii. Tym samym wojna trzydziestoletnia i wieńczący ją pokój westfalski na długi czas uniemożliwiły Niemcom przekształcenie się w duże, groźne państwo, bo ich rozdrobnienie na ok. 2 tys. księstw, biskupstw, republik i margrabstw utworzyło mozaikę niezdolną do prowadzenia jakiejkolwiek polityki. „Wyjście z materialnej ruiny zajmie Niemcom mniej czasu niż odbudowanie politycznej niemocy, w jaką zostały wtrącone" – dowodził Bainville.

ZDRADA OŚWIECENIOWYCH ELIT

Autor oskarżał oświeceniowe elity francuskie o niezrozumienie tych prawideł, co doprowadziło do przegapienia momentu, gdy zrodzone z niebytu Prusy staną się śmiertelnym zagrożeniem. Polityka Hohenzollernów, wspierana przez Woltera i encyklopedystów, dążyła do zniszczenia misternego porządku ustanowionego w XVII w., a ambicje pruskich królów mogły zostać zaspokojone tylko kosztem całkowitego przewrotu w Europie. Tymczasem zafascynowani władcą-filozofem Fryderykiem II nie rozumieli konieczności odwrócenia sojuszy i związania się z potrzebującą wsparcia reakcyjną Austrią. Idee Rousseau ukształtowały potem nawet Napoleona i były impulsem dla zrodzenia się idei niemieckiego nacjonalizmu w wyjątkowo ostrej postaci. „Sprawa rewolucji i liberalizmu stała się od tej pory paliwem Hohenzollernów" – zauważał Bainville. W pewnym momencie Komitet Ocalenia Publicznego szukał nawet w Prusach sojusznika, traktując Austrię jako ideologicznego wroga, kontynuując niejako na opak polityczną tradycję, lecz nie rozumiejąc jej ducha. Rewolucja i obalenie monarchii, rozbudzanie emocji opinii publicznej, wydanie polityki zagranicznej na pastwę partyjnych intryg, demokratycznej histerii i kaprysów parlamentu stały się kresem efektywnej polityki, zgodnej z interesami Francji.

Rewolucja rozbudziła też ideę zjednoczenia Niemiec, ożywiła niemiecki patriotyzm, a brutalne podboje wojsk napoleońskich wyparły z niemieckojęzycznych krajów francuskie wpływy kulturowe. Niemcy dotąd nie wierzyli, że mogą istnieć jako naród, lecz – jak pisze Bainville – „rewolucja osiąga wszystko, czego należało uniknąć, by nie zjednoczyć Niemiec przeciw Francji".

Upadek Napoleona, rozpad jego imperium i traktaty wiedeńskie na krótko ożywiły ducha niemieckiej anarchii. Więź federalna była słaba, sejm we Frankfurcie stał się teatrem kłótni i międzypartyjnych walk. Powtórnie, choć tylko na kilkadziesiąt lat, sprawiając, że Niemcy, choć nie tak rozdrobnione jak niegdyś, wciąż składały się z kilku rządzących się samodzielnie prowincji.

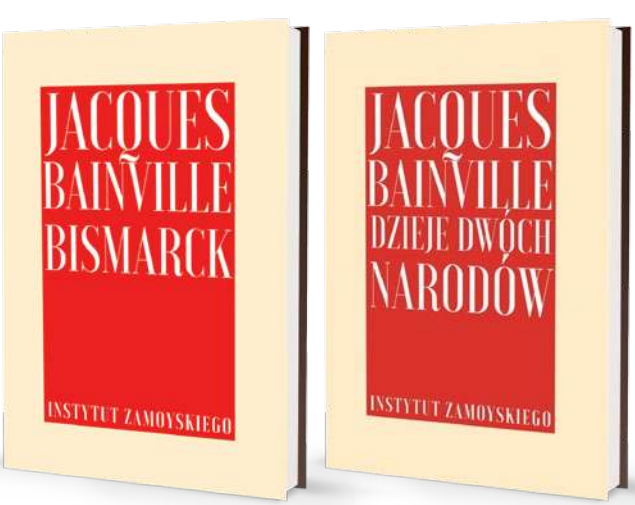

eprasa.pl 4ee1868b88

ZJEDNOCZENIE – „KATASTROFA KATASTROF"

Lecz także francuska polityka czasów restauracji została podminowana, a stronnictwa sięgnęły po politykę zagraniczną jako broń, która stała się pretekstem do niekończących się licytacji i sporów. Używając patriotycznej retoryki, liberałowie uznawali bowiem układy wiedeńskie za upokorzenie, wspominając chwałę napoleońskich podbojów. Wiosna Ludów 1848 r. to – zdaniem Bainville'a – punkt, gdy polityka Francji wpisała się na stałe w realizację korzystnego dla Niemiec programu rewolucyjnej przebudowy ładu europejskiego, tracąc z oczu interes własny. Nieudana wówczas próba utworzenia liberalnych Niemiec przez parlament stała się dla nich impulsem, by drogi do zjednoczenia szukać w nacjonalizmie. Zjednoczenie, zamiast prowadzić do republiki, oparło się bowiem na arystokratycznej, militarnej i wojowniczej pruskiej monarchii. Państwo Napoleona III, wspierając zjednoczenie Włoch, stworzyło zaś Bismarckowi wspólnika przeciw Austrii, a cztery lata przed klęską pod Sedanem, zachowując wobec niej neutralność w obliczu pruskiej agresji, pozbawiło się potencjalnego sojusznika. Cena będzie straszna.

Zdruzgotanie Francji przez Prusy w 1870 r. zjednoczyło Niemcy, a opierający się na ich trwałej bezsilności system europejskiej równowagi został ostatecznie zdemontowany. Klęska pod Sedanem miała taką samą wagę jak pokonanie armii cesarskiej pod Bouvines w 1214 r. Tamto zwycięstwo dało Francji wiele wieków spokoju od germańskiego niebezpieczeństwa, jednak, gdy władza papieska upadła, a Francja porzuciła monarchię, w Wersalu proklamowano dziedziczne Cesarstwo Niemieckie. Stworzona przez Bismarcka II Rzesza to dla Bainville'a największa porażka polityki francuskiej w XIX w., „katastrofa katastrof", uwolnienie „bestii, która wydostała się z klatki" i „początek międzynarodowej anarchii".

Stworzona przez Bismarcka II Rzesza to dla Bainville'a największa porażka francuskiej polityki w XIX w., „katastrofa katastrof", uwolnienie „bestii, która wydostała się z klatki" i „początek międzynarodowej anarchii"

UE NARZĘDZIEM NIEMIECKIEJ HEGEMONII

W swej najbardziej znanej książce pt. „Polityczne konsekwencje pokoju" (1919) Bainville przewidział, że kończący I wojnę światową traktat wersalski stanie się zapowiedzią kolejnego światowego konfliktu. Dzisiaj Unia Europejska, podążająca za interesami Berlina, konsekwentnie dąży do federalizacji i „swego rodzaju landyzacji" krajów członkowskich. Projektowane w Parlamencie Europejskim zmiany traktatów dążą do centralizacji, przesunięcia wielu kompetencji państwowych do Brukseli, szeroko zakrojonej likwidacji jednomyślności przy podejmowaniu decyzji dotyczących bezpieczeństwa, wspierania „autonomii strategicznej Unii" czy obowiązkowego wprowadzenia euro na całym jej obszarze. Używając historycznych analogii, to proces jednoczenia Niemiec, tylko na skalę kontynentalną. Zdaniem prof. Grzegorza Kucharczyka takie porównanie jest uprawnione. Również w bismarckowskiej Rzeszy rząd centralny, przy ograniczonej autonomii krajów członkowskich, decydował o polityce obronnej i zagranicznej. Uczony zwraca uwagę, że podobnie jak dzisiaj w UE ich samodzielność nie była aż tak wielka, lecz to akurat Prusy miały zdecydowanie najwięcej do powiedzenia. Do 1918 r Rzesza Niemiecka nie miała też suwerenności podatkowej i podobnie jak dziś w UE jej budżet zasilały kraje związkowe w postaci składek. Dziś proces federalizacji kontynentu odbywa się m.in. za sprawą Francji, przez wieki kierującej się jednak zasadą, że Niemcom „należy odbierać narzędzia, którymi mogą wyrządzić Europie krzywdę".

Bainville to oczywiście człowiek z innej epoki, lecz jego przenikliwość wciąż robi wrażenie. Odwoływał się bowiem do metody relatywizmu politycznego, wedle której siła państwa jest wartością względną, zależną od potencjałów krajów sąsiednich. W dzisiejszych realiach poszanowanie interesów państw członkowskich UE, takich jak Polska, jest odwrotnie proporcjonalne do siły politycznej Niemiec. Choć byli i tacy jak Radosław Sikorski, twierdzący, że mniej się obawia niemieckiej siły niż bezczynności.

– Bainville byłby zaniepokojony już tym, co działo się od 1990 r., a więc wchłonięciem NRD przez RFN i przeniesieniem stolicy do Berlina – uważa prof. Kucharczyk. – Zawsze był bowiem przekonany, że pokój europejski jest nie do pogodzenia z istnieniem wielkich, zjednoczonych Niemiec. Niemiecko-francuski sojusz, będący rdzeniem UE, oczywiście przeczy temu przekonaniu, choć pamiętajmy, że władze III Rzeszy objęły książki Bainville'a całkowitym zakazem rozpowszechniania, uznając je za „szkodliwe dla niemiecko-francuskiego porozumienia". Nieżyjący już wtedy myśliciel przypominał bowiem, że niczym niezakłócony spokój i historia bez konfliktów, przekonanie, że można uciec od konsekwencji przeszłości, że rozwiązaliśmy raz na zawsze wszystkie problemy i możemy swobodnie żyć na terenie odgrodzonym od historii to niebezpieczne złudzenia. Rosyjska agresja na Ukrainę i niemiecko-rosyjska kooperacja, narażająca Polskę na egzystencjalne niebezpieczeństwa, świetnie potwierdzają te prawdy.

Krzysztof Tyszka-Drozdowski, współautor omawianych przekładów, zauważa, że francuska polityka wciąż postrzega Niemcy takimi, jakimi chciałyby być postrzegane, a nie takimi, jakimi są. Dzieje się tak, choć Paryż płaci za to gospodarczą, polityczną i intelektualną wasalizacją. „Niemiec nie postrzega się jako zagrożenie. Stały się hegemonem, którego wciąż we Francji nazywa się partnerem" – pisze, przypominając, że to właśnie prezydent Mitterand przyłożył rękę do ich zjednoczenia po 1989 r.

Jacques Bainville, „Dzieje dwóch narodów", „Bismarck", Instytut Zamoyskiego, Warszawa 2023 r.

Reklama | 57/0823/F

eprasa.pl 4ee1868b88

POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE
Spółka Akcyjna

NIERUCHOMOŚCI
na wynajem i na sprzedaż

www.pkp.pl

eprasa.pl 4ee1868b88

Jak władze PRL rozgrywały „rozmowę braci”

Rozmowa Lecha Wałęsy z jego bratem Stanisławem w Arłamowie, nazywana potocznie „rozmową braci”, była wielokrotnie wykorzystywana przez władze PRL w walce z przewodniczącym NSZZ „Solidarność”. Należała również do najbardziej znanych i najgłośniejszych operacji propagandowych Służby Bezpieczeństwa w latach 80. I do jej największych porażek

Fot. Joseph P. Czarnecki/East News

eprasa.pl 4ee1868b88

GRZEGORZ MAJCHRZAK

29 września 1982 r. do internowanego w Arłamowie przewodniczącego NSZZ „Solidarność" Lecha Wałęsy przyjechał jego brat Stanisław. Oficjalnym celem wizyty było złożenie bratu życzeń z okazji urodzin, nieoficjalnym nagranie z nim krótkiego (zawierającego trzy pytania) wywiadu. Miał on być – podobnie jak wykonane wcześniej przez Stanisława Wałęsę zdjęcia lidera związku – przemycone (tak na marginesie – za sowite wynagrodzenie) na Zachód. Zamiar ten został jednak udaremniony przez czujnych funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu MSW, którzy pilnowali przewodniczącego związku.

Mało tego, dało to początek operacji propagandowej władz PRL przeciwko Lechowi Wałęsie z wykorzystaniem tzw. rozmowy braci. Na jej potrzeby użyto nagrania Służby Bezpieczeństwa, która zarejestrowała dyskusję Lecha i Stanisława Wałęsów toczoną po zakrapianej (wódką i szampanem) kolacji. Jej plonem był „stenogram" tej rozmowy oraz emisja materiału, po uprzedniej obróbce, 27 września 1983 r. na antenie Telewizji Polskiej – program pt. „Pieniądze" zawierał fragmenty rozmowy braci Wałęsów.

DOTRZEĆ, GDZIE SIĘ DA

Była ona jednak wykorzystywana już wcześniej. I to kilkakrotnie. Po raz pierwszy rozważano jej emisję na początku listopada 1982 r., jeszcze przed zwolnieniem Lecha Wałęsy z internowania, a propozycję taką złożył podwładny Wojciecha Jaruzelskiego i jego czołowy doradca Wiesław Górnicki. Publikacja filmu była jednym z wariantów działania wobec przewodniczącego NSZZ „Solidarność" w przypadku, gdyby ten po odzyskaniu wolności podjął „na nowo ostrą działalność antypaństwową". Jak jednak zastrzegał Górnicki: „Nie widzę możliwości emitowania filmu w ciągu najbliższych dni", gdyż: „Zainteresowanie samym faktem zwolnienia [Wałęsy] z internowania i śmiercią Breżniewa odbiera filmowi sensacyjną warstwę".

Niewykluczone, że z tego powodu zrezygnowano z publicznej emisji. Możliwe jednak, że materiał był po prostu jeszcze niegotowy. Jak bowiem stwierdzał wspominany podwładny Jaruzelskiego kilka tygodni później, przygotowana w tym czasie wersja była „niepotrzebnie pełna wykropkowań w tekście lektorów i opatrzona złym, banalnym komentarzem".

W tej sytuacji zdecydowano przedstawić nagranie prymasowi Polski Józefowi Glempowi. 11 listopada 1982 r. taśmę magnetofonową i magnetowidową osobiście przywiózł mu wicedyrektor Departamentu IV MSW Adam Pietruszka. Stronie kościelnej przekazano również „stenogram" rozmowy. Jak na bieżąco komentował ks. Alojzy Orszulik, który widział go dzień później: „Po przeczytaniu tekstu powiedziałem moim rozmówcom [Pietruszce i dyrektorowi Departamentu IV Zenonowi Płatkowi – przyp. G.M.], że słowa i styl nie są Lecha Wałęsy, że takiego słownictwa nigdy u niego nie słyszałem". W dyskusji z wysokimi oficerami MSW dodawał: „Nie znam się na tym, jak daleko można manipulować słowami wyrwanymi z różnych wypowiedzi". Ale na to jego rozmówcy oświadczyli, by nie dyskutować o „wiarygodności tekstu, bo ten nie podlega dyskusji".

> Na telewizyjną emisję „rozmowy braci" władze PRL zdecydowały się dopiero po uzyskaniu przez Służbę Bezpieczeństwa informacji, że Lech Wałęsa najprawdopodobniej otrzyma Pokojową Nagrodę Nobla

Po kilku miesiącach, 25 lutego 1983 r., podczas posiedzenia specjalnego (jak go określił wicepremier Mieczysław Rakowski) „zespołu kiszczakowskiego" zdecydowano, że tekst rozmowy Lecha Wałęsy z bratem zostanie rozesłany do wszystkich redakcji jako „najlepszy rozsadnik plotek". Z kolei na początku marca 1983 r. wiceminister spraw wewnętrznych Władysław Ciastoń przesłał „stenogram" do zastępców komendantów wojewódzkich Milicji Obywatelskiej ds. Służby Bezpieczeństwa, zalecając rozpropagowanie jego treści wśród wytypowanego aktywu partyjnego, aktywistów stronnictw politycznych (Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego), organizacji młodzieżowych i studenckich, wybranej kadry naukowo-dydaktycznej wyższych uczelni, środowisk dziennikarskich itp. Miało się to odbywać „na zasadzie tzw. przecieku informacji poufnych". O wadze tej operacji świadczy fakt, że adresatom polecenia zalecono osobisty nadzór nad jej przebiegiem. Najprawdopodobniej działania te były związane z planowanym powrotem Wałęsy do pracy w Stoczni Gdańskiej, czego władze PRL obawiały się wręcz panicznie.

PLAN URBANA

Niewiele później – w kwietniu 1983 r. – wykorzystanie „rozmowy braci" w celu propagandowego ataku na przewodniczącego Solidarności zaproponował rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban, który zresztą już wcześniej osobiście angażował się w kolportaż jej „stenogramu". Rozmowa miała być zresztą podstawowym elementem całej kampanii. Według jego propozycji „emisja zasadnicza" na antenie TVP powinna mieć miejsce 26 kwietnia, zaś dzień później nagranie miało wyemitować również Polskie Radio. Emisja telewizyjna miała być poprzedzona „fragmentami przemówienia Wałęsy, żeby każdy słyszał, że na taśmie jest jego głos", oraz komentarzem: „Długo tego nie ujawnialiśmy, ale teraz musimy". To nie wszystko – Urban proponował, aby 27 kwietnia 1983 r. wyemitowano kolejny program telewizyjny, w którym by wykorzystano wypowiedzi

eprasa.pl 4ee1868b88

Stanisława Wałęsy, „oficera MO konfiskującego nagranie, świadków rewizji itp". Tego materiału miała użyć następnie prasa i radio. Rzecznik prasowy rządu sugerował również pokazanie po 10 maja kolejnych programów telewizyjnych „rozwijających wątki [...] rozmowy braci".

Na publiczną emisję jednak i tym razem się nie zdecydowano. Możliwe, że decydujące okazało się w tym przypadku stanowisko m.in. Rakowskiego, według którego rozmowa stanowiła atut do wykorzystania „do przetargów z papieżem, który chce spotkać się z Wałęsą" podczas swojej drugiej pielgrzymki do kraju.

Nie oznaczało to porzucenia pomysłu wykorzystania „rozmowy braci", wręcz przeciwnie – jej „stenogramu" po raz kolejny użyto w połowie maja 1983 r. Według wytycznych Ciastonia tym razem miał on być kolportowany „na zasadzie powielania wcześniej zdobytych »informacji poufnych«", przy czym znacznie poszerzono krąg jego odbiorców. Zalecano, aby otrzymali go byli aktywni działacze NSZZ „Solidarność" oraz osoby cenione przez podziemie, czyli doradcy związku, wszyscy biskupi, niektórzy administratorzy parafii itd. Zaplanowano również przemycenie „stenogramu" do większych zakładów pracy, zwłaszcza tych, gdzie pozycja Solidarności była silna. Miał on być rozprowadzany „w dowolny sposób" (podrzucanie, wysyłanie pocztą itp.). Było to działania na dużą skalę – planowano rozkolportowanie 50 tys. egzemplarzy „rozmowy braci".

NIEUDANY TEST

Pierwszy raz wyemitowano ją publicznie 25 maja 1983 r., tyle że nie na antenie Telewizji Polskiej, lecz w Fabryce Maszyn Żniwnych w Płocku. Był to swoisty test, sprawdzian reakcji widzów. Jak wynika z badań Centrum Badania Opinii Społecznej, wypadł on dla rządzących wręcz fatalnie. Jak potem stwierdzano, przez pierwsze pięć minut zebrani wykazywali „umiarkowane zainteresowanie" – zaobserwowano wśród nich „rozmowy, szepty, uśmiechy". Następnie jednak pracownicy CBOS stwierdzili u badanych zniecierpliwienie, rozmowy, „niespokojne kręcenie się na krześle", „spoglądanie na wychodzących" itp. Do końca emisji dotrwało zresztą niespełna 30 proc. widzów, głównie „przedstawicieli administracji i aktywu kierowniczego". Nawet u nich emisja wzbudziła poważne wątpliwości. Pytali np. Marka Barańskiego, który był odpowiedzialny za przeprowadzenie pokazu filmu, „dlaczego prywatna rozmowa między braćmi została nagrana i jest prezentowana publicznie", a także: „Co Pan chciał osiągnąć, pokazując nam ten program?".

UDERZENIE W NOBLA

Władze PRL zdecydowały się na telewizyjną emisję „rozmowy braci" dopiero po uzyskaniu przez Służbę Bezpieczeństwa informacji, że Lech Wałęsa najprawdopodobniej otrzyma Pokojową Nagrodę Nobla. 24 września 1983 r. osobiście podjął taką decyzję I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i premier Wojciech Jaruzelski po obejrzeniu wraz z wicepremierem Mieczysławem Rakowskim przygotowanego materiału.

Ostatecznie emisja miała miejsce 27 września 1983 r., czyli tego samego dnia, w którym Norweski Komitet Noblowski decydował o przyznaniu Wałęsie Nagrody Nobla. Tak na marginesie – zdecydowano się na nią mimo wątpliwości natury prawnej. Być może rozwiał je dyrektor Biura Śledczego MSW Zbigniew Pudysz, niespełna trzy tygodnie wcześniej, 8 września, poproszony o wydanie opinii prawnej dotyczącej wyemitowania zdobytej i zmontowanej przez SB rozmowy „pod kątem zabezpieczenia przed konsekwencjami prawnymi".

Nagrania nie wykorzystano – choć to rozważano – za granicą. Na początku lat 90., podczas procesu Władysława Ciastonia i Zenona Płatka, oskarżonych o kierowanie porwaniem i zabójstwem ks. Jerzego Popiełuszki w 1984 r., były szef Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej Tadeusz Rydzek zeznał, że planowano wysłać je (wraz z ekspertyzą KG MO potwierdzającą jego autentyczność) do Norweskiego Komitetu Noblowskiego. Miał się jednak wraz ze swoimi podwładnymi temu sprzeciwić, gdyż, jak twierdził, fałszerstwo z pewnością zostałoby wykryte w dobrze wyposażonym laboratorium w Skandynawii.

Nie oznacza to, że „rozmowy braci" nie wykorzystywano na Zachodzie. Owszem, kolportowano, tyle że nie jej specjalnie spreparowane nagranie, lecz „stenogram", a dokładniej jego fragmenty. Wiosną 1983 r. zostały one wydrukowane m.in. w wiedeńskim miesięczniku „Kritisches Christentum", za którym zresztą miała je przedrukować (dla uwiarygodnienia) polska prasa centralna i lokalna. Operację, za którą stał najprawdopodobniej Departament I MSW (czyli cywilny wywiad), osobiście nadzorowali Rakowski i Urban.

LECZCIE SIĘ, PANOWIE Z SB

Jak zatem widać, „rozmowa braci" była wykorzystywana przez władze PRL wielokrotnie. Nie spełniła jednak pokładanych w niej nadziei. Jak komentowano w czerwcu 1983 r. na łamach „Solidarności Walczącej" (pisma radykalnie antykomunistycznej organizacji o tej samej nazwie, założonej we Wrocławiu przez Kornela Morawieckiego rok wcześniej): „SB rozsyła wraz z plakietką »Solidarności« wśród działaczy naszego związku i nie tylko ohydny, wulgarny paszkwil na Przewodniczącego. Nazywa się to stenogramem rozmowy Wałęsy z bratem. Bledną wszystkie »Transmisje z podziemia« [jeden z najgłośniejszych programów propagandowych, mających kompromitować podziemną „Solidarność" w stanie wojennym – przyp. G.M.] i »Trybuna Brudu« [nawiązanie do »Trybuny Ludu«, organu KC PZPR szczególnie zajadle zwalczającego opozycję – przyp. G.M.] – takiego bełkotu normalny człowiek nie byłby w stanie wymyśleć". Tekst kończył się znamiennym apelem: „Panowie z SB, leczcie się, póki nie jest za późno".

Swego rodzaju odpowiedź na swoje starania propagandowe władze PRL dostały zresztą również dzień po emisji w Telewizji Polskiej programu pt. „Pieniądze". 30 tys. widzów – według niektórych źródeł nawet 40 tys. – meczu Pucharu Zdobywców Pucharów Lechia Gdańsk–Juventus Turyn urządziło wówczas 15-minutową owację na cześć Solidarności i jej lidera Lecha Wałęsy. A w prawdziwość nagrania jego rozmowy z bratem uwierzyli chyba tylko partyjni aktywiści, i to nie wszyscy.

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

eprasa.pl 4ee1868b88

Kino niezwykłych kobiet

Maggie Smith i Kathy Bates w „Klubie cudownych kobiet". Magdalena Boczarska w „Różyczce 2" i Marianna Zydek w „Figurancie". Aż trzy kinowe premiery tego tygodnia przenoszą nas kilkadziesiąt lat wstecz, do historii współtworzonych przez niezapomniane aktorki

Fot. mat. prasowe

eprasa.pl 4ee1868b88

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Zobaczyć i usłyszeć Maggie Smith, Kathy Bates i Agnes O'Casey śpiewające „He's so fine" zespołu The Chiffons podczas kościelnego konkursu talentów? Bezcenne. Zanurzyć się w klimacie robotniczej dzielnicy Dublina lat 60. ub.w. – sportretowanej w nieco oldschoolowej formule – a potem wyruszyć z wyrazistymi bohaterkami w autokarową pielgrzymkę do słynnego francuskiego sanktuarium w Lourdes? Z taką obsadą zdecydowanie warto.

TERCET, CZYLI KWARTET

Choćby po to, by zobaczyć, jak w na wskroś irlandzkiej historii – z czasów nie tak dawnych, a jednak odległych (obyczajowo i mentalnie, choć nie emocjonalnie) – świetnie dogadują się i współgrają Angielka i dwie Amerykanki. Każda z imponującymi zawodowymi osiągnięciami, a tak czule i empatycznie współtworzące pokazaną na ekranie kobiecą mikrogrupę.

Oto legenda brytyjskiej sceny i ekranu, uhonorowana tytułem szlacheckim dame, 88-letnia dziś (!) Maggie Smith. W ostatnich dwóch dekadach znana widzom m.in. z „Hotelu Marigold", kostiumowego wieloodcinkowca „Downton Abbey", ale też serii o Harrym Potterze, tak wiele zawdzięczającej ekranowej prof. Minerwie McGonagall.

W swojej wspaniałej karierze była sześciokrotnie nominowana do Oscara (za role w filmach: „Otello", 1966; „Podróże z moją ciotką", 1972; „Pokój z widokiem", 1985; „Gosford Park", 2001). Nagrody Amerykańskiej Akademii Filmowej odebrała za „Pełnię życia panny Brodie" (1969) i „Suitę kalifornijską" (1978).

W „Klubie cudownych kobiet" ma u boku kipiącą energią Kathy Bates (m.in. „Misery", „Titanic"; cztery nominacje do Oscara za filmy: „Barwy kampanii", 1998; „Schmidt", 2002; „Richard Jewell", 2019; statuetka zdobyta w 1990 r. za rolę w „Misery") i skupioną na roli Laurę Linney („Rzeka tajemnic", serial „Ozark"; trzykrotnie nominowaną do Oscara za „Możesz na mnie liczyć", 2000; „Kinsey", 2004; „Rodzina Savage", 2007).

Obsadę uzupełniła, bynajmniej nieodstająca od wspaniałych filmowych partnerek, jedyna związana rodzinnie z Irlandią Agnes O'Casey (seriale „Ridley Road", „Niebezpieczne związki").

Cztery intrygujące aktorki, którym nawet Stephen Rea nie był w stanie odebrać pola, w kameralnym, klimatycznym filmie reżysera o znajomo brzmiącym imieniu Thaddeus (O'Sullivan) przykuwają uwagę od pierwszej do ostatniej sceny.

NOWE OBSZARY

Kilkadziesiąt lat wstecz zabiorą też widzów w tym tygodniu polskie produkcje: „Różyczka 2" Jana Kidawy-Błońskiego i „Figurant" Roberta Glińskiego. W obu na życie bohaterek cieniem kładzie się działalność komunistycznych służb, z którymi związani są (lub byli) ich bliscy.

„Różyczka 2" – dając Magdalenie Boczarskiej wyjątkową szansę na aktorskie metamorfozy – atrakcyjnie filmowana w równie atrakcyjnych miejscach zmierza w stronę melodramatu, unikając ostrych rozliczeniowych tonów. W „Figurancie" uwikłany w inwigilacyjne działania bohater (znakomity Mateusz Więcławek) stawia przed widzem wciąż istotne pytania. Za decyzje Bronka Budnego wysoką cenę przez długi czas płacą przede wszystkim bliscy mu ludzie. Jest wśród nich żona głównego bohatera. Zagrana – najpierw słonecznie, a potem poruszająco – przez Mariannę Zydek (m.in. „Kamerdyner" i seriale: „Ludzie i bogowie" „Szóstka", „Skazane").

Aktorka podkreśla, że poza kontekstem historycznym, który „zwykle jest ciekawy

Fot. ForumFilm

eprasa.pl 4ee1868b88

ze względu na obietnicę możliwości przeniesienia się w czasie", scenariusz „Figuranta" w interesujący sposób przedstawia relację dwojga ludzi – od płomiennego zakochania poprzez kryzysy aż do zupełnego rozpadu.

Filmowa Marta zmienia się na ekranie, również fizycznie. Jednak, jak zdradza Marianna Zydek, efekt ten nie był do końca zaplanowany: „Pojawiło się wiele czynników, m.in. moje poprzednie projekty i spalone włosy, przez które musiałam zdecydować się na krótką fryzurę. Zmiana fizyczna pociąga za sobą wewnętrzną, więc mimo że decyzja o ścięciu włosów budziła we mnie pewne obawy, otworzyła przede mną nowe obszary odczuwania, za które jestem wdzięczna".

MATKA I CÓRKA

W zupełnie innej sytuacji, jeśli chodzi o filmowe metamorfozy, była Magdalena Boczarska. Film Kidawy-Błońskiego to kolejny po „Sztuce kochania" Marii Sadowskiej projekt, pozwalający aktorce towarzyszyć swoim postaciom przez lata, w różnych wizerunkowych odsłonach.

Dzięki „Różyczce 2" wróciła do historii oraz bohaterki, które w 2010 r. przyniosły jej aktorską nagrodę w Gdyni. Z tym że teraz spotkała na ekranie nie tylko Kamilę Sakowicz (i to w różnych przedziałach czasowych). Wcieliła się też w jej córkę Joannę Warczewską.

Pierwszą „Różyczkę" Boczarska nazywa wielką przygodą, która przydarzyła się jej na początku zawodowej drogi. „Do dzisiaj słyszę, że jest to jeden z ulubionych filmów wielu ludzi. I wcale się nie dziwię, bo mam tak samo! Powrót do niego nie był jednak łatwy, m.in. dlatego, że niósł ze sobą pewne ryzyko. Historię bohaterów, którą wtedy opowiedzieliśmy, w dużej mierze napisało przecież życie, dalszy ciąg wymyślili już scenarzyści" – dodaje.

Niemałym wyzwaniem okazała się podwójna rolą córki i matki; charakteryzacja zajmowała kilka godzin dziennie. „Moim zadaniem było stworzenie postaci poruszających się w różnych gamach emocji nawet w ramach jednej sceny – mówi aktorka. – Nie ukrywam, że ze szczególną przyjemnością przeniosłam się do lat 70.! To chyba mój ukochany okres w kinie w ogóle. Poza tym w barwnych kostiumach i fryzurze z epoki znowu mogłam poczuć się Kamilą/Różyczką z pierwszej części. Dodatkowo realizowaliśmy te sceny na taśmie filmowej, co dzisiaj praktycznie się nie zdarza".

CZY TE OCZY MOGĄ KŁAMAĆ?

Dla wielu widzów zaskoczeniem może okazać się widok mocno posuniętej w latach Kamili. Trudno w niej rozpoznać aktorkę. Za charakteryzację odpowiadał Waldemar Pokromski. Niekwestionowany mistrz w swoim fachu zdradza: „Pewne elementy mogłem oczywiście zostawić. Mówi się przecież, że ktoś ma oczy po matce. Inne, jak kształt nosa czy owal twarzy, zmieniłem, żeby uciec od zbytniego podobieństwa między Joanną a Kamilą. Dodaliśmy Magdalenie Boczarskiej, oprócz zmarszczek, więcej ciała. Z kolei do scen retrospekcji, w których gra młodą Kamilę z czasów PRL, musieliśmy ją nieco odmłodzić. W tym sensie można powiedzieć, że stworzyła trzy kreacje".

Wyzwaniem były też sceny, w których matka spotyka się z córką. Tu pomocny okazał się specjalny robot „zapamiętujący trajektorię ruchu kamery i powtarzający ujęcie z idealną precyzją", ale najważniejsze pozostało doświadczenie autora zdjęć Łukasza Gutta, a przede wszystkim zawodowstwo Magdaleny Boczarskiej.

Fot. Jarosław Sosinski / MONOLITH FILMS

Zwycięstwo biskupa Wojtyły

Opleciono go bardzo gęstą siecią donosicieli, ale uruchomiona przeciw bp. Karolowi Wojtyle potężna machina milicyjna okazała się bezradna. Opowieść o poruczniku SB z filmu „Figurant" Roberta Glińskiego stara się pokazać tę symboliczną porażkę

MACIEJ WALASZCZYK

Dzisiaj często o tym zapominamy, ale na początku lat 60. ub.w. komunistyczna bezpieka zorganizowała cały wyspecjalizowany departament, zajmujący się wyłącznie rozpracowywaniem, kontrolowaniem i dezintegracją Kościoła katolickiego. Inwigilacja samego Karola Wojtyły, biskupa, kardynała i w końcu papieża Jana Pawła II trwała ponad 40 lat.

Po raz pierwszy funkcjonariusze UB zajęli się nim, gdy był klerykiem i jako wiceprezes Bratniaka brał udział w stłumionych przez władze obchodach święta 3 Maja w Krakowie w 1946 r. Akcja filmu „Figurant" w reżyserii Roberta Glińskiego rozpoczyna się jednak w 1958 r., gdy do pracy przy rozpracowywaniu Wojtyły zostaje skierowany młody porucznik Bronek Budny (Mateusz Więcławek). W tym samym czasie tytułowy figurant przyjmuje sakrę biskupią, stając się prawą ręką bp. Eugeniusza Baziaka, wówczas administratora apostolskiego diecezji krakowskiej.

BEZRADNA MACHINA SB

Najpierw o tym, co jest główną zasługą Glińskiego. Powstał bardzo ciekawy film fabularny, którego ramy czasowe wyznacza ok. 20 lat rozpracowywania Karola Wojtyły przez komunistyczną bezpiekę. To historia fascynująca sama w sobie, znana choćby z publikacji dr. Marka Lasoty z IPN. Choć nie jest to film o papieżu, opowieść jest pewną całością, a każdy jej element składa się na prawdę, że komunistyczne służby połamały sobie zęby na próbie dyskredytacji biskupa, a potem metropolity krakowskiego. Nie zdołały w żaden sposób wykorzystać go przeciw Kościołowi i prymasowi Stefanowi Wyszyńskiemu. Uruchomiona przeciw niemu potężna machina milicyjna okazała się po prostu bezradna. Nie tylko nie złapała biskupa na mających go uwikłać i skompromitować działaniach, lecz także fabrykowane przez nią materiały trafiały w próżnię.

W filmie pojawia się m.in. wątek podjęcia przez SB próby wmanewrowania go w skandal obyczajowy, przypisując mu ojcostwo Adama Kinaszewskiego i romans z jego matką Ireną, przez wiele lat zatrudnioną w „Tygodniku Powszechnym". Służby faktycznie próbowały rozegrać sprawę dopiero w 1983 r., ale materiały do niej gromadzono od lat 60. Chichotem historii jest, że kilka lat temu próbowali ją odgrzać działacze Twojego Ruchu związani z Palikotem.

CZARNO-BIAŁY KRAKÓW

Kraków lat 50. i 60. widzimy w czarno-białych barwach. To zabieg celowy, fragmenty materiałów z ukrytej obserwacji prowadzonej przez SB, kronik filmowych przeplatają się z scenami fabuły napisanej przez Andrzeja Gołdę, w której pierwszoplanowe role odgrywają świetni młodzi aktorzy. Całość jest zilustrowana niepokojącą muzyką Zygmunta Koniecznego. Brawurowe przywołanie ducha występów Piwnicy pod Baranami z lat 60., z którą związany był kompozytor, jest komentarzem do obserwowanych przez nas wydarzeń.

Robert Gliński tłumaczy, że pierwotnie scenariusz był bardzo długi, musiał go więc mocno skrócić i tym samym zdecydował,

Fot. TVP

eprasa.pl 4ee1868b88

że spróbuje spojrzeć na całą historię przez pryzmat zaangażowanego w rozpracowywanie Karola Wojtyły funkcjonariusza SB. Ale to przyszły papież i święty jest przez cały czas, choć często bardzo dyskretnie, umieszczony w centrum toczącej się na ekranie akcji. Ujęcia zainscenizowane z udziałem wcielającego się w rolę Wojtyły Macieja Mikołajczyka wypadają naprawdę rewelacyjnie. Gdy biskup głosi homilie, wita, żegna, błogosławi tych, z którymi się spotyka, czasem trudno rozpoznać, czy nie są to akurat użyte na potrzeby filmu archiwalia. Jego obecność jest odczuwalna nie tylko w każdym geście czy zerkającym na nas zza czarnej oprawy okularów spojrzeniu, lecz także w barwie głosu, użyczonego przez Mateusza Grydlika.

Wydaje się jednak, że należało odsłonić widzom nieco więcej tego, co o działaniach służb myślał i wiedział tytułowy figurant. Jak dziś wiadomo, Karol Wojtyła miał świadomość, że większość jego sekretarzy poszła na współpracę z SB, często miał nawet dawać im to do zrozumienia. Świetnie rozumiał zagrożenie, jakim dla Kościoła w Polsce była działalność tajnych służb, uderzając w jedność duchowieństwa. Tym bardziej przecież, że jednym z zadań IV Departamentu było wbicie klina przez rozgrywanie potencjalnych różnic między prymasem Wyszyńskim, powściągliwym względem rewolucyjnych zmian w Kościele, a otwartym na teologiczne i duszpasterskie nowości młodym biskupem krakowskim. Szczególnie w czasie obrad Soboru Watykańskiego II, lecz nie tylko, bo przecież jego liczne kontakty z młodzieżą, pokazywanie się z kobietami na ulicy, przyjaźnie z osobami świeckimi, wycieczki w góry i na kajaki, bezpośredniość, były czymś zupełnie nowym, a nawet szokującym. To „rzadkie połączenie intelektualisty z człowiekiem czynu" – mówi do prawdopodobnie Zenona Kliszki (Andrzej Mastalerz) por. Budny. Ostrzega władze, że zgoda na nominację arcybiskupią dla Wojtyły to błąd, bo to on, a nie odrzucani od dwóch lat kandydaci jest dla władz Polski ludowej naprawdę groźny. Jest on w jakiś sposób zafascynowany Wojtyłą, co zresztą wyróżniało esbeków zaangażowanych w rozpracowywanie biskupa.

SB była przecież naprawdę skuteczna. Dobrze pokazuje to, jakby dla kontrastu, historia zastawienia sideł na ks. Michała (Adrian Brząkała), osoby z bliskiego otoczenia Wojtyły, którą ogląda się z prawdziwym przejęciem. Oskarżenie o handel walutą, brutalne zastraszenie, a potem wyciągnięcie pomocnej dłoni w kłopotach, fałszywa przyjaźń i sprowokowanie dwuznacznej sytuacji w obecności kobiety pokazują widzom metody łowienia współpracowników w bezpieczniackie sieci. W tym przypadku wszystko kończy się samobójstwem osaczonego kapłana. Bo nawet porządny, pobożny i dochowujący celibatu ksiądz nie jest w stanie obronić się przed brutalną grą SB.

Im bardziej Karol Wojtyła awansował w hierarchii kościelnej, tym bardziej macki aparatu bezpieczeństwa starały się zacisnąć wokół niego. Interesowano się wszystkim: co lubi jeść, z kim się spotyka, dowiadywano się o każdy szczegół. Agenturze kazano nawet zbierać informacje o marce używanych przez niego żyletek do golenia, o tym, czy pali papierosy, a jeśli tak, to kto mu je kupuje, kto zaopatruje go w bieliznę osobistą i jakiej muzyki słucha. Główny bohater jako oficer SB jak w soczewce skupia cały wysiłek podjęty przez bezpiekę. Robi zdjęcia, z ukrycia za pomocą kamery dokumentuje każdy ruch figuranta, zleca zakładanie podsłuchów, obserwacji, prowadzi spotkania z pozyskanym do współpracy księdzem, planuje kolejne działania. Praca go pochłania, a im bardziej angażuje się przeciw Wojtyle, tym bardziej rozpada się jego życie osobiste. Demoniczna siła wpędza żonę w depresję, dziecko nieustannie choruje, w końcu on sam zostaje zdemaskowany. Ostatecznie któregoś dnia w mieszkaniu nie zastaje nikogo. Ponosi klęskę.

Wszystko to jednak za bardzo tonie w wysuniętej na pierwszy plan osobistej historii por. Budnego. Dlatego tytuł nieco myli, bo postawienie w centrum wydarzeń opowieści o młodym, ambitnym funkcjonariuszu MSW, stającym się z czasem opętanym bezpieczniacką robotą demonem, każe nam oglądać tę historię z innej perspektywy. Pamiętamy, że esbecy z „Psów" Pasikowskiego, choć dosadni, byli naprawdę cyniczni, zimni, gotowi na każde zło. Budny Glińskiego, niestety, nie jest kandydatem na milicyjno-esbeckiego Fausta. Nawet nadzorujący go mjr Wojnar (Zbigniew Stryj) jest raczej groteskowy niż demoniczny. Bardziej przypomina bohatera tak popularnych w PRL kawałów o milicjantach czy płk. Molibdena z „Rozmów kontrolowanych" niż oficera kierującego w Krakowie jednym z najważniejszych departamentów SB łamiącego kręgosłupy księżom.

NOWA EWANGELIZACJA Z NOWEJ HUTY

W filmie zainscenizowano również starcia z ZOMO, mające miejsce w Nowej Hucie w kwietniu 1960 r. Zostały wywołane próbą usunięcia przez władze partyjne krzyża, który po październikowej odwilży stanął w miejscu planowanej tam budowy świątyni. Zgodę na jej rozpoczęcie jednak wycofano, co doprowadziło do tak gwałtownych zamieszek, że milicja użyła wobec protestujących ostrej amunicji. Historia Nowej Huty, wzorcowego miasta komunizmu bez Boga i Kościoła, to też symbol budowy i w końcu upadku komunistycznej utopi. Tam rozstrzygała się przyszłość Kościoła w Polsce – gdy młody krakowski biskup stanął przy ludziach, którzy upomnieli się o prawo do praktykowania swojej wiary. Właśnie pod tym krzyżem odprawił swoją pierwszą po konsekracji biskupiej mszę świętą. To w Nowej Hucie w 1979 r. po raz pierwszy już jako papież użył mówił o nowej ewangelizacji.

3 MIŁOŚCI

UE. Koniec konspiracji

ROBERT TEKIELI

Kilka dni po ogłoszeniu wyników brytyjskiego referendum w sprawie brexitu na włoskiej wyspie Ventotene spotkali się przywódcy Niemiec, Francji i Włoch, by zadeklarować przyspieszenie działań zmierzających do powołania federacji europejskiej. Zebrani politycy złożyli kwiaty na grobie komunisty Altiera Spinellego, głównego autora manifestu z Ventotene, a Angela Merkel, rozmawiając z dziennikarzami, stwierdziła, iż wizyta ta „wyraźnie pokazała, że wiemy, skąd wzięła się Unia Europejska".

Dziś, na co zwrócił uwagę Jacek Saryusz-Wolski, projekt rezolucji Parlamentu Europejskiego w sprawie zmiany traktatów UE jako jedną z dwóch najważniejszych swoich podstaw przywołuje manifest z Ventotene, przewidujący likwidację państw narodowych. Ten trzyrozdziałowy dokument, stworzony przez trzech włoskich antyfaszystowskich, socjalistycznych i komunistycznych intelektualistów: Altiera Spinellego, Ernesta Rossiego i Eugenia Colorniego, postuluje odebranie europejskim państwom narodowym władzy nad finansami, polityką zagraniczną, gospodarką i obronnością na rzecz superpaństwa. Wspólna waluta już istnieje, wojsko UE w bólach, ale powstaje, instytucje unijne, łamiąc zawarte traktaty, uzurpują sobie prawo do władania kolejnymi dziedzinami, których państwa narodowe nie oddały centrali. W manifeście wprost mówi się o dyktaturze partii proeuropejskiej, mającej wbrew narodom Europy wprowadzić jedno, scentralizowane superpaństwo.

Jeszcze kilka lat temu politycy wprowadzający w życie manifest z Ventotene zarzucali myślenie kategoriami teorii spiskowych osobom ostrzegającym przed istnieniem europejskiej konspiracji, mającej ustanowić antynarodową dyktaturę w Europie. Od niedawna to się zmieniło, zaczęto wprost mówić o rychłej konieczności wyzbycia się suwerenności przez państwa członkowskie UE. Oczywiście nie przez wszystkie: najwyższe instancje sądownicze w Niemczech regularnie podkreślają wyższość niemieckiej ustawy zasadniczej nad prawem Unii Europejskiej.

Na nasze nieszczęście dążenia ideologicznie motywowanych europejskich środowisk politycznych zbiegły się z mocarstwowymi interesami Niemiec. Marksizm i imperializm zawsze ciągną ku sobie. Dla Polski ten sojusz jest zabójczy. W realizowanym planie nie ma miejsca na suwerenny ośrodek polityczny pomiędzy Berlinem a Moskwą.

Wojna na Ukrainie i konflikt w Izraelu coraz wyraźniej ujawniają istnienie realnego sojuszu pomiędzy Rosją, Iranem, Chinami i Koreą Północną. Do tego czworokąta dyktatur aspirują też Niemcy. Główny cel ich działania – wypchnięcie USA z Europy – jest zbieżny z interesem Kremla. Od przynajmniej dwóch dekad Niemcy i Rosja znów działają jak sojusznicy. Ta wspólnota interesów najwyraziściej zogniskowała się w projekcie Nord Streamów, a jej konsekwencją jest wojna na Ukrainie.

Globalna gra od początku lat 90. toczy się o to, ilu hegemonów będzie gwarantami powstającego nowego światowego ładu. Czy tylko Stany Zjednoczone, czy będzie to znów układ binarny z Chinami w miejsce ZSRS, czy też Niemcom uda się zjednoczyć na swoich warunkach Europę i w szorstkim sojuszu z Rosją staną się trzecim euroazjatyckim elementem globalnego strategicznego trójnoga.

Niemcy od zjednoczenia działają tu konsekwentnie. Starania o to, by stać się szóstym stałym członkiem Rady Bezpieczeństwa ONZ, trwają od dekad. Dla Berlina byłoby to symboliczne zakończenie II wojny światowej i ostateczne odpuszczenie związanych z nią win. Do pełni szczęścia brakowałoby już tylko usunięcia amerykańskich wojsk okupacyjnych z Niemiec.

Dla Polski i Europy Środkowo-Wschodniej cała nadzieja w tym, że dla amerykańskich elit od zakończenia II wojny światowej oczywistością jest, iż naród niemiecki i jego decydenci rozumieją jedynie język siły. Bez amerykańskiego buta na niemieckim karku tragiczna historia powtórzyłaby się już dawno po raz trzeci. Anegdotyczny greps o konieczności prewencyjnego bombardowania Niemiec co 50 lat niesie po prostu prawdę o tym zakompleksionym narodzie. Smutną prawdę.

W sytuacji ograniczonej suwerenności, nie mogąc użyć hard power, nasi zachodni sąsiedzi wykorzystują UE jako niemilitarne narzędzie swojej imperialnej polityki. Instytucjonalna przewaga Niemiec w Unii Europejskiej sprawia, że dziś musi rozpocząć się w Polsce dyskusja nad rachunkiem zysków i strat płynących z naszej dalszej obecności w Unii.

W mojej opinii polexit jest nieunikniony. Widzę tylko jeden alternatywny scenariusz: rozpad Unii Europejskiej. Tak czy inaczej, obronę polskiej suwerenności jesteśmy winni pokoleniom naszych przodków, przez cały XIX i XX w. przelewających krew, byśmy dziś mogli mówić i myśleć po polsku.

eprasa.pl 4ee1868b88

Warte 40-min dokument Mariusza Zielke zatytułowany „Bagno 2. Przemilczane" to pięć historii krzywdzonych dzieci. Do dziennikarza pracującego nad pierwszą częścią „Bagna" oprócz osób skrzywdzonych przez Krzysztofa S. zgłaszały się też ofiary innych pedofili. Przy okazji premiery „Bagna 2" poznaliśmy losy kobiet krzywdzonych w wieku 7, 8, 12 lat.

Przedsiębiorca Jarosław B. gwałcił 12-latkę. Jan K., nauczyciel, zaczął krzywdzić Annę, gdy miała 8 lat. Trwało to do 15. roku jej życia. Dorota do dziś jest aseksualna. Przez rok, gdy składając zeznania, wracała do tamtych wydarzeń, jak mówi, „nie funkcjonowała w społeczeństwie". Nosi w sobie głębokie poczucie winy, że nie powiedziała o molestowaniu, wypierała swoją krzywdę. Jest przekonana, iż gdyby się na to zdobyła, uchroniłaby inne dzieci przed gwałtem.

Trudno jest patrzeć na ujawniane przed kamerą cierpienie. Aleksandra Kowalczyk opowiada, jak znany łódzki aktor Marcel Szytenchelm zaproponował jej, wtedy piętnastolatce, w ramach warsztatów teatralnych grę w rzeźbiarza. Była to forma molestowania seksualnego. Prawie rozebrana dziewczyna była zachęcana przez aktora przebranego za księżniczkę do rozbierania go. Dokładnie taką samą historię z nim w roli głównej opowiada Karolina. Zgłosiły się jeszcze dwie kobiety molestowane przez aktora. Szytenchelm, z którym Mariusz Zielke rozmawia na ulicy, wypiera się tych czynów. Skonfrontowany z Aleksandrą Kowalczyk ucieka.

„13-latka nie chce seksu codziennie, trzy razy w nocy... Dużo taka historia zabiera z życia, ponieważ byłam z wszystkim sama... Nikt mnie dziś nie może dotknąć, pogłaskać, bo od razu powracają tamte obrazy, zapachy...". To historia Anny Muchy, skrzywdzonej przez Marka Klęczka, trenera narciarskiego. Przed laty Anna pojechała na obóz sportowy do Austrii. Oprócz Klęczka byli tam też inni trenerzy. Nie uznali, że to niewłaściwe, by 13-latka mieszkała w jednym pokoju z dorosłym facetem? W nagranej przez Mariusza Zielke rozmowie telefonicznej ze swą ofiarą Marek Klęczek przyznał się do przestępstwa i przepraszał. Anna Mucha: „Nie chcę jego przeprosin. Za to się nie da przeprosić. Chcę tylko, żeby nie pracował z dziećmi".

Ofiara Ryszarda Variselli, jego pasierbica Camilla, próbowała popełnić samobójstwo. Trudno się słucha historii 12-latki, w której występują takie rekwizyty jak parówka w prezerwatywie...

W komentarzu do tych pięciu spraw Mariusz Zielke mówi o kilkudziesięciu innych znanych mu aferach pedofilskich, które są kryte, niektóre od kilkudziesięciu lat.

Film zamyka następująca informacja: „Gwałciciel Jarosław Błażejewski wyjdzie na wolność w 2024 r. po odbyciu kary dwóch lat więzienia. Nauczyciel muzyki Jan K. pozostaje członkiem komisji rewizyjnej lubelskiego Towarzystwa Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego. Marcel Szytenchelm w dalszym ciągu »rozmiękcza rzeczywistość i rozluźnia ludzi, wymyślając nietypowe akcje teatralne« (»Dziennik Łódzki«, wywiad z 16 czerwca 2023 r.). Marek Klęczek przeprowadził się do Krakowa, gdzie prowadzi działalność gospodarczą w zakresie pozaszkolnych form edukacji sportowej dla dzieci i młodzieży. Ryszard Varisella prowadzi aktywną działalność biznesową i towarzyską, dzieląc czas między Polskę i Monako".

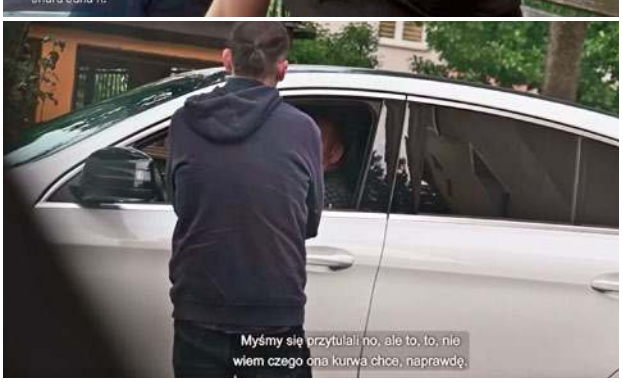

„Bagno 2" to historia systemowego zamiatania pod dywan tragedii pedofili. Media nie są zainteresowane, jeśli czarnymi bohaterami nie są księża, a gdy rzecz dotyczy ludzi elit, przestępcy są otaczani środowiskową tarczą ochronną. W historii Aleksandry Kowalczyk pojawia się wątek zamordowanej dziennikarki Ewy Żarskiej. Od jednego z informatorów autora filmu dowiadujemy się, że pisała książkę o sprawach przestępstw pedofili osób związanych z łódzkimi władzami. Mariusz Zielke skontaktował się z dwoma prokuratorkami z Łodzi, które zrezygnowały z prowadzenia spraw łódzkich pedofili na wysokich stanowiskach.

„Bagno 2" to przede wszystkim historie cierpienia kobiet, które zdecydowały się mówić przed kamerą. Trudno się to ogląda. Bezbronność dziecka i bestialstwo.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl 4ee1868b88

Adamski

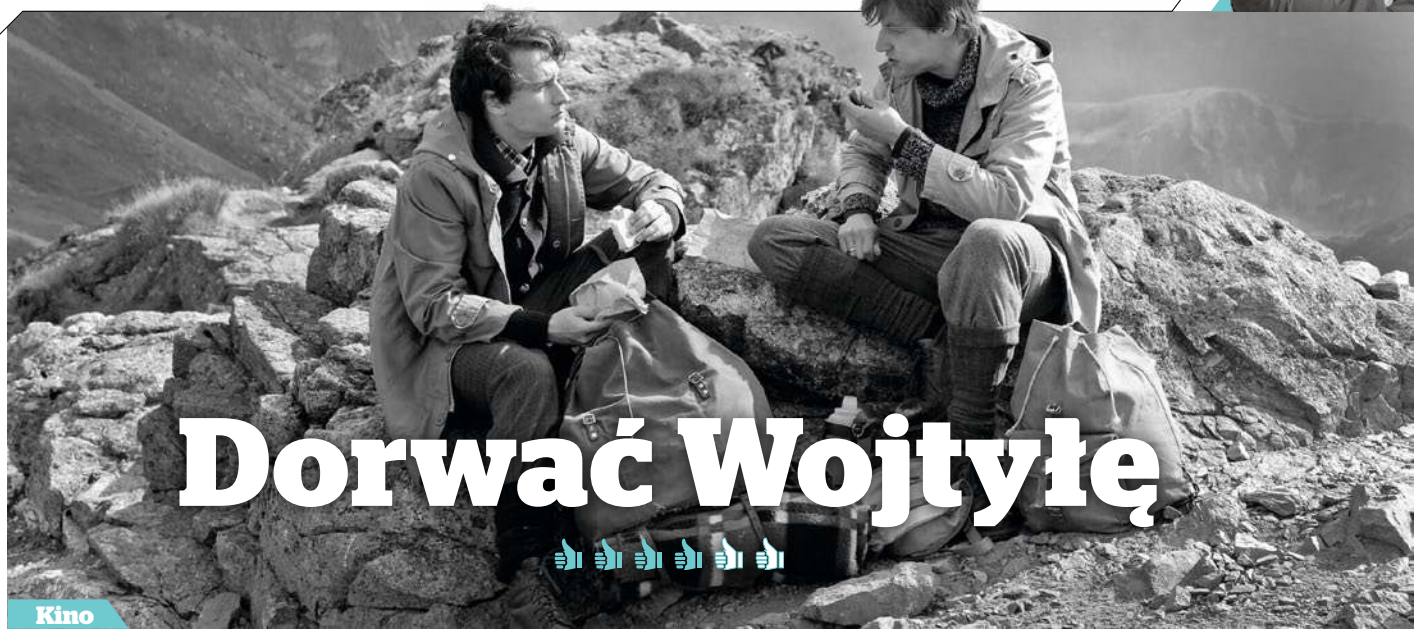

Dorwać Wojtyłę

Kino

„Figurant" trafia do kin w bardzo odpowiednim okresie. Najnowszy film Roberta Glińskiego przypomina, z jakimi prześladowaniami musieli się mierzyć duchowni katoliccy w PRL. Kilka lat temu pokazywanie tego było truizmem, lecz dziś może być odebrane jako przywracanie równowagi w percepcji roli Kościoła katolickiego w walce Polaków z komunistyczną niewolą. To również pokazanie Karola Wojtyły jako jednoznacznej ofiary, co w coraz bardziej antyklerykalnej rzeczywistości jest aktem filmowego nonkonformizmu. „Figurant" to najlepszy film Glińskiego od czasu obsypanego w 2001 r. licznymi nagrodami „Cześć Tereska".

Od jakiegoś czasu reżyser szukał sposobu na ciekawe pokazanie prześladowania katolickiego duchowieństwa przez komunistyczny reżim. Dobrze, że nie skończył na nieudanej „Ziei", gdzie ukazał starcie esbeka z kard. Wyszyńskim. W „Figurancie" widzimy próbę sił SB z innym wielkim polskiego Kościoła. Karol Wojtyła jest tutaj tłem dla uniwersalnej opowieści o zaprzedaniu się złu. Jest to jednak zło, które ciągle należy nazywać. To najważniejsze w filmie Glińskiego. Nie jest więc „Figurant" biografią późniejszego papieża Jana Pawła II, choć na ekranie widzimy kolejne ścieżki jego duszpasterskiej działalności w Krakowie – jej symbolem było zbudowanie kościoła w Nowej Hucie. Jest to opowieść o młodym chłopaku Bronku Budnym (Mateusz Więcławek), dla awansu społecznego, pieniędzy i prestiżu wstępującego do SB i przydzielonego do inwigilowania nowego biskupa Krakowa. Figurant nie oznacza tylko kogoś, kto był przedmiotem zainteresowania SB, lecz także jest synonimem bezwolnej marionetki wykorzystywanej przez innych. Tytuł filmu dobrze oddaje jego podwójny wymiar.

To ciekawe, że obraz esbeka w polskim kinie jest złożony – nie tylko u młodych twórców, którzy PRL nie pamiętają, lecz także u takich weteranów jak Gliński. On przecież ma w pamięci komunizm i rozlicza go przez własne doświadczenia, czego wychowani już na globalnej popkulturze młodzi polscy filmowcy z natury nie robią. Jego wizerunek został ukształtowany przez romantyczno-gangsterskie opowieści Pasikowskiego. Teraz esbecy dostają inną twarz. Nie „twardzielską", ale też nie demoniczną. Podobnie jak w tegorocznym „Świętym" Sebastiana Buttnego, widzimy więc młodego funkcjonariusza, który w imię kariery sprzedaje się złu. Oblepia ono całe jego życie. Osobiste, miłosne i egzystencjalne. Bronek wychował się w sierocińcu prowadzonym przez zakonnice. Mówi, że wybiły mu one Boga z głowy, więc teraz mści się na młodym bp. Wojtyle. Chęć awansu społecznego łączy się z osobistą zemstą na tych, którzy w jego mniemaniu zawiedli go jako rodzinna. To ciekawe wyjście do rasowego kina psychologicznego, jednak „Figurant" ostatecznie do końca go nie dostarcza. Mimo to Budny stanowi intrygującą i dobrze zagraną postać. Więcławek dowodzi, że jest charyzmatycznym, młodym aktorem; pracował już z Glińskim w „Kamieniach na szaniec" i „Czuwaj", ale pierwszy raz gra w jego filmie główną rolę. Gliński i scenarzysta Andrzej Gołda przypominają, jakie metody wykorzystywała SB przeciwko duchowieństwu. Każdy, kto czytał o metodach inwigilacji komunistycznych służb, wie, że nawet z pozoru nic nieznacząca informacja o figurancie mogła posłużyć do wyrządzenia mu zła. „Ja nie szkodziłem" – mówią tajni współpracownicy SB. Ten film pokazuje, że nie było nieszkodliwych donosów.

Gliński ciekawie wymieszał ze sobą archiwalne nagrania z bardzo dobrymi czarno-białymi zdjęciami Adama Bajerskiego. Wszystko buduje voyerowski klimat, pasujący do głównego wątku ciągłego podglądania bp. Wojtyły przez esbeka. Kraków lat 60. XX w. naprawdę odżywa na ekranie. Zarówno ten na ulicach, jak i ten podziemno-piwniczny. Świetnie oddano też nastrój Piwnicy pod Baranami. „Figurant" przypomina kino moralnego niepokoju z lat 70., ale jednocześnie dotyka współczesności. Uwikłanie w zło systemu nie ma tylko jednej czerwonej barwy. Warto o tym pamiętać w tak bardzo niespokojnych czasach pogubienia, dyktatury moralnego relatywizmu i kładzenia wartości na politycznym stole.

„FIGURANT" W KINACH

eprasa.pl 4ee1868b88

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Cancel culture na wsi

Cieszę się, że to „Chłopi" zostali polskim kandydatem do Oscara. Nowe dzieło twórców „Twojego Vincenta" wizualnie zachwyca i wyciąga z noblowskiego arcydzieła Reymonta treści uniwersalne dla globalnego widza. Czy ten film ma szansę na sukces w Hollywood? Jego dystrybucją za oceanem zajęło się Sony, zaś fakt, że poprzedni film Welchmanów stanął do oscarowej walki, daje „Chłopom" wielką szansę, by podbić serca tamtejszej widowni.

Lubię „Twojego Vincenta" za jego wizualną formę, ale miałem pretensję do przeciętnego scenariusza. Poprzedni film twórców „Chłopów" olśniewał nowatorską formą, przesłaniającą schematyczną historię z papierowymi bohaterami. Teraz Dorota Kobiela i Hugh Welchman zrobili jednak dzieło kompletne, które jest już widowiskiem i nie traci niczego ze swojej warstwy literackiej. Łatwo było zamalować niedostatki scenariusza i oszukać widza spektaklem. Nie zrobiono tego. „Chłopi" są sprawnie opowiedziani, dobrze zagrani (szczególne brawa dla Mirosława Baki w roli Macieja Boryny) i mają swój hipnotyzujący rytm. Najpierw nakręcono film aktorski, potem dodano do niego warstwę malarską. Ponad 100 malarzy w czterech studiach w Polsce, na Litwie, Ukrainie i w Serbii malowało olejne obrazy na płótnie, nałożone na filmowe klatki.

Oczywiście nie można było uniknąć zarzutów tych, którzy kochają serial Jana Rybkowskiego z 1972 r. i nie wyobrażają sobie w roli Jagny nikogo innego niż Emilii Krakowskiej. Rozumiem i szanuję to przywiązanie. Podobne spory toczą się przecież wokół netfliksowego „Znachora" Michała Gazdy, który naruszył świętość naznaczoną nazwiskiem Jerzego Hoffmana. Ja jednak uważam, że zarówno „Znachor", jak i „Chłopi" A.D. 2023 doskonale trafiają do zupełnie nowego widza i dają mu szansę na obcowanie z wielkością polskiej klasyki w nowym wymiarze. „Chłopi" nie przez przypadek są skupieni na losach Jagny (Kamila Urzędowska) – na ekranie symbol kobiecego buntu i walki o niezależność. Jest ona skrojona pod feministyczną percepcję dzisiejszego widza, ale jednocześnie staje się symbolem walki z... polityczną poprawnością. Za daleko idące wnioski?

Piszę to trochę prowokacyjnie, ale zobaczcie, jak zostaje ona potępiona i wypędzona z wioski. To cancel culture w swoim najczystszym wydaniu, zaczynające się od piętnowania werbalnego, a kończące na fizycznym wypędzeniu ze wspólnoty. Za co? Za myślozbrodnię i opór wobec arbitralnie narzuconych norm społecznych. Wielu krytyków uznało Jagnę za symbol dzisiejszej fali feminizmu. To jednak zbyt wąskie spojrzenie na tę postać. Jest ona uniwersalnym, a nie polityczno-ideologicznym symbolem dążenia do niezależności i wolności. Urzędowska ma w sobie beztroskę, naiwność, ale też zadziorność, które nie powinny być zestawiane z tym, co na ekranie pokazała Krakowska. To zupełnie inna Jagna. Na inne czasy i na inną wrażliwość widza. Nie można przecież zapominać, że Welchmanowie inaczej prowadzą aktorów, którzy są „podrasowani" wizualnymi efektami i mogą grać na innej nucie. Chociaż Sonia Mietielica w roli Hanki Boryny również w klasycznie czysto aktorskiej interpretacji pewnie byłaby równie magnetyczna.

Malarskie kadry polskiej wsi zainspirowane malarstwem Józefa Chełmońskiego, Ferdynanda Ruszczyca i Leona Wyczółkowskiego doskonale wpisują się w szaleńczy i destrukcyjny trójkąt miłosny, eksplodujący w rytmicznie i wizualnie olśniewającej onirycznej scenie wesela ze znakomitym motywem muzycznym Łukasza L.U.C. Rostkowskiego.

„Chłopi" dowodzą, że polska literatura wciąż jest żywa i może być odczytywana na nowo. Ba, może być podstawą do rozwoju nowej formy sztuki, jaką Welchmanowie (Kobiela podpisuje się teraz DK Welchman) od lat tworzą. Swoim językiem opowiadają i kreują prawdziwie autorskie kino, łączące w zjawiskowy sposób kilka dziedzin sztuki. Powinniśmy być dumni, że dajemy światu tak nowatorskie kino.

Kino

„CHŁOPI" W KINACH

eprasa.pl 4ee1868b88

Pod mecenatem ORLENU

W poszukiwaniu autentycznych brzmień Chopina

Jedną z najdonioślejszych misji Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina jest nieustanne dążenie do przywrócenia autentycznego brzmienia twórczości naszego genialnego kompozytora. Od momentu założenia instytut kładzie nacisk na konsekwentne działania w tym kierunku, będące jedynym z filarów jego programu, a najpełniej realizuje je dzięki organizacji Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego na Instrumentach Historycznych, którego mecenasem jest ORLEN

Wzorem i punktem wyjścia stał się ambitny projekt Stanisława Leszczyńskiego, stworzony w 2005 r., a także od tego czasu corocznie organizowany Międzynarodowy Festiwal „Chopin i jego Europa". To właśnie te inicjatywy otworzyły nową erę w interpretacji muzyki Chopina, rzucając nowe światło na geniusz tego wielkiego kompozytora.

GRAĆ NA TYM, CO CHOPIN

Od chwili, gdy do Instytutu Fryderyka Chopina trafił fortepian Erarda z 1849 r., stało się jasne, że projekt mający na celu odnalezienie tego samego brzmienia,

Fot. Wojciech Grzędziński/NFC

eprasa.pl 4ee1868b88

jakie wydobywało się spod palców mistrza, staje się realny. Od tamtej pory kolekcja fortepianów z epoki Chopina w zbiorach instytutu nieustannie rośnie, a te historyczne instrumenty są udostępniane wybitnym pianistom, mającym okazję usłyszeć dźwięk, jaki wyczarowywał sam geniusz. Ponadto do Warszawy zjeżdżają najznakomitsze orkiestry specjalizujące się w grze na historycznych instrumentach, by wspólnie z pianistami oddać hołd Fryderykowi Chopinowi.

Niewątpliwym sukcesem Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina są także wydawnictwa płytowe, w szczególności te z serii „The Real Chopin". To pionierskie przedsięwzięcie na skalę światową – po raz pierwszy prezentuje wszystkie utwory tego wspaniałego polskiego kompozytora w ich pierwotnym brzmieniu.

Dążenie do autentycznego wykonania na instrumentarium będącym do dyspozycji samego Chopina pozwala współczesnym melomanom odkrywać specyfikę jego muzyki. To właśnie te wyjątkowe cechy, mogące ulec utracie w interpretacji na współczesnych instrumentach, ożywają na historycznych fortepianach.

DRUGA EDYCJA KONKURSU

To jeszcze jednak nie wszystko. W dążeniu do promocji wykonawstwa muzyki Chopina na instrumentach z epoki, Narodowy Instytut Fryderyka Chopina postanowił zrealizować projekt bezprecedensowy na skalę światową – Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych, w swojej formule nawiązujący do Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego.

Pierwsza edycja tego wielkiego wydarzenia miała miejsce we wrześniu 2018 r. w Filharmonii Narodowej w Warszawie i stała się niezapomnianym akcentem obchodów 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Do udziału w konkursie zgłosiło się 60 utalentowanych pianistów z 19 różnych państw, a zwycięzcą został Polak – Tomasz Ritter.

Kolejna odsłona Konkursu Chopinowskiego na Instrumentach Historycznych, a więc jego druga edycja, odbyła się od 5 do 15 października br. w Filharmonii Narodowej. Ponieważ ten numer tygodnika „Sieci" zamknęliśmy przed ogłoszeniem nazwiska laureata konkursu, nie możemy go tutaj podać, ale jesteśmy w stanie przybliżyć, jak odbywała się rywalizacja.

Harmonogram tego wielkiego wydarzenia tak jak poprzednio przewidywał trzy etapy rywalizacji. W pierwszych dwóch uczestnicy prezentowali recitale solowe, sięgając nie tylko po dzieła Chopina, lecz także wybrane kompozycje Johanna Sebastiana Bacha i Wolfganga Amadeusa Mozarta oraz polonezy polskich twórców działających w pierwszej połowie XIX w. Do finałowego etapu zakwalifikowało się sześciu najwybitniejszych pianistów – wystąpili oni z wybranymi utworami Chopina w towarzystwie [oh!] Orkiestry pod dyrekcją Václava Luksa.

Ocenę prezentacji uczestników powierzono międzynarodowemu jury złożonemu z uznanych muzyków specjalizujących się w wykonawstwie historycznym, takich jak Andreas Staier, Paolo Giacometti, Tobias Koch, a także wybitnych interpretatorów muzyki Chopina.

Pianiści startujący w konkursie mogli skorzystać z bogatej oferty fortepianów historycznych z kolekcji Instytutu (w tym erardy z 1838, 1849 i 1855 r., pleyele z 1848 i 1854 r., Broadwood z 1843 r.), a także kopii instrumentów z epoki Chopina oraz instrumentów udostępnionych przez zaprzyjaźnione kolekcje europejskie. Od początku mecenasem wspierającym tę wyjątkową inicjatywę i wyjątkowy konkurs jest ORLEN, angażujący się we wspieranie projektów służących popularyzacji oraz rozsławianiu na świecie polskiego dziedzictwa kulturalnego, a przecież muzyka Fryderyka Chopina jest jednym z naszych najcenniejszych narodowych skarbów.

NIEUSTANNE POSZUKIWANIE

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina to jedna z najaktywniejszych instytucji na kulturalnej mapie Polski. Jedną z jej misji jest nieustanne poszukiwanie najbardziej utalentowanych polskich pianistów, którzy przechowają muzykę geniusza dla kolejnych pokoleń. Do tego celu służy m.in. Ogólnopolski Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina, którego 52. edycja odbędzie się od 25 listopada do 3 grudnia br. Formuła konkursu także jest trzyetapowa. Dwa pierwsze etapy to recitale solowe, w finale pianiści wykonają wybrany spośród wskazanych w regulaminie koncert fortepianowy z towarzyszeniem orkiestry Sinfonii Iuventus. Do konkursu mogą przystąpić pianiści urodzeni w latach 1993–2007, będący obywatelami Rzeczypospolitej Polskiej.

Historyczne fortepiany – jakie to ma znaczenie

Dla laika organizacja z wielkim rozmachem konkursu chopinowskiego na instrumentach z epoki z pozoru może wydawać się fanaberią pasjonatów, jednak dla tak genialnego twórcy, jakim był Fryderyk Chopin, każdy, nawet najdrobniejszych detal miał znaczenie. Tymczasem dźwięk, jaki mistrz był w stanie wydobyć z instrumentu, zależał także od sposobu jego budowy i zastosowanych rozwiązań technicznych. Istotę sprawy znakomicie opisuje Beniamin Vogel w tekście „Warszawski fortepian Fryderyka Chopina" z książki „Fortepian Chopina" (Narodowy Instytut Fryderyka Chopina, Warszawa 2018) – jego fragment można przeczytać na stronie: https://iccpi.pl/pl/2023/aktualnosci/311.

W tej rozprawce znajdziemy mocne argumenty na to, że powrót do źródeł muzyki Chopina i próba jej jak najbardziej autentycznego odtworzenia nie mogą ignorować kwestii instrumentarium. Kibicujmy zatem projektowi, jakim jest Międzynarodowy Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych, by w przyszłości jego renoma dorównała Międzynarodowemu Konkursowi Pianistycznemu im. Fryderyka Chopina, którego 100. rocznicę będziemy obchodzić już w 2027 r.

PARTNER DODATKU

ORLEN

Artykuł sponsorowany | 46/0223/F

eprasa.pl 4ee1868b88

Sport i biznes w wielu różnych wymiarach

Rozmowa z Agatą Pniewską na Europejskim Kongresie Sportu i Turystyki

Na zakopiańskim II Europejskim Kongresie Sportu i Turystyki rozmawiamy z Agatą Pniewską, dyrektorem wykonawczym ds. sponsoringu w ORLENIE. Przedstawiciele koncernu są obecni podczas większości toczących się tutaj dyskusji o sporcie. Rozmawiają nie tylko o biznesie, sponsoringu, marketingu i sprawach związanych z finansowaniem sportu. Poruszają także inne kwestie – choćby wiążące się z organizacją imprez sportowych czy rozwojem poszczególnych dyscyplin.

Obserwując sponsoringowe zaangażowanie ORLENU na tak wielu różnych polach w sporcie, ale także kulturze, zastanawiam się, na ile możliwe jest kontrolowanie tak ogromnej skali przedsięwzięć. Można to wszystko ogarnąć?

Agata Pniewska: Skala działalności sponsoringowej ORLENU jest pochodną skali działalności biznesowej. W ub.r. ORLEN połączył się z Lotosem i PGNiG, wcześniej przejął Energę. Powstał największy koncern paliwowo-energetyczny w Europie Środkowo-Wschodniej, mocno obecny nie tylko w Polsce, lecz także za granicą i nadal szukający możliwości ekspansji oraz umocnienia się na kolejnych rynkach. Sponsoring sportu ma potencjał, aby być dźwignią ułatwiającą sukces w działalności biznesowej. To decyzja zarządu ORLEN z prezesem Danielem Obajtkiem na czele, aby pójść w tym kierunku i wykorzystać te możliwości. Dziś po fuzji z Lotosem, PGNiG i przejęciu Energi połączyliśmy siły, korzystamy z efektów synergii również w obszarze sponsoringu. Stworzyliśmy

eprasa.pl 4ee1868b88

kompetencje związane z komunikacją projektów oraz komercjalizacją świadczeń, nabywanych przez nas w ramach umów. W sumie nasz zespół to ponad 50 zaangażowanych osób w samym ORLENIE, do tego dochodzą jeszcze zespoły z grupy kapitałowej, na co dzień zajmujące się zadaniami sponsoringowymi z wielu różnych dyscyplin.

Choćby takimi, jak kobieca piłka nożna, bo po debacie dotyczącej tej właśnie dziedziny mamy okazję rozmawiać. Skąd zainteresowanie akurat tą dyscypliną sportu?

W naszej ocenie jest to naturalny kierunek rozwoju piłki nożnej.

Bardzo odważna teza. Uda się ją obronić?

Nie można patrzeć na sport tylko przez pryzmat tego, co aktualnie jest najpopularniejsze. Kobieca piłka nożna to dyscyplina z ogromnym potencjałem. Widzimy ten trend w światowych rankingach, dostrzegamy, jak mocno angażują się w rozwój tej dyscypliny FIFA i UEFA, zwiększające nakłady na nią. Oczywiście chcemy aktywizować Polaków, zarówno mężczyzn, jak i kobiety, ale to tylko jedna strona tego zjawiska. Nie mamy wątpliwości, że dziś komercyjnie kobieca piłka nożna to projekt, który będzie się błyskawicznie rozwijał.

Często podkreślacie, że sponsoring sportu nie jest elementem działalności charytatywnej. Dla ORLENU sport to przede wszystkim biznes?

Oczywiście, ale patrzymy na sport i biznes w wielu różnych wymiarach. Dla przykładu – Formuła 1 jest platformą, która winduje naszą rozpoznawalność i ułatwia ekspansję na zagraniczne rynki. Dzięki temu zaangażowaniu możliwy jest tak szeroki rebranding stacji poza Polską. To jest projekt *stricte* biznesowy, który, z dumą mogę powiedzieć, rozwijamy w całej Grupie ORLEN. Biznes to także proces lojalizowania klientów. Badania pokazują, że nasze inwestycje w sport są zarówno popierane, jak i oczekiwane przez konsumentów. Nasi klienci chcą, abyśmy dbali o rozwój polskiego sportu i widać to także w ich preferencjach zakupowych. To nie zawsze jest zerojedynkowy zysk ze sprzedaży, ale w długiej perspektywie takie działanie przynosi owoce. Możemy jednak patrzeć na sport z jeszcze szerszej perspektywy – jest on bardzo ściśle związany z gospodarką, przekłada się na miejsca pracy, promocję kraju i regionu. Transmisje sportowe powodują, że buduje się markę Polski na arenie międzynarodowej. Aż 2 proc. PKB wytwarzane jest właśnie w sektorze sportowym. Sport to również profilaktyka zdrowotna, czyli potencjalnie ogromna oszczędność w zakresie choćby chorób cywilizacyjnych. To nie ma bezpośredniego wpływu na wyniki sprzedażowe ORLENU, ale angażując się w sport, również bierzemy to pod uwagę.

Wspomniała pani o unifikacji brandu ORLENU – wiemy, że ma to miejsce na stacjach w Niemczech, Czechach i na Słowacji, co także w jakimś stopniu było możliwe dzięki inwestycjom w Formułę 1. Może nadszedł już czas, aby na koszulkach zespołu grającego w piłkarskiej Lidze Mistrzów pojawiło się logo Orlenu, a nie np. Gazpromu?

Musimy pamiętać, że na sukces w sporcie składa się skomasowany wysiłek wielu podmiotów. Nie zależy on tylko od sponsora. My dokładamy cegiełkę do całej strategii i budżetu danej dyscypliny, możemy pomagać w popularyzacji oraz zwiększeniu grona odbiorców, ale nie jesteśmy w stanie wziąć odpowiedzialności za strategię sportową. Dla nas, oczywiście, ważna jest ta wizja, ale to zadanie związków i klubów.

Czy poza Formułą 1 planujecie jeszcze zaangażowanie w jakieś duże projekty i inne dyscypliny?

Absolutnym priorytetem jest dla nas wykorzystanie zaangażowania w sponsoring zespołu Scuderia Alpha Tauri, naszej obecności w świecie Formuły 1, która notuje gigantyczne wzrosty zainteresowania. Poszerza się grupa odbiorców, kiedyś stanowili ją tylko mężczyźni, dziś są to także kobiety. Bez wątpienia serial na platformie Netflix przyczynił się do budowania zainteresowania Formułą 1. Poza tą dyscypliną, będącą wspólnym mianownikiem dla całej naszej grupy kapitałowej, każda ze spółek prowadzi działalność właściwą dla danego kraju. Dla przykładu spółka Orlen Deutschland wspiera drużynę i klub piłki ręcznej. W Czechach wspieramy hokej, na Litwie koszykówkę, bo tam jest to sport narodowy. Ta spójna i komplementarna polityka sponsoringowa wspiera nasz biznes. Widać to choćby po przejęciu z Energi, Lotosu i PGNiG wszystkich reprezentacji narodowych sponsorowanych związków sportowych. Włączyliśmy je w tym roku pod parasol marki ORLEN. Wiemy, że to reprezentacje narodowe w ogromnym stopniu budują markę. Jeśli konsument na rynku zagranicznym widzi jej obecność w telewizji podczas rozgrywek, zaczyna ją kojarzyć z działalnością, którą widział w swoim kraju. To jest oczywiście cel ORLENU. Ponadto każda z naszych spółek działających na rynkach zagranicznych ma swoje cele biznesowe i własne wskaźniki wzmocnienia rozpoznawalności. Pilnujemy też, by spółki z naszej grupy dbały o projekty ważne dla lokalnych rynków i społeczności, gdzie konsumenci bezpośrednio stykają się z marką.

Na zakopiańskim II Europejskim Kongresie Sportu i Turystyki prowadzi pani dziesiątki rozmów na kilkanaście różnych tematów. Zastanawiam się, czy kiedy decyduje się o tak ogromnych budżetach, ważnych dla tak wielu różnych ludzi, da się choć chwilę odpocząć.

Oczywiście. Lubię się ruszać, odpoczywam, uprawiając sport. Kluczem jest znajdowanie okazji do aktywności sportowej w każdym miejscu, w którym jestem. Wówczas głowa się resetuje. Kilka dni temu brałam udział w wyścigu rowerowym na Polanie Jakuszyckiej w Rowerowym Biegu Piastów. Fantastyczna impreza. To jest dobry sposób na odpoczynek.

Dziękuję za rozmowę i życzę sukcesów, zarówno na polu międzynarodowym, jak i tym lokalnym.

Artykuł sponsorowany | 54/0023/F

eprasa.pl 4ee1868b88

Ludzka strona finansów, czyli „SKOK w nową dekadę”

XXXI Konferencja Spółdzielczych Kas Oszczędnościowo-Kredytowych zgromadziła liczną publiczność i wielu znakomitych prelegentów. Spotkanie w Katowicach odbywało się pod hasłem: „SKOK w nową dekadę”. Podczas wydarzenia debatowano o przyszłości i rozwoju całego sektora, stanowiącego ważne ogniwo polskiej gospodarki. Ponadto Kasy reprezentują wartości, w centrum stawiające człowieka, dobro wspólnoty i krzewienie patriotyzmu. Rozmawiano także o sytuacji ogólnoświatowego ruchu unii kredytowych oraz dynamicznie postępującej cyfryzacji i nowinkach technologicznych w finansach. Aktualnie członkami SKOK jest ponad 1,3 mln osób

eprasa.pl 4ee1868b88

W ramach wydarzenia poruszono takie aspekty, jak wpływ współczesnych mediów społecznościowych na kontakt z osobami będącymi członkami kas czy wdrażanie nowoczesnych metod płatności przez internet. Liderem tych zmian jest Kasa Stefczyka, która dba o to, by jej oferta dopasowana była do jak najszerszego grona odbiorców i pamięta m.in. o tworzeniu produktów dla osób młodych oraz edukuje seniorów w kwestii nowinek technologicznych i zachęca do korzystania z funkcjonalnej aplikacji kasy.

– W najbliższych latach na pewno zmieni się technologia i to jest dla SKOK duże wyzwanie. Nie możemy sobie pozwolić na to, aby technologicznie odstawać od podmiotów funkcjonujących na rynku finansowym – stwierdził Rafał Matusiak, prezes zarządu Krajowej SKOK.

Eksperci IT pracujący dla Spółdzielczych Kas Oszczędnościowo-Kredytowych nieustannie udoskonalają ich usługi elektroniczne. Nie zapominają również o wysokiej jakości zabezpieczeniach, niezwykle ważnych w sektorze finansowym. – Bezpieczeństwo jest niezwykle istotne. Od początku naszej działalności duży nacisk kładliśmy na edukację. Tak też zamierzamy działać w kwestiach cyberbezpieczeństwa – deklarował prezes Matusiak.

Prelegenci przypomnieli, że sektor SKOK obchodził w ub.r. 30. rocznicę istnienia, a co za tym idzie, br. jest dla kas pierwszym rokiem nowej dekady. Fundamenty kas od lat pozostają jednak niezmienne. W swoim etycznym podejściu do biznesu pielęgnują one więzi między lokalnymi społecznościami, krzewią patriotyzm i budują poczucie wspólnoty.

– Tradycja jest dla nas bardzo ważna. Nasza misja opiera się na podstawowych i uniwersalnych wartościach. Dlatego w naszej działalności nie skupiamy się tylko na sektorze finansowym, ale wspieramy wydarzenia, inicjatywy, wydawnictwa, które służą popularyzowaniu polskiej kultury oraz historii – przypomniał prezes Rafał Matusiak.

Troska o dobro wspólne to cecha od samego początku działalności charakteryzująca ruch spółdzielczy w Polsce. Najpełniej widać to w działalności społecznej, nierozerwalnie związanej z pracą nad umacnianiem postaw patriotycznych

i dbałością o chrześcijańskie podstawy działania w sferze ekonomii, finansów. Dlatego spółdzielcze kasy objęły mecenatem wiele ważnych inicjatyw, które przede wszystkim budują naszą pamięć historyczną oraz poczucie wspólnoty narodowej. Dzięki wsparciu SKOK powstało wiele filmów, publikacji, widowisk, konkursów i innych ważkich happeningów, a także miejsc pamięci, dzięki którym Polacy nie zapomną o ofiarach złożonych na drodze do odzyskania niepodległości oraz budowy niepodległej Polski.

Katowicka konferencja SKOK zgromadziła wielu pracowników sektora. To właśnie dzięki ich wiedzy, umiejętnościom i zaangażowaniu instytucje te są w stanie konkurować z bankami, nierzadko będącymi częścią wielkich, międzynarodowych korporacji.

Spółdzielczość rozwija się także na arenie międzynarodowej, a polskie kasy spółdzielcze stanowią część ogólnoświatowego ruchu unii kredytowych. Głos na temat kondycji polskich instytucji zabrali m.in. zagraniczni przedstawiciele credit unions.

– Przyjeżdżam do SKOK w Polsce od 1996 r. Ostatnie kilka lat to była walka. Wierzę jednak, że kasy oszczędnościowo-kredytowe w Polsce mają szansę na dalszy rozwój i sukces – skomentował 30 lat działalności SKOK w Polsce Marshall Boutwell, prezydent Peach State Federal Credit Union z USA, jeden z gości katowickiej konferencji.

W trakcie wydarzenia najważniejszą nagrodą systemu SKOK – Feniksem za 2021 r. uhonorowano dr. Briana Brancha, wieloletniego prezesa World Council of Credit Unions, dr. inż. Mieczysława Grodzkiego, prezesa zarządu Krajowej Rady Spółdzielczej, a także Krzysztofa Kosznika, wiceprezesa zarządu TUW Saltus.

– Głównymi wyzwaniami będą sprawy gospodarcze. Wszędzie widzimy wyzwania związane z inflacją, możliwościami zatrudnienia, ale i ograniczeniami w zakresie awansu w ramach tego zatrudnienia, przechodzenia na wyższe poziomy wynagrodzeń i stanowisk. Widzimy więc wszędzie, że pracownicy muszą dostosowywać się do nowych technologii, wykonywać pracę przy użyciu nowych rodzajów mechanicznych zastosowań procesów cyfrowych i radzić sobie z dużym zagęszczeniem w sektorze rolnym i produkcyjnym – ocenił dr Brian Branch.

Laureatami Feniksa 2022 zostały dwie organizacje zrzeszające ukraińskie unie kredytowe, od lat współpracujące z polskimi kasami. – Rozwój współpracy między kasami z obu naszych krajów będzie wzrastał nie tylko po zwycięstwie Ukrainy w wojnie, w które bardzo wierzymy, ale już w tej chwili. Chciałbym podziękować polskim przyjaciołom za pomoc, którą udzielają mojej ojczyźnie i rodakom – oznajmił Wiaczesław Wojnarowśkyj, konsul generalny Ukrainy w Krakowie.

Ukraińcy oficjalnie podziękowali za udzielenie im pomocy w tych trudnych czasach. To dzięki zaangażowaniu polskich SKOK do ukraińskich miasteczek i wsi, często na terenach objętych działaniami frontowymi, tylko w tym roku trafiły m.in.: agregaty prądotwórcze, karetki pogotowia, ciągniki i sadzarki do ziemniaków.

– To naprawdę rzeczy bardzo potrzebne Ukraińcom. Tym walczącym na froncie, ale także ich rodzinom, które cierpią z powodu wojny – przyznał Ołeksander Plodostyj, konsul Ukrainy w Gdańsku.

Konferencja stała się również okazją do wręczenia Nagród 30-lecia. Otrzymały je Spółdzielcze Kasy Oszczędnościowo-Kredytowe, które, działając nieprzerwanie przez trzy dekady, przyczyniły się do popularyzacji i umocnienia spółdzielczości finansowej w Polsce. Wyróżnienia te otrzymały: SKOK Ziemi Rybnickiej, SKOK im. Unii Lubelskiej, SKOK im. Franciszka Stefczyka, Zachodniopomorska SKOK oraz SKOK w Kostrzynie nad Odrą.

(red)

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 4ee1868b88

Jak skutecznie walczyć z chorobami cywilizacyjnymi?

Choroby cywilizacyjne są przyczyną ponad 80 proc. przedwczesnych zgonów. Otyłość i cukrzyca zajmują wśród nich szczególne miejsce – to dwie największe pandemie XXI w. Często towarzyszy im reumatoidalne zapalenie stawów (RZS), przewlekła choroba o podłożu autoimmunologicznym. O walce z nimi rozmawiali uczestnicy debaty „Choroby cywilizacyjne – wyzwania otyłości, cukrzycy i reumatoidalnego zapalenia stawów", zorganizowanej przez redakcję ekonomiczną Grupy Medialnej Fratria

Maciej Miłkowski, wiceminister zdrowia, zauważył, że pacjenci z otyłością często są dyskwalifikowani przy zabiegach chirurgicznych. Zdecydowanie dłużej przebywają na OIOM, a gojenie ran po takich zabiegach jest znacznie gorsze. Oznacza to wyższe koszty hospitalizacji. Tymczasem coraz lepsza farmakoterapia może być sposobem, by pacjenci szybko zmniejszyli masę ciała.

– Nowe leki mogą być niesamowitą pomocą dla pacjentów, którzy muszą mieć operacje bariatryczne, lecz są dyskwalifikowani przez swoją wagę. Jakość tych operacji byłaby zdecydowanie lepsza właśnie poprzez zmniejszenie masy ciała. Cały czas chodzi nam o wsparcie farmakoterapią pacjentów przed zabiegiem, żeby doszło do jak największej utraty wagi. To jest skuteczne pod każdym kątem klinicznym. Dostrzegamy tutaj wskazanie do farmakoterapii i warto się na tym pochylić – mówił Miłkowski.

Jak podkreślił, chodzi o wsparcie pacjentów chcących poddać się długoterminowej terapii, której efektem będzie utrata masy ciała i utrzymanie później tego stanu. Dodał, że pojawiają się nowe

eprasa.pl 4ee1868b88

leki, wykorzystywane w Polsce od prawie dwóch lat i mogące odegrać istotną rolę w walce z problemem otyłości. Ponadto zwrócił uwagę na wprowadzony program pilotażowy KOS-BAR (chirurgiczne leczenie otyłości).

– Dostrzegamy problem otyłości. Od dwóch lat prowadzimy program pilotażowy. Wcześniej był to produkt rozliczeniowy wykonywania zabiegów bariatrycznych, lecz przygotowaliśmy program kompleksowej opieki. To kwalifikacja do zabiegu, półroczne przygotowanie i później monitorowanie wsparcia pacjenta po zabiegu. Program pilotażowy jest realizowany i został wydłużony – podkreślał wiceminister zdrowia.

Zapowiedział także, że w najbliższym czasie dojdzie do rozmów z firmami i ekspertami o tym, jakie kroki można przedsięwziąć w przyszłym roku.

– Przypomnę, że mamy KOS-BAR, czyli ścieżkę operacyjną, mamy także ścieżkę farmakologiczną. Obecnie zależy nam na wypracowaniu możliwości na rok przyszły w zakresie leczenia otyłości. W przyszłym roku na pewno dojdzie do istotnych zmian – dodał Miłkowski.

LECZENIE OTYŁOŚCI TO SZANSA NA DŁUŻSZE ŻYCIE

Na otyłość i problemy związane z nią zwróciła także uwagę prof. dr hab. n. med. Brygida Kwiatkowska, konsultant krajowy w dziedzinie reumatologii. Jak mówiła, pacjent, który się nie rusza, tyje.

– Okazuje się, że 30 min szybkiego marszu dziennie, utrzymanie prawidłowej wagi ciała, niepalenie tytoniu i dieta śródziemnomorska redukuje o 40 proc. ryzyko rozwoju tej choroby (RZS). Wydaje się, że to banalne rzeczy, lecz dla pacjenta najtrudniejsze do wykonania – mówiła prof. Kwiatkowska.

Zwróciła uwagę, że otyłość w RZS zmniejsza efektywność leczenia. Również sam proces zapalny powoduje otyłość i ryzyko zespołu metabolicznego. W innych zapalnych chorobach reumatycznych jest podobnie.

– Chorzy gorzej odpowiadają na stosowane leczenie, więc nasila to proces, co w konsekwencji powoduje rozwój schorzeń współistniejących. To są naczynia połączone, wymagające działania w wielu dziedzinach – tłumaczyła.

Podkreśliła zdecydowanie, że wczesne rozpoznanie choroby i rozpoczęcie właściwego leczenia hamującego proces zapalny powoduje zmniejszanie ryzyka schorzeń współistniejących.

– W populacji ogólnej te schorzenia zaczynają się pojawiać w grupie 60–65+. U nas chorzy w wieku 40 lat mają cztery, pięć schorzeń współistniejących, więc jest to przesunięcie powodujące skrócenie życia. Bo chorzy umierają z powodu nadciśnienia, cukrzycy, powikłań sercowo-naczyniowych, ryzyka nowotworów i depresji. To są czynniki ewidentnie spowodowane przez RZS i inne zapalne choroby reumatyczne – dodała prof. Kwiatkowska.

O tym, że otyłości nie da się oddzielić od wspomnianych już chorób, mówił prof. dr hab. n. med. Wiesław Tarnowski ze szpitala im. W. Orłowskiego w Warszawie, zajmujący się chirurgią bariatryczną, m.in. w ramach programu KOS-BAR. Według niego są one integralnie związane z otyłością.

– Tak naprawdę to nie wiemy, ile jest osób otyłych w Polsce. Mniej więcej stanowią połowę populacji. I jest to wielki problem. Liczba osób mających wskazania do leczenia chirurgicznego, tych, których BMI wynosi powyżej 40, jest ok. 1 mln i są to osoby ze wskazaniem do leczenia chirurgicznego bez żadnych chorób towarzyszących. W zeszłym roku zoperowaliśmy 6 tys. pacjentów, czyli mniej niż 0,5 proc. potrzebujących. I tak naprawdę chirurgiczne leczenie otyłości jest najskuteczniejszym leczeniem. Wszystkie leki, o których tu była mowa... one są super, lecz to element pomocniczy, np. w przygotowaniu do operacji" – mówił prof. Tarnowski.

Dodał, że wspomniany program KOS-BAR jest programem na skalę światową.

– Wiem to, ponieważ mam okazję uczestniczyć w rozmaitych międzynarodowych gremiach związanych z otyłością i tam, gdzie przedstawiamy ten

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4ee1868b88

program, budzi on ogromne zainteresowanie, dlatego że nie ma na świecie takiego drugiego. Był on pilotażowy i, niestety, w tej chwili jego część chirurgiczna się kończy, bo możemy operować pacjentów tylko do końca tego roku. Nad czym ubolewamy, ponieważ ten program zmienił oblicze chirurgii bariatrycznej w Polsce i leczenia chirurgicznego otyłości – informował profesor.

Zauważył także, iż na podstawie dotychczasowych doświadczeń związanych z KOS-BAR warto pomyśleć o tym, by np. opracować pewną formę akredytacji dla poszczególnych ośrodków, co będzie gwarancją wysokiego poziomu opieki.

– Jeżeli człowieka się zoperuje, przestaje mieć nadciśnienie. Jest remisja cukrzycy, częściowa lub całkowita – to korzyść dla pacjenta. Zaburzenia gospodarki lipidowej ulegają wyrównaniu, ryzyko choroby nowotworowej znacznie się zmniejsza, bo są na to dowody. Są dane na to, że jeżeli człowiek zostanie odpowiednio wcześniej zoperowany, to tendencja do nowotworów ulega zmianie, czyli u tych ludzi, którzy byli otyli i zostali zoperowani, ryzyko raka spada – powiedział prof. Tarnowski.

Dr Jerzy Gryglewicz z Uczelni Łazarskiego, omawiając program KOS-BAR, zwrócił uwagę na unikatowy sposób finansowania. Jak zaznaczył, chodzi o płacenie za efekty leczenia oraz to, że program ten premiuje podejście kompleksowe.

– W programie KOS-BAR są monitorowane wskaźniki związane z opieką chirurgiczną, gdzie kwestia powikłań i kwestia efektów leczenia chirurgicznego jest dodatkowo premiowana. Ośrodki, w których występuje bardzo niski wskaźnik powikłań operacyjnych, otrzymują dodatkowe środki finansowe. Ten program premiuje także podejście kompleksowe. Leczymy nie tylko otyłość, lecz także wiele towarzyszących jej chorób, np. cukrzycę, astmę oskrzelową, bezdech senny. To świadczenie powinno być wzorem dla innych – dodał.

CUKRZYCA TO KOLEJNA CHOROBA CYWILIZACYJNA

Prof. dr hab. n. med. Maciej Małecki z Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierownik Katedry i Kliniki Chorób Metabolicznych CMUJ, ocenił, że cukrzyca spełnia definicję choroby cywilizacyjnej. W Polsce 3 mln osób leczy się z powodu cukrzycy, kilka milionów ma zaś stan przedcukrzycowy. Zdecydowana większość przypadków to cukrzyca typu 2.

– To ona wiąże się integralnie właśnie z rozwojem cywilizacji, otyłością, niezdrową dietą, brakiem ruchu. No i z procesem starzenia – na ten nie mamy wpływu – lecz przedłużony czas życia wynika z rozwoju postępu cywilizacji. Sądzę, że w gruncie rzeczy cukrzyca typu 1., której dynamiczny wzrost notujemy, też może być traktowane jak choroba cywilizacyjna. Przypomnę, a o tym się niewiele mówi, że obecnie Polacy sześcio-, siedmiokrotnie częściej zapadają na cukrzycę typu 1. niż 30–40 lat temu, czyli wtedy, kiedy zaczynała się transformacja, dynamiczne zmiany cywilizacyjne – powiedział prof. Małecki.

Jego zdaniem wszystkie te choroby cywilizacyjne, o których wspomniano w debacie, czyli i cukrzyca, i otyłość oraz schorzenia z kręgu reumatoidalnego, „odciskają się piętnem na zdrowiu publicznym, na zdrowiu Polaków".

– W efekcie Polacy żyją krócej i mniej komfortowo, niż miałoby to miejsce bez tych schorzeń cywilizacyjnych. Wspomnę, że jeżeli przeciętny pięćdziesięciolatek ma cukrzycę, to żyje on ok. sześć, siedem lat krócej niż jego rówieśnik bez cukrzycy. Jeśli pomnożymy to przez miliony istnień ludzkich, widzimy jak duży koszt ponosi nasze całe społeczeństwo. To jest koszt indywidualny i społeczny, a także wymierny koszt ekonomiczny – podkreślił.

Prof. Małecki zwrócił również uwagę, że tę dramatyczną sytuację mogą poprawić nowe technologie.

– Postęp w zakresie wyrobów medycznych, nowych leków, sposobów ich podawania, do nowoczesnego monitorowania cukrzycy przyczynia się do tego, że Polacy mogą żyć dłużej i lepiej. Dostępność nowoczesnych leków i technologii stosowanych w cukrzycy w naszym kraju stopniowo się poprawia. Tak jest m.in. dzięki dialogowi między ekspertami i ministerstwem zdrowia – powiedział prof. Małecki.

Wspomniał o najnowszych metodach monitorowania i leczenia, systemach ciągłego monitorowania glikemii.

– Dzięki zrozumieniu problemu ze strony decydentów już od prawie roku mamy bardzo szeroko dostępne w ramach refundacji systemy do ciągłego monitorowania glikemii, szczególnie metody skanowania. Najważniejsze jest to, że mają do nich dostęp nasi pacjenci. One są ciągle doskonalone, i to czasem bez dodatkowych nakładów finansowych dla płatnika. Od października wchodzi nowa, lepsza aplikacja systemu Libre 2, w zasadzie czyniąca go systemem realtime (czasu rzeczywistego) – bez dodatkowych inwestycji i dodatkowych kosztów ze strony budżetu państwa – zauważył prof. Małecki.

Jak mówiła prof. dr hab. n. med. Małgorzata Myśliwiec z Polskiego Towarzystwa Endokrynologii i Diabetologii Dziecięcej Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego i Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, chodzi o całkowite odejście od czasochłonnych, bolesnych i stygmatyzujących pomiarów glukometrem właśnie na rzecz systemów monitorowania w czasie rzeczywistym (CGM-RT), umożliwiających również połączenia z pompami insulinowymi.

– Osobiste pompy insulinowe zintegrowane z CGM-RT są droższe, lecz ich zastosowanie uwalnia pacjenta od kilkudziesięciu uciążliwych czynności związanych z leczeniem choroby, poprawia jakość jego życia, a przede wszystkim pozwala uzyskać poziomy glikemii jak u osoby zdrowiej bez większego udziału pacjenta. W Polsce ponad 2 tys. osób leczy się tym rodzajem pomp insulinowych, którzy uzyskują najlepszy poziom wyrównania metabolicznego cukrzycy na świecie na przestrzeni ostatnich trzech lat. Warto zatem zainwestować w najnowocześniejsze technologie i wprowadzić je do istniejącego już świadczenia odrębnie kontraktowanego – mówiła prof. Myśliwiec.

Wiceminister Miłkowski zapowiedział, że po wprowadzeniu w ub.r. monitorowania cukrzycy metodą skanowania, pojawił się kolejny taki produkt, który prawdopodobnie wykorzystamy w przyszłym roku.

eprasa.pl 4ee1868b88

– Na razie jest on jeszcze znacznie droższy od pasków, lecz na paski wydajemy – jako Ministerstwo Zdrowia – 0,5 mld zł rocznie. Od prawie dwóch lat ten koszt się nie zmienia. Coraz częściej przechodzimy na tę wspomnianą metodę monitorowania. Chodzi o to, by jak najwięcej pacjentów wykorzysujących pompę insulinową miało dostęp do najnowszego systemu. Przewiduje on stan pacjenta i dawkuje insulinę – podkreślił Miłkowski.

Dodał także, iż rozwiązanie to będzie można wykorzystać już w przyszłym roku dzięki uchwaleniu ustawy określającej, że jeśli koszt wyrobu medycznego jest w cenie świadczenia gwarantowanego, to minister zdrowia może wezwać firmę do negocjacji cenowych i można uzgodnić cenę maksymalną. – Wówczas również możliwe są do zastosowania inne elementy związane z instrumentami dzielenia ryzyka, mogące uzależniać cenę od efektywności danych produktów – wyjaśnił minister Miłkowski.

Prof. Małecki zaapelował o wprowadzenie refundacji pomp dla osób powyżej 26 roku życia, bo jest to dla pacjenta najdroższy komponent systemu pętli zamkniętej, o którym rozmawiano, a póki co powyżej tej granicy sprzęt ten nie jest refundowany.

– Potrzebujemy systemów do monitorowania glikemii i ogólnie są one coraz bardziej dostępne, potrzebujemy też pomp oraz spajającej to wszystko aplikacji, by dojść do takiego rozwiązania. To już nie jest science fiction. Pacjent z cukrzycą typu 1. tak naprawdę może się zdać na pewnego rodzaju system oparty na sztucznej inteligencji, podejmującej większość decyzji za niego – zapewniał prof. Małecki.

O korzyściach wprowadzenia tego systemu mówiła także prof. Myśliwiec. Podkreślała ona, że efektem upowszechnienia tak funkcjonujących zintegrowanych systemów jest wielowymiarowa oszczędność. – Spada liczba hospitalizacji z powodu ostrych powikłań, w tym hipoglikemii, w niedalekiej przyszłości obniży się również ilość wizyt ambulatoryjnych dzięki udostępnionym przez pacjenta aplikacjom zespołom diabetologicznym. Do poradni zapraszani będą tylko ci pacjenci, u których w dokumentacji elektronicznej będą widoczne wahania glikemii. U pacjentów bardzo dobrze wyrównanych metabolicznie dzięki nowoczesnym technologiom wizyty będą obywały się tylko raz w roku – mówiła profesor.

Wśród zagadnień związanych z cukrzycą poruszony został także temat cukrzycy ciążowej. Uwagę na ten problem zwróciła prof. dr hab. n. med. Dorota Bomba-Opoń, perinatolog, wskazująca ciążę jako ważny okres, wpływający na późniejsze zachowania dzieci, młodych ludzi i dorosłych.

– Niestety, okazuje się, że mamy bardzo dużo dzieci, nastolatków z otyłością, czy w przyszłości z cukrzycą typu 2., a jednym z głównych czynników są zaburzenia w środowisku, w którym rozwija się dziecko i cukrzyca ciążowa jest obecnie najczęstszym odpowiadającym za to powikłaniem. Widzimy ogromny wzrost liczby chorych na cukrzycę ciążową. W 2016 r. prowadziliśmy badania i okazało się, że było to poniżej 7 proc. Teraz dane z Narodowego Funduszu Zdrowia wskazują, że to jest nawet 12–16 proc., więc to się dzieje niesamowicie szybko. Jak patrzymy na wzrost otyłości, nadwagi u kobiet w wieku rozrodczym w najmłodszych grupach wiekowych, wynosi ona nawet 50 proc. w stosunku do ostatnich 10 lat – mówiła prof. Bomba-Opoń.

Dodała przy tym, że cukrzyca ciążowa jest diagnozowana między 24 a 28 tygodniem ciąży, czyli tuż przed tym, gdy dziecko rozwija się najbardziej dynamicznie. – W ok. 20 proc. przypadków diagnozujemy cukrzycę ciążową już w pierwszym trymestrze – zauważyła. Jako ryzyko wymieniła także późne zachodzenie w ciążę.

– Wiek i kolejna ciąża są czynnikami ryzyka zapadalności na cukrzycę. Największym oczywiście jest otyłość, lecz zarówno wiek oraz to, że kobiety później się decydują na macierzyństwo, i też przy kolejnych ciążach, to ryzyko zdecydowanie rośnie – tłumaczyła prof. Bomba-Opoń.

Prof. Myśliwiec przypomniała, że niemal 70 proc. dzieci powyżej 14 roku życia cierpi na nadwagę i otyłość. Mówiła, że jeżeli dziecko ma otyłość powyżej 14 roku życia, a na otyłość cierpi także jedno z rodziców, „to w 80 proc. będzie otyłe w dorosłym życiu".

– Otyłość kobiety w przebiegu ciąży programuje otyłość przyszłego dziecka i to już jest udowodnione – dodała prof. Myśliwiec.

KOMPLEKSOWE PODEJŚCIE ZMNIEJSZA KOSZTY

Wszyscy eksperci byli zgodni, że do zwalczania tych wspomnianych schorzeń powinno się podejść „wielodyscyplinarnie". Zacząć – jak mówiła prof. Bomba-Opoń – już od dzieci, nastolatków, „bo za chwilę te dziewczyny będą w ciąży, a już teraz bardzo wiele ciężarnych kobiet ma nadwagę i otyłość". Prof. Kwiatkowska oceniła, że to nie jest problem jednej specjalności: „W każdej dziedzinie medycyny trzeba zwracać uwagę na styl życia, otyłość, w każdej specjalności trzeba robić analizę i mówić o tych problemach. Jeżeli chodzi o dzieci, to trzeba zacząć już w przedszkolu oraz szkole. Żeby zajęcia z wychowania fizycznego nie były karą, tylko żeby ruch stał się formą relaksu. Dzieci siedzą przed komputerami, przed telefonami, nie ruszają się. To jest problem naprawdę wielodyscyplinarny". Według dr. Gryglewicza należy przeanalizować krajowe programy. Jak mówił, istnieje dużo czynników ryzyka, będących poważnym problemem: „Wśród nich oprócz palenia papierosów i nadużywania alkoholu jest właśnie otyłość, wysokie ciśnienie i cukrzyca. To jest pięć największych czynników ryzyka w tej pierwszej dziesiątce. Z obszaru reumatologii jest jeszcze osteoporoza".

Odpowiadając na postulaty ekspertów, wiceminister zdrowia wystąpił z inicjatywą opracowania wspólnego modelu uwzględniającego m.in. całkowity koszt leczenia pacjenta.

– W leczeniu cukrzycy typu 1. w poszczególnych grupach wiekowych warto uwzględnić systemy monitorowania i hospitalizacje oraz zaprojektować i sprawdzić klinicznie, co trzeba zrobić, aby po wprowadzeniu systemu wiedzieć, czy spełnił on pokładane w nim nadzieje – czy faktycznie przynosi pożądane efekty – powiedział Miłkowski.

Debatę moderował Bartosz Życiński, relację przygotował Robert Bombała

eprasa.pl 4ee1868b88

Wywiad z najlepszym żużlowcem świata Bartoszem Zmarzlikiem

Po prostu bardzo nie lubię przegrywać

Jak zostać mistrzem świata? Co sprawia, że spośród wielu adeptów sportu ten jeden staje się najlepszy i zgarnia najwięcej złotych medali? Czy mistrz cały czas ma w głowie te najwyższe cele, czy po prostu czerpie radość i satysfakcję z tego, co robi? Staraliśmy się odkryć tajemnicę sukcesów Bartosza Zmarzlika, jednej z największych gwiazd ORLEN Teamu i najwybitniejszego polskiego żużlowca w historii, który w wieku 28 lat ma już na koncie cztery tytuły indywidualnego mistrza świata

Jako ośmiolatek startował pan już w miniżużlu, a jak to się wszystko zaczęło? Co sprawiło i kiedy, że został pan żużlowcem? Czy da się uchwycić ten jeden, wyjątkowy moment, w którym zdecydowała się pana przyszłość?

Bartosz Zmarzlik: U nas w rodzinie zawsze były motocykle, dla najmłodszych np. motorynki, a my z bratem kochaliśmy na nich jeździć. Najpierw to był po prostu świetny sposób na spędzanie wolnego czasu w gronie innych dzieci, które też lubiły się ścigać. Jechaliśmy więc na tor, gdzie były treningi, a później ognisko, kiełbaski, sympatycznie spędzony czas w gronie rówieśników. Lecz podstawową sprawą było jednak to, że po prostu uwielbiałem jazdę motocyklem, nawet gdzieś po lasach, polnych drogach, dla czystego relaksu.

A dlaczego akurat żużel? Jeśli kocha się jazdę na motocyklu, są też inne propozycje, choćby motocross czy MotoGP.

Pierwszy w naszej rodzinie wypatrzyłem żużel. Strasznie mi się spodobało, że po pierwsze, są oczywiście motocykle, po drugie, ścigają się, a po trzecie, tak fajnie jeżdżą bokiem. W 2002 r. pierwszy raz byłem na meczu żużlowym na stadionie Stali w Gorzowie. To były piękne chwile. Cały czas fascynowało mnie to, jak oni jeżdżą bokiem, a poza tym siedziałeś sobie wygodnie, jadłeś słonecznik, dużo ludzi, świetna atmosfera, no i te motory...

A kiedy już zaczął pan trenować i trafił do szkółki żużlowej, czy przyszła refleksja – mam talent dużo większy niż przeciętnie? Wiem, że jest pan skromnym człowiekiem, ale czy zauważył pan, że przewyższa innych?

Trudno mi o tym mówić i naprawdę nie chciałbym niczego wymyślać na siłę, bo nie przypominam sobie żadnej takiej refleksji. Natomiast faktem jest, że nigdy nie lubiłem przegrywać, do dziś nie lubię. W dzieciństwie oczywiście inaczej reagowałem na porażki, bardziej emocjonalnie. Dziś doświadczenie robi swoje, ale naprawdę nie lubię przegrywać.

Czy rodzice od początku pana wspierali, czy jednak czuli lęk, gdy jako dziecko wsiadał pan na motocykl?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4ee1868b88

Nie myślałem o tym wtedy, a oni, nawet jeśli się obawiali, nie dawali mi tego odczuć. Byłem zafascynowany tym, co robię i zupełnie nie zaprzątałem sobie głowy, że rodzice mogliby się o mnie martwić. To dotarło do mnie dopiero gdy sam zostałem tatą. Łapię się na tym, że kiedy widzę, jak mój syn Antek wsiada na rowerek, to często mówię mu: „Pomału", „Uważaj". Więc ta obawa rodzicielska o dziecko dopadła mnie, ale już w innej roli.

Narzuca się więc pytanie, czy chciałby pan, aby syn poszedł w pana ślady i też został żużlowcem.

[Bartosz Zmarzlik znacząco się uśmiecha]. Zacznijmy od tego, że ja mu na pewno we wszystkim pomogę i będę wspierał na drodze życiowej, którą on sam sobie wybierze. Mam jednak świadomość, że z mojego powodu miałby bardzo ciężko jako żużlowiec. Z pewnością stale byłby ze mną porównywany. Ja miałem ten komfort, że zaczynałem od zera, niczego, bez żadnych obciążeń. Domyślam się, że gdyby on osiągnął tyle co ja, to zawsze ktoś by mówił, że może jest gorszy. Nie wiem. Obawiam się, że takie coś byłoby dla niego bardzo krzywdzące, dlatego niekoniecznie jestem entuzjastą tego, by Antek wybrał akurat żużel. Wolałbym, żeby pisał własną historię, bez porównywania do mnie.

Rzeczywiście, trudno byłoby komukolwiek panu dorównać, zwłaszcza po takim sezonie jak ten, w którym wygrał pan wszystko, zarówno w turniejach drużynowych – ligowych i reprezentacyjnych, jak i indywidualnych.

Nie wygrałem w tym roku Złotego Kasku.

Faktycznie, zajął pan tam wyjątkowo drugie miejsce. Ale jaki smak ma dla pana tegoroczne złoto indywidualnych mistrzostw świata? Po absurdalnej i niesportowej dyskwalifikacji w Vojens triumf w ostatniej eliminacji cyklu Grand Prix w Toruniu musiał mieć wyjątkowy smak.

Z pewnością to, co się stało w Vojens, niesamowicie zmobilizowało mnie na Toruń. Pierwszy raz czułem, że muszę coś udowodnić samemu sobie.

I dzięki temu mógł pan świętować czwarty tytuł mistrzowski przy pełnych trybunach na pięknym obiekcie w Polsce, a nie w małym duńskim Vojens, gdzie pewnie zostałby pan spokojnie mistrzem świata przy tak dużej przewadze.

Nie wiemy, co by było. Dziś mogę się cieszyć, ale przyznam, że jeszcze kilka dni przed Grand Prix w Toruniu byłbym dużo bardziej zachowawczy w ocenach tej sytuacji i wcale nie było mi z tym dobrze. Widocznie jednak musiało tak być.

Wielu kibiców emocjonuje fakt, że w klasyfikacji wszech czasów goni pan Tony'ego Rickardssona, ale gdy pytają pana o plany i cele, nie chce pan zdradzić, czy myśli o przegonieniu Szweda. Ja się tym pytaniom nie dziwię – bo mając takiego kozaka na żużlu jak pan, który w wieku 28 lat już jest czterokrotnym mistrzem świata, są one uprawnione. Jak więc z pańskimi planami i ambicjami?

Po pierwsze, kozaki to są zimą na nogach [śmiech]. Po drugie, moje najbliższe cele to spędzić trochę czasu w domu z rodziną. Co do reszty – chcę się po prostu dalej cieszyć tym, co robię i czerpać z tego jak najwięcej satysfakcji. Nadal cieszy mnie jazda motocyklem, często staram się sobie po prostu pojeździć dla przyjemności. A gdy startuję, to nie lubię przegrywać.

Powszechnie wiadomo, że pana żużlowym idolem był Tomasz Gollob, którego talent był, niestety, zbyt często równoważony przez pecha, co skutkowało tym, że tylko raz był mistrzem świata, dużo poniżej jego możliwości. Golloba nie omijały wypadki. Czy dziś żużel jest trochę bezpieczniejszy? Czy zawodnicy bardziej uważają na siebie na torze?

Z pewnością w żużlu dużo się robi w sprawie bezpieczeństwa, są przecież wszechobecne dmuchane bandy, a zawodnicy potrafią coraz więcej i jeżdżą coraz lepiej. Jednocześnie motocykle także są coraz szybsze, co sprawia, że to wszystko nieco się równoważy. Gdy stajesz na starcie, zupełnie nie myślisz o ryzyku, bo gdy zaczynasz się bać, automatycznie przyjeżdżasz czwarty.

A jaka jest rola kibiców w żużlu? Czy oni niosą do zwycięstw? Czy ich doping ma jakiś wpływ, gdy najgłośniejsze na stadionie i tak są motory?

Czuję wsparcie kibiców i są oni dla mnie dodatkowym silnikiem w zawodach. Z pewnością przez nich gdzieś głęboko jest też nieco więcej stresu, bo nie chcesz ich zawieść, ale jestem bardzo wdzięczny i bardzo dziękuję wszystkim wspierającym mnie kibicom. No i zapraszam na stadiony. Jeśli ktoś jeszcze nie widział meczu żużlowego na żywo, niech koniecznie się wybierze. Mamy w Polsce najlepszą ligę świata, najpiękniejsze obiekty, największy profesjonalizm, naprawdę warto zobaczyć to wszystko na własne oczy.

Rozmawiał ***Bartosz Życiński***

Król żużla Bartosz Zmarzlik

Najbardziej utytułowany i najwybitniejszy polski żużlowiec w historii, jeden z najlepszych żużlowców wszech czasów na świecie. W wieku 28 lat jest już czterokrotnym zwycięzcą indywidualnych mistrzostw świata, a także multimedalistą, wielokrotnym mistrzem Polski, drużynowym mistrzem świata – nie wystarczy miejsca, by wymienić wszystkie tytuły zdobywane przez Zmarzlika. Jego starszy brat Paweł także zapowiadał się na znakomitego żużlowca, ale po ciężkiej kontuzji w wieku 21 lat zrezygnował z dalszej kariery i dołączył do sztabu swojego brata. W tegorocznym sezonie Bartosz Zmarzlik został bohaterem wielkiego skandalu, gdy wykluczono go z przedostatniej eliminacji cyklu Grand Prix w duńskim Vojens za to, że na treningu przed zawodami pojechał w swoim indywidualnym kombinezonie. Z powodu tej decyzji w klasyfikacji generalnej Polak stracił wiele punktów przewagi nad drugim w tabeli Szwedem Fredrikiem Lindgrenem. Poddany wielkiej presji Zmarzlik wygrał ostatnie zawody cyklu GP w Toruniu, udowadniając, że aktualnie nikt nie może się z nim równać na światowych torach. Polscy kibice emocjonują się tym, że nasz zawodnik ma jeszcze mnóstwo czasu, by przegonić w liczbie zdobytych tytułów mistrzowskich Szweda Tony'ego Rickardssona i nieżyjącego już legendarnego Nowozelandczyka Ivana Maugera – zdobyli oni po sześć złotych medali indywidualnych mistrzostw świata. Bartosz Zmarzlik konsekwentnie nie chce zdradzić, czy w ogóle zaprząta sobie głowę takim pościgiem.

PARTNER DODATKU

ORLEN

Artykuł sponsorowany | 54/0923/F

eprasa.pl 4ee1868b88

80. ORLEN Rajd Polski

Rajdowa elita świata wraca na Mazury

Od kilku dni wiadomo już, gdzie wszyscy fani sportów motorowych rozpoczną przyszłoroczne wakacje. Jubileuszowa, 80. edycja ORLEN Rajdu Polski, która odbędzie się 27–30 czerwca 2024 na mazurskich szutrach, wraca do kalendarza rajdowych mistrzostw świata (WRC)

Fot. Marcin Rybak

Osobom nieinteresującym się na co dzień sportami motorowymi warto wyjaśnić, że WRC to rajdowy odpowiednik Formuły 1, najważniejszy światowy cykl w świecie rajdów samochodowych, gromadzący największą widownię na świecie, liczoną w setkach milionów kibiców. To najbardziej prestiżowe zmagania samochodów rajdowych, wymagające najwyższego poziomu organizacyjnego, a to udało się zagwarantować dzięki wzorowej współpracy trzech podmiotów i środowisk w Polsce. Mowa o ORLENIE, Polskim Związku Motorowym i samorządzie Mikołajek. Prezes Zarządu ORLEN S.A. Daniel Obajtek, prezes PZM Michał Sikora oraz burmistrz Mikołajek Piotr Jakubowski bardzo szybko wspólnie ustalili, że idea powrotu Rajdu Polski do kalendarza mistrzostw świata jest warta realizacji. Te aspiracje można było zrealizować dzięki przychylności multienergetycznego koncernu. W rundzie rangi mistrzostw świata nie mogło zabraknąć marki ORLEN, która sporty motorowe ma w swoim DNA. Jest to szczególnie istotne w sytuacji ekspansji firmy na rynkach zagranicznych.

– Prawie połowa naszych przychodów pochodzi z zagranicy, dlatego konsekwentnie angażujemy się w projekty motorsportowe, które gwarantują nam dotarcie do milionów kibiców, efektywnie wzmacniają globalną rozpoznawalność marki ORLEN i przez to wspierają biznes. Od pięciu lat jesteśmy obecni w padoku Formuły 1. Współpracujemy z mistrzami motorsportu z Robertem Kubicą i Bartoszem Zmarzlikiem na czele. ORLEN 80. Rajd Polski w kalendarzu mistrzostw świata to nie tylko gwarancja promocji marki w kraju, lecz także skuteczne narzędzie do budowy rozpoznawalności na rynkach zagranicznych – wyjaśnia Daniel Obajtek, prezes zarządu ORLEN S.A., któremu osobiście bardzo spodobała się idea przywrócenia Rajdu Polski do kalendarza WRC.

Rajd Polski to jedno z najbardziej prestiżowych wydarzeń sportowych w naszym kraju. Pierwsza edycja miała miejsce w 1921 r., co czyni go drugą najstarszą, po Rajdzie Monte Carlo, imprezą rajdową na świecie. W ostatnich latach Rajd Polski był częścią mistrzostw Europy. Teraz, m.in. dzięki wsparciu ORLEN, impreza wraca do kalendarza WRC.

Wielkim entuzjastą i orędownikiem podniesienia rangi rajdu jest burmistrz Mikołajek Piotr Jakubowski

– Nawet gdy rajd miał rangę mistrzostw Europy czy jedynie mistrzostw Polski, zawsze staraliśmy się zachować najwyższe standardy i nie schodzić poniżej wysokiego poziomu organizacji. Natomiast jest

Artykuł sponsorowany | 43/0223/F

eprasa.pl 4ee1868b88

zasadnicza różnica między rajdem WRC a europejskim. Zjedzie do nas o wiele więcej gości, kibiców. W transmisję rajdu będą zaangażowane helikoptery. To wielkie wyzwanie logistyczne i organizacyjne, ale poradzimy sobie z nim. To ogromna promocja Mikołajek i naszego regionu, która zawsze przekłada się na wysokie zainteresowanie turystów. Naprawdę warto organizować taką imprezę – mówi burmistrz Piotr Jakubowski, który już dziś jest pewien, że jak zwykle w czasie rajdu cała baza noclegowa w jego mieście i okolicach zostanie wykorzystana.

Wielka szansa promocyjna dla ORLENU, a także wymierne korzyści dla całego regionu mazurskiego opierają się, jak już wspomnieliśmy, na wyjątkowej popularności serii WRC wśród kibiców. Aspekt sportowy będzie więc niezwykle istotny, a na słynnych mazurskich szutrach zobaczymy elitę rajdowych kierowców świata.

– Naszym celem zawsze był powrót Rajdu Polski do cyklu mistrzostw świata. Jest dla nas powodem do radości i dumy, że starania Polskiego Związku Motorowego powiodły się dzięki organizacji rajdu na najwyższym poziomie, potwierdzonej w raportach FIA, a także bardzo dobrej współpracy z ORLEN S.A., naszym sponsorem tytularnym i niezawodnym, wieloletnim partnerem. Zawsze możemy również liczyć na nieocenioną pomoc ze strony Mikołajek, które goszczą rajd już od 2006 r. i pokazują wyjątkowe umiejętności przy organizacji wielkich imprez sportowych. Awans rajdu do cyklu WRC to z pewnością spełnienie marzeń kibiców, którzy jak zawsze zapełnią przygotowane dla nich bezpieczne strefy do podziwiania nieprzeciętnych umiejętności takich gwiazd, jak Kalle Rovanperä, Sébastien Ogier, Ott Tänak, Thierry Neuville czy Elfyn Evans, ale również polskiej rajdowej czołówki. Trwają już intensywne prace nad 80., jubileuszową edycją rajdu, który dla wszystkich będzie wyjątkowym wydarzeniem sportowym – podkreśla Michał Sikora, prezes Polskiego Związku Motorowego.

W czasie rajdu ORLEN będzie obecny nie tylko jako jego sponsor tytularny, ale także na trasie w osobach załóg, wchodzących w skład ORLEN Teamu. Mowa o trzykrotnym zwycięzcy Rajdu Polski Kajetanie Kajetanowiczu i jego pilocie Macieju Szczapaniaku oraz najmłodszym w historii rajdowym mistrzu Polski Mikołaju „Miko" Marczyku i jego pilocie Szymonie Gospodarczyku. Kierowcy ORLEN Teamu podkreślają, że wszyscy zawodnicy bardzo lubią przyjeżdżać do Polski i podejmować rywalizację na mazurskich szutrach.

– Rajd Polski jest bardzo bliski mojemu sercu, to też kawał historii polskiego motorsportu. Każdy start w tych zawodach wspominam z uśmiechem na twarzy, bo z każdego z nich wyniosłem cenne doświadczenie. Pierwsza wygrana w 2010 r. smakowała fantastycznie, powtórzenie sukcesu rok później jeszcze dodało mi skrzydeł. Przełomowy był dla mnie 2013 r. Wygraliśmy wtedy Rajd Polski po raz trzeci, rywalizując z bardzo liczną konkurencją w ekstremalnych warunkach pogodowych, do tego po raz pierwszy jechałem autem klasy R5. Ten sezon zakończyłem po raz czwarty z rzędu jako mistrz Polski. Zawsze miałem wielką przyjemność z jazdy po szybkich, mazurskich szutrach. Ogromnie cieszę się, że Rajd Polski wraca do kalendarza rajdowych mistrzostw świata. Jestem pewien, że będzie to niezwykle widowiskowa runda WRC, a polscy kibice pokażą, jak wygląda najlepszy na świecie doping – mówi Kajetan Kajetanowicz.

– Powrót Rajdu Polski do kalendarza mistrzostw świata to wspaniała chwila. Od kiedy pamiętam, była to impreza międzynarodowa, natomiast w ostatnich latach należała do cyklu mistrzostw Europy. Bardzo się cieszę, że na tym etapie mojego rozwoju i naszej drogi sportowej z Szymonem Rajd Polski powraca do najwyżej rangi – rajdowych mistrzostw świata WRC. To impreza uwielbiana przez wszystkich kierowców i kibiców oraz wspaniała promocja regionu i całego kraju. Mamy świetne szutrowe trasy i organizatorów gotowych na podjęcie tego wyzwania. Cieszę się, że w przyszłym roku na Mazurach będziemy dumnie reprezentować Polskę oraz ORLEN Team. Ostatnie trzy edycje Rajdu Polski były bardzo udane dla naszego zespołu – wszystkie ukończyliśmy na podium, a w 2022 r. wygraliśmy rajd w klasyfikacji generalnej. W przyszłym roku także mamy zamiar pokazać się od jak najlepszej strony wśród najlepszych kierowców świata – dodaje Miko Marczyk.

Z powrotu 80. ORLEN Rajdu Polski cieszy się Robert Kubica, obecnie startujący w długodystansowych mistrzostwach świata.

– ORLEN Rajd Polski wraca do kalendarza mistrzostw świata. Myślę, że jest to informacja, na którą czekał każdy fan rajdowy w Polsce i nie tylko. Po raz kolejny czołowi kierowcy mistrzostw świata zaprezentują swoje umiejętności na trasach wokół Mikołajek, które bardzo lubiłem w czasach, gdy sam startowałem. Jest tu świetna atmosfera. Polscy kibice są niesamowici. Dlatego nie mogę się już doczekać tej imprezy. Pokażmy, że zasługuje ona na to, by gościć w kalendarzu WRC. Będziemy oczywiście trzymać kciuki za załogi reprezentujące ORLEN Team. Zapraszam wszystkich na odcinki specjalne wokół Mikołajek. Do zobaczenia – przekazał Robert Kubica.

Ogłoszenie przez Światową Radę Sportu Motorowego FIA (FIA WMSC) przyszłorocznego kalendarza mistrzowskiego cyklu z rundą w Polsce przygotowanego przez promotora WRC, spodziewane jest 19 października 2023 r.

Fot. Materiały prasowe

PARTNER DODATKU

eprasa.pl 4ee1868b88

BEATA ŚNIECHOWSKA*

Oda do pomidora

„Miłość do pomidorów w najprostszej formie pojawiła się u mnie już w dzieciństwie. Było to uczucie szczere i od pierwszego wejrzenia (czy raczej: wgryzienia)" – deklaruje Beata Śniechowska we wstępie do książki „Pomidor. Przepisy na każdą porę roku" (wyd. Znak). „Pomidory rosły u babci w ogrodzie. Ciekawiły mnie ich różne odmiany, kształty i kolory. Lubiłam szybko wpaść pod folię i złapać w locie dojrzałego, ciężkiego pomidora. Było tam duszno i parno; gdy zrywałam najlepsze okazy, pękała im skórka, a sok ciekł mi po łokciach".

Mijały lata, a jej miłość do pomidorów nie mijała. Chociaż gdy dorosła, im więcej podróżowała i gotowała, tym liczniejsze i ciekawsze oblicza odkrywał przed nią pomidor.

– Jego obecność była inspirująca i kręcąca – zapewnia Śniechowska, dziś licząca się szefowa kuchni, wcześniej zwyciężczyni II edycji programu MasterChef. – Zaczęłam jadać coraz bardziej wyrafinowane formy pomidorów: smażone, fermentowane, suszone czy konfitowane. Gdzieś tam puder z pomidorów, woda pomidorowa, tatar, lody, sorbety, a nawet słodkie żelki. WOW!

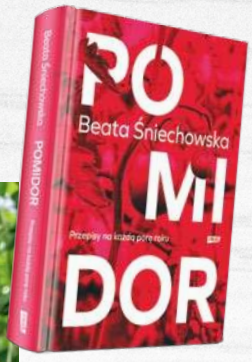

Pomidor, jej zdaniem, „odmienia się przez wszystkie przypadki". Można go jeść na surowo, gotować, dusić, konfitować, wędzić, smażyć i grillować. Spożywać zarówno w sierpniu, gdy jest wygrzany na słońcu, jak i w grudniu, w sosie pomidorowym.

Książkę, którą oddaje czytelnikom, nazywa „odą do pomidora". Pokazuje w niej, jak bardzo wielowymiarowy bywa pomidor i proponuje spojrzenie na „głównego bohatera" pod wieloma kątami. Zarówno w części poświęconej jego walorom, jak i w dziale wypełnionym przepisami (także na dania wegańskie i wegetariańskie oraz z dodatkiem ryb lub owoców morza), którym towarzyszą wstępy, komentarze i kulinarne sugestie autorki.

Czytelnik dostaje smakowe połączenia inspirowane światowymi klasykami (m.in. panzanellą, som tum czy sałatką grecką), ale autorsko zinterpretowane lub samodzielnie skomponowane (jak w podanej obok kulinarnej wariacji na temat szakszuki). Obok zup na różne pory roku i dnia osobno znalazła się obszerna baza pomysłów na bardziej konkretne obiady oraz kolacje. Od pizzy fritta przez pasty, kopytka po pieczone pomidory. Nie mogło też zabraknąć propozycji na przetwory, a wisienką na torcie są propozycje koktajli.

W książce zostały też ukryte niespodzianki – oprócz słownych zabaw Michała Rusinka, ponoć wielkiego smakosza pomidorów, są także inspirowane tymi warzywami wypowiedzi znanych osób.

Jolanta Gajda-Zadworna

** Szefowa kuchni, zwyciężczyni II edycji programu MasterChef*

Fot. Materiały prasowe

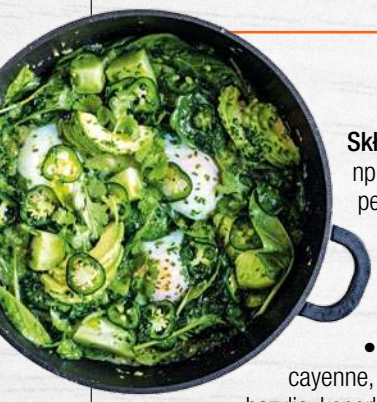

Zielona szakszuka

Składniki na cztery porcje: • 400 g pomidorów, najlepiej zielonych, np. green zebra, absinthe, malachitowa szkatułka, cherokee green pear, 41 summer of love czy innych, sparzonych, obranych ze skórki (możesz użyć też pomidorów malinowych lub żółtych) • 4 jajka, „zerówki" • 1 dojrzałe awokado, np. hass • 2 zielone papryki • ½ papryczki chili jalapeño, pokrojonej w plastry • 50 g szpinaku • 1 cebula, pokrojona w piórka • 2 ząbki czosnku, posiekane • do smaku: sól, pieprz • po ⅓ łyżeczki: nasion kolendry, pieprzu cayenne, kuminu • świeża kolendra (można zastąpić natką pietruszki, bazylią, koperkiem) • ½ limonki • oliwa extra virgin lub olej do smażenia

Do podania: • ulubione pieczywo • ¼ limonki

Przygotowanie: papryki umyj, rozkrój, usuń gniazda nasienne, a następnie pokrój w cienkie paski. Obrane ze skórki pomidory pokrój w kostkę. Na patelni rozgrzej oliwę, dodaj nasiona kolendry, pieprz cayenne, kumin, cebulę oraz paprykę. Podsmażaj, aż cebula się zeszkli. Następnie dodaj czosnek, pokrojone pomidory, duś razem ok. 7–8 minut, aż woda odparuje i powstanie gęstszy sos. Całość dopraw solą oraz pieprzem. Dodaj szpinak, zrób cztery wgłębienia w sosie. Do każdego otworu wbij jajko, przykryj patelnię pokrywką i duś jajka w pomidorach tylko do momentu, aż białka się zetną, ale żółtka będą jeszcze płynne. W międzyczasie rozkrój awokado, usuń pestkę, wyjmij miąższ za pomocą łyżki. Awokado pokrój w plasterki, skrop sokiem z limonki. Gotową szakszukę posyp kolendrą oraz chili jalapeño. Obok jajek wyłóż awokado. Całość można skropić oliwą, podawać z kawałkiem limonki i pieczywem.

eprasa.pl 4ee1868b88

SŁODKO-SŁONY

Roladka z katanią

ANNA MONICKA

Sezon na węgierki już niby miał się skończyć, dwa tygodnie temu były tak dojrzałe, że nadawały się tylko na powidła, a tu nagle moja zaprzyjaźniona rolniczka przywiozła na targ całą skrzynię twardych i jędrnych śliwek. Zobaczyła, że oczy mi się do nich zaświeciły, więc zaraz zagaiła: „A jak je pani robi? – W tym roku głównie dżemy z miodem, kompoty, czekośliwkę, czyli rewelacyjny mus przesmażony z gorzką czekoladą, kwaskowate sosy do mięsa. – A zna pani przepis na polędwiczki wieprzowe ze śliwkami? Nie? To niech pani koniecznie wypróbuje. Rodzina będzie się zajadać".

Patent jest rzeczywiście świetny – połówki śliwek trzeba podsmażyć na oliwie lub maśle z czosnkiem, ułożone miąższem do dołu, odrobinę oprószone solą i majerankiem. Delikatnie, żeby się nie rozleciały. W tym czasie polędwiczkę kroimy na grube plastry, które nacinamy na pół i rozbijamy tłuczkiem, żeby powstały paski 10 x 3 cm, odrobinę je solimy, a potem owijamy nimi połówki śliwek. To nie koniec – obtaczamy roladki w ziołach, najlepiej majeranku lub oregano, i owijamy plastrem wędzonki, boczku albo jakiejś szynki dojrzewającej. Obsmażamy na patelni, układamy w żaroodpornym naczyniu i zapiekamy z pół godziny w dobrze nagrzanym piekarniku. Wychodzą świetne. Można je podawać tylko z sałatami albo z kaszą gryczaną.

Nie miałyśmy za wiele czasu na rozmowy – jak zwykle przy jej stoisku zebrało się dużo amatorów jabłek, bo rzeczywiście ma je doskonałe. Przywozi także własne ziemniaki. I nie są to irgi czy irysy, ale mało popularna u nas odmiana katania. To jest moje kolejne tegoroczne odkrycie. Żółte, przepyszne, aksamitne po ugotowaniu bulwy. Zwięzłe, mało wodniste, skrobiowe, ale nie rozpadają się w gotowaniu, są doskonałe na placki, kluski, frytki, sałatki. W ubiegłym roku kupiłam worek denarów, w tym postanowiłam skusić się na katanię, bo podobno lepiej zimuje, a rolnicy chwalą tę odmianę także za to, że jest odporna na choroby.

W domu zrobiłam eksperyment – na obiad roladka z polędwiczki, ziemniaki z masłem, koprem i kefirem. Córka, zawsze wybierająca makaron, tym razem zwęszyła inny smakołyk. Zjadłyśmy razem cały gar. Już widzę, że jeden worek katanii na zimę na pewno nie wystarczy.

Fot. Shutterstock

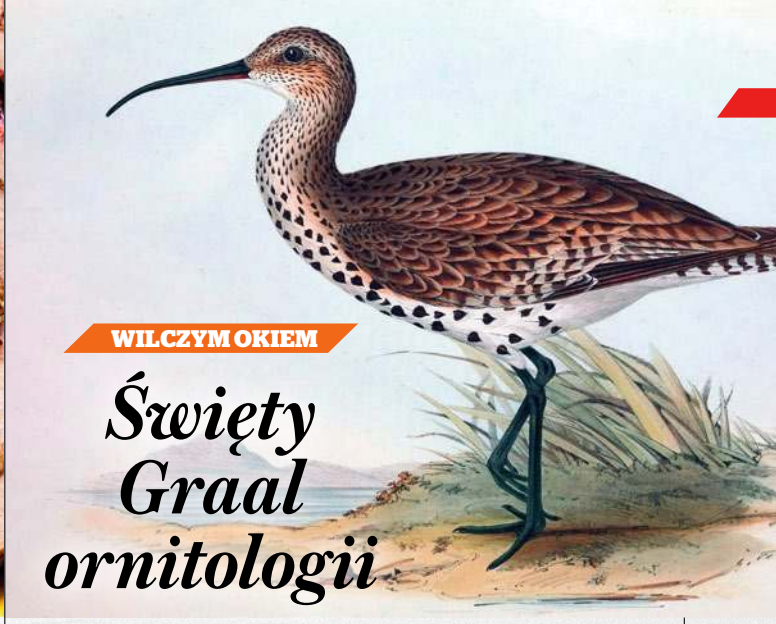

WILCZYM OKIEM

Święty Graal ornitologii

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Większość gatunków ptaków, które wymarły w czasach historycznych, to endemity, ograniczone do jednej wyspy, archipelagu, łańcucha górskiego czy jeziora, jak w przypadku perkozka gwatemalskiego, występującego tylko na jeziorze Atitlán.

Gatunki ptaków, które wymarły w Europie w czasach historycznych, są na szczęście bardzo nieliczne. Klasyczny przykład to alka olbrzymia (*Pinguinus impennis*). Była ona wielkim jak gęś, czarnobiałym nielotem o zredukowanych skrzydłach, żyjącym na atlantyckich wysepkach. To od jej łacińskiej nazwy wzięły swoją nazwę później poznane pingwiny – podobne, lecz niespokrewnione. Alki zostały wytępione – duże, smaczne nieloty były atrakcyjną zdobyczą dla załóg statków.

Znacznie bardziej tajemniczy jest kulik cienkodzioby (*Numenius tenuirostris*). W zasadzie na naszym kontynencie widywano go tylko podczas przelotów. Jeszcze do XIX w. były to wielkie stada, które leciały na zimowiska do Afryki Północnej. Później wracały. Dokąd? Dopiero w XX w. udało się ustalić, że kulik cienkodzioby gnieździł się na Syberii (chociaż znalezione gniazda można policzyć niemal na palcach jednej ręki; do dziś o jego lęgowiskach mówi się z dużą ostrożnością). Nie do końca też wiadomo, dlaczego z wielkich stad w ciągu kilkudziesięciu lat zostały małe grupki, a w końcu pojedyncze ptaki.

Czy ostatniego kulika cienkodziobego zaobserwowano pod koniec XX w., czy też widziane jeszcze kilka razy później kuliki należały do tego gatunku? Nie jest to pewne. W każdym razie nie zaliczono go jeszcze oficjalnie do wymarłych, choć wszystko na to wskazuje (wciąż widnieje w rozporządzeniu ministra środowiska z 16 grudnia 2016 r. w sprawie ochrony gatunkowej zwierząt).

Czy jeszcze kiedyś odnajdziemy kuliki cienkodziobe? Cóż, warto obserwować każdego ptaka o charakterystycznej długonogiej, kulikowatej sylwetce, nakrapianej piersi i lekko zagiętym w dół dziobie, zwłaszcza teraz, podczas przelotów. W ten sposób 300 lat po uznaniu za wymarłego ponownie został znaleziony petrel bermudzki.

Kto wie, może gdzieś na dalekich stepach żyje jeszcze grupa kulików cienkodziobych, unikających oczu ornitologów, wmieszanych podczas wędrówek w inne gatunki?

eprasa.pl 4ee1868b88

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Niemiecko-francuskie superpaństwo

www.wojciechreszczynski.pl

Zajęci wyborami parlamentarnymi, tym najważniejszym dla losów Polski wydarzeniem politycznym, jakie mamy co cztery lata, nie zauważyliśmy przyspieszonego tempa budowy superpaństwa europejskiego pod niemiecko-francuską dominacją. Nad zmianami traktatów UE od wielu miesięcy wytrwale pracowała komisja konstytucyjna PE. Pięć frakcji lewicowo-centrowych ma już gotowy projekt 267 zmian w traktatach: o Unii Europejskiej i funkcjonowaniu Unii Europejskiej. Głosowanie raportu na forum komisji konstytucyjnej zaplanowano na 12 października. Nie znam końcowego wyniku, ale mogę się założyć, że propozycje aż 267 zmian w obu traktatach zostaną przyjęte. Tak też uważa eurodeputowany PiS Jacek Saryusz-Wolski, który odmówił poparcia sprawozdania końcowego. To „wzmożenie prawodawcze" socjalistycznych i liberalnych elit UE tuż przed naszymi wyborami nie jest oczywiście przypadkowe, tak jak nieprzypadkowe było przyjęcie tzw. paktu azylowo-emigracyjnego. Zakłada on system „obowiązkowej solidarności", czyli obowiązek przyjmowania imigrantów albo zapłatę kary w wysokości 20 tys. euro za każdą nieprzyjętą osobę. Tylko Polska i Węgry głosowały przeciw, Słowacja, Czechy oraz Austria wstrzymały się od głosu. Oznacza to, że pakt ten po dalszych uzgodnieniach zostanie przyjęty.

Wspomniane zmiany wywracają postanowienia traktatów, na podstawie których wstępowaliśmy do UE.

Zatem koniec z jednomyślnością w sprawach polityki zagranicznej, obronnej, zdrowia, podatków. Koniec z prawem weta. Ma obowiązywać zasada głosowania większością kwalifikowaną, która daje Niemcom i Francji zielone światło do wielu podstawowych zmian w funkcjonowaniu UE. Koniec zatem z prawem państw narodowych do tworzenia własnej suwerennej polityki, a więc koniec demokracji w UE. Decydować będzie prawo silniejszego. Zwycięża ideologiczna koncepcja włoskiego komunisty Altiero Spinellego, pomysłodawcy jednego europejskiego państwa z własną polityką zagraniczną, własnym wojskiem, wspólnym budżetem i walutą. Ma zwyciężyć oligarchiczno-centralistyczne superpaństwo kierowane przez Niemcy i Francję. Być może do tej trójki dołączą Włochy, dziś usilnie „trenowane" przez Niemcy polityką emigracyjną. Przegrywają fundatorzy UE, charyzmatyczni Robert Schuman, Alcide de Gasperii, a nawet Konrad Adenauer, ludzie, którzy dla wielu Polaków byli wiarygodną inspiracją do wstąpienia do Unii. Ci prawdziwi założyciele UE, tak jak Polacy, widzieli wspólną Europę budowaną na chrześcijańskich korzeniach, opartą na związku suwerennych państw narodowych.

Dlatego warto powrócić do lat, dających nam wiele do myślenia. Do faktów z czasów wojny, ujętych w unikatowej książce Wacława Jastrzębowskiego pt. „Gospodarka niemiecka w Polsce – 1939–1944". To w niej szczegółowo opisano niemieckie plany organizacji Europy. Odrzucając obowiązujący w tamtych czasach aksjomat „woli Führera", można się cofnąć do niemieckiej, przedhitlerowskiej zasady „państwa praworządnego" (Rechtsstaat). Sprowadzała się ona do centralnego planowania i kontrolowania wszelkich przejawów życia gospodarczego oraz społecznego na terenach opanowanych przez Niemcy. Już w 1942 r. Niemcy zamierzały uczynić z Europy kontynentalnej jeden wielki obszar gospodarczy – „Grosswirtschaftsraum", silnie związany wewnętrznie poprzez podział pracy pomiędzy poszczególnymi regionami, według jednego centralnego planu, występujący jako jednolita całość wobec innych obszarów gospodarczych. Obszar ten nie był wówczas jeszcze ściśle określony, trwała wojna, ale przewidywano „obszar gospodarczy rosyjski", jak teraz „ukraiński obszar gospodarczy". Potwierdziła to na swój sposób szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, komunikując władzom w Kijowie o pozytywnej opinii Komisji Europejskiej w sprawie statusu kandydata do UE. Nie powstrzymała się przy tym od wizji przyszłej Unii Europejskiej – „od Lizbony do Ukrainy".

W niemieckich planach tamtych lat był też gospodarczy obszar europejsko-afrykański. Zarezerwowano go dla Włoch. Co ciekawe, według III Rzeszy Niemieckiej Anglia nie wchodziła do obszaru europejskiego, przeciwnie – nazywano ją „czynnikiem destrukcyjnym". Nic dziwnego, że Anglia wyszła z UE. Ale planowano, że w przyszłości (po militarnym zwycięstwie) wejdzie w skład niemieckiego obszaru europejskiego, „uzupełniając przemysł niemiecki pod warunkiem zrzeczenia się na rzecz Niemiec roli ośrodka dyspozycji finansowej i handlowej". Podbita Francja nie stanowiła dla Niemiec żadnego problemu jako „romańsko-germański obszar kolonialny", ściśle współpracujący z „germańsko-romańskim obszarem kolonialnym". Tamten projekt polegał na tym, że główna potęga polityczna, czyli Niemcy, kieruje działalnością gospodarczą innych obszarów. Takie były niemieckie plany. Cała Europa całkowicie podporządkowana niemieckim interesom.

Czy Polska nadal będzie chciała być w niemiecko-francuskiej Unii Europejskiej?

Autopromocja

eprasa.pl 4ee1868b88

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI | wSIECI HISTORII

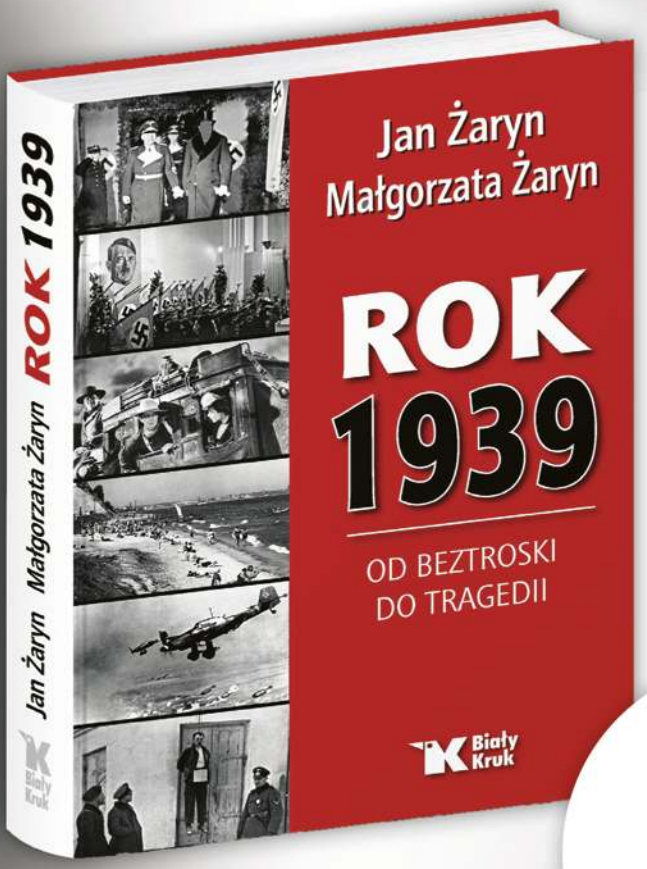

Dla Polski rok 1939 był przedziwny. Naznaczony przez tragedię wybuchu II wojny światowej, a wcześniej pełen pozytywnych wydarzeń wpływających na dynamiczny rozwój II RP.

Jan i Małgorzata Żarynowie w wartkiej literackiej narracji rekonstruują tamten czas, pozwalając czytelnikom zrozumieć kontekst epoki, w której Polska odegrała główną rolę.

312 STR. | HISTORYCZNY BESTSELLER | BOGATE ILUSTRACJE | TWARDA OPRAWA

125 książek w prezencie

Książkę **„Rok 1939. Od beztroski do tragedii"** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **295 zł**.

Zamów już dziś na: **www.sieciprawdy.pl/prenumerata**

Masz już wykupioną prenumeratę, a chcesz otrzymać tę książkę w prezencie?
Zamów kolejną prenumeratę pakietu Sieci + wSieci Historii na 12 miesięcy.
Uruchomimy ją, gdy skończy się Twoja obecna prenumerata, a książkę wyślemy już teraz.

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 4ee1868b88

Lwowski wysłannik Chopina

Adam Ciesielski

„Geniusz Lwowa. Lwów jako ośrodek sztuki i jego kolekcje artystyczne" to tytuł wystawy, jaką do 14 stycznia 2024 r. można oglądać na Zamku Królewskim w Warszawie. Artystyczna wyjątkowość Lwowa manifestuje się wszakże nie tylko w malarstwie czy rzeźbie, lecz także w muzyce.

Jedno z czołowych miejsc na długiej liście wybitnych muzyków związanych z tym miastem zajmuje Karol Mikuli (1819–1897), paryski uczeń Chopina i nieoceniony propagator jego dzieł w Europie, także koncertujący pianista i kompozytor.

Pochodzący z rodziny polskich Ormian, studiował w Wiedniu medycynę. Przed dyplomem porzucił ją dla pasji muzycznych. Realizował je w Paryżu, studiując kompozycję i kontrapunkt. W latach 1844–1847 był uczniem i zaufanym pomocnikiem Fryderyka Chopina. Stał się pierwszym wydawcą i popularyzatorem repertuaru genialnego romantyka na ziemiach polskich we wszystkich zaborach. W 17 tomach opublikował dzieła Chopina, z tego wydawnictwa korzystało kilka generacji artystów.

Sam Mikuli jako wirtuoz fortepianu koncertował we Francji, Austrii, Rosji. W 1857 r. osiadł we Lwowie. Został dyrektorem Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego, założył konserwatorium, był nauczycielem plejady sław pianistyki z Raulem Koczalskim, Aleksandrem Michałowskim, Mieczysławem Horszowskim.

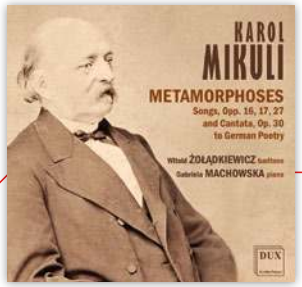

Karol Mikuli, „Metamorfozy". Pieśni i kantata do poezji niemieckiej, Lwów 1867–1880. Witold Żołądkiewicz – baryton, Gabriela Machowska – fortepian. Kwintet smyczkowy: Aleksandra Knitter-Sikora, Jolanta Bartnik (skrzypce), Małgorzata Jamiołkowska (altówka), Maciej Skowroński (wiolonczela), Tomasz Opuchlik (kontrabas). Wyd. DUX/Polskie Radio Chopin

Był również utalentowanym kompozytorem, m.in. utworów fortepianowych – mazurków, polonezów, nokturnów, walców, etiud – i kameralnych. Do twórczości wokalnej należy m.in. 19 pieśni na głos solowy z fortepianem oraz kantata. Inspiracją dla nich były wiersze poetów niemieckich (ten krąg językowy był – oprócz polskiego, francuskiego czy rosyjskiego – w użyciu elit wielokulturowej stolicy Galicji). Mamy więc strofy Goethego, Zedlitza, Heinego (kompozytor znał go osobiście), a także Szkota Roberta Burnsa w przekładzie niemieckim.

Stylistykę pieśni Mikulego, bliską tradycjom Schuberta i Schumanna, trafnie odzwierciedla płyta wytwórni DUX. Ceniony baryton Witold Żołądkiewicz oraz współpracujący z nim instrumentaliści z przekonaniem i talentem nie pierwszy już raz eksponują walory rzadko wykonywanej twórczości lwowskiego mistrza.

GORĄCE PYTANIA
ZOSTAŃ W DOMU I OGLĄDAJ W POLSCE PL
polsat box wcześniej Cyfrowy Polsat NA POZYCJI 196
upc NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox 121 dekodery KAON i Horizon
orange NA POZYCJI 32
NETIA NA POZYCJI 192
VECTRA NA POZYCJI 825

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

400!

Aleksander Nalaskowski

Opublikowałem dla Państwa 399 felietonów, ten na numer 400. Szmat czasu. Gdyby je zawrzeć w jednym tomie, miałby ponad 600 stron. Wyszłaby więc całkiem gruba książka będąca zapisem czasu, w którym każdy z felietonów powstawał. A całość mogłaby stanowić rodzaj subiektywnej kroniki.

Bywały felietony doraźne, odnoszące się do konkretnego wydarzenia bądź splotu wydarzeń, bywały felietony ironiczne, ale i śmiertelnie poważne. Zdarzały się felietony prześmiewcze i krytyczne – jeden z nich, zatytułowany „Wędrowni gwałciciele", stał się początkiem nagonki na autora i jego licznych perturbacji zawodowych.

Wedle definicji encyklopedycznej felieton to „gatunek publicystyczny, krótki utwór dziennikarski (prasowy, radiowy, telewizyjny) utrzymany w osobistym tonie, lekki w formie, wyrażający punkt widzenia autora. Porusza i komentuje aktualne tematy społeczne, zwraca uwagę na ujemne zjawiska w życiu codziennym, często wykorzystując do tego elementy satyry, ironii, humoru itp. Wprowadza elementy fikcji literackiej. Cechuje się jednak faktograficznością i dokumentalnością – jego punktem wyjścia są prawdziwe wydarzenia, przetwarza konkretne fakty. Z tej perspektywy felieton znajduje się na granicy między literaturą faktu a literaturą artystyczną". Czy moje pisanie mieści się w tej definicji – muszą czytelnicy rozsądzić sami.

Gdy czytacie ten felieton, jest już po wyborach. Niektóre wyniki dało się jednak przewidzieć i je skomentować

Zmorą felietonisty i jego nieszczęściem jest czas. Otóż redakcja wymaga, aby tekst przesłać najpóźniej do czwartkowego południa. Bo przecież trzeba go oddać do korekty, złamać, wkomponować w dany numer tygodnika, wydrukować i rozwieźć po kraju. I na to wszystko pozostaje jeden pełny dzień roboczy oraz weekend. W poniedziałek „Sieci" muszą się znaleźć w sprzedaży. A więc każdy felieton powstaje mniej więcej o tydzień wcześniej niż zobaczy się go w kiosku. To oznacza, że felietonista musi nie tylko komentować to, co się wydarzyło, lecz także przewidywać, co się może wydarzyć, aby nie trafić kulą w płot.

Bywają jednak sytuacje arcytrudne i z taką mam do czynienia obecnie. Piszę felieton kilka dni przed wyborami parlamentarnymi, których ostatecznego wyniku nikt nie potrafi przewidzieć, a które zyskały już sobie miano najważniejszych od ponad 30 lat. Ale tekst ten zostanie opublikowany dzień po wyborach, a zatem po fakcie niemożliwym do skomentowania *a priori*. Czy kogokolwiek zainteresuje coś innego niż powyborczy komentarz? Wątpię. Powyborcza temperatura wzrośnie do białości, w dziennikach i internecie posypią się komentarze, obliczenia, rokowania i na jakiś czas wszystko zejdzie na dalszy plan.

Zatem gdy czytacie ten felieton, jest już po wyborach. Niektóre wyniki dało się jednak przewidzieć i je skomentować. Nawet nieco emocjonalnie, bo wybory to nie tylko akt racjonalny, lecz także niemałe emocje.

Bez cienia błędu można wskazać kilka osób, które otrzymają mandat poselski. Takie są reguły gry i taka jest ordynacja. W głowę więc zachodzę, czym naraziłem się polskiej klasie politycznej, że od lat mnie upokarza i zniechęca do udziału w wyborach. Co takiego zrobiłem, iż katuje się mnie ograniczonym megalomanem Kołodziejczakiem, gościem z deficytami, któremu nie tylko myślenie, lecz także polszczyzna sprawiają kłopoty? Czym zawiniłem, że na plakatach wyborczych muszę oglądać sztucznie zamyśloną (myślenie symuluje Photoshop) Iwonę Hartwich, że zapewne znów w fotelu posła zasiądzie niewątpliwa ikona nierozgarnięcia Joanna Scheuring-Wielgus, że jakiś prowincjonalny łapówkarz nie chce się zrzec immunitetu? Czym zawiniłem, że do Sejmu kandyduje łepek, który skasował seicento w Oświęcimiu i to jego jedyne „kompetencje"?

Po jakiego diabła jako młodzian walczyłem o demokrację, aby teraz znosić rozmaitych Tusków, Gawłowskich, Jachiry, Senyszyny, Nitrasów, Naumanów i innych tej „klasy" „osobistości". Dlaczego dręczy się mnie durnowatym Brejzą? Strach pomyśleć, jak rozwijałaby się Polska, gdyby wszelkich Millerów, Cimoszewiczów, Belki, Schetyny, Liberadzkich i tych, który już przywołałem, odesłać po prostu do diabła.

Dlaczego wybrańcami narodu zostają intelektualne miernoty, karierowicze, ludzie kurioza? Gdzie jest kres zdurnowacenia sporej liczby wyborców? Czy w ogóle istnieje taka granica? Aż chciałoby się powiedzieć, że do Sejmu kretynom wstęp wzbroniony. Ale mnie nie wypada, poprzestanę więc na pretensjach do losu.

Autopromocja

eprasa.pl 4ee1868b88

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Znachorów dwóch

W przypadku „Znachora" remake był z pewnością obarczony sporym ryzykiem

Ryszard Makowski

Po fatalnej próbie odkurzenia „Pana Samochodzika" audytorium Netflixa z obawą czekało na nowego „Znachora". Nic dziwnego, film Jerzego Hoffmana z 1982 r. od lat jest telewizyjną klasyką, powtórkową ozdobą wszelkich świąt. Wzruszał już niejedno pokolenie. „Znachora" 2023 w reżyserii Michała Gazdy ogląda się przyjemnie, choć finał jest najsłabszą częścią filmu. Widzów przyzwyczajonych do starego scenariusza razi brak sceny w sądzie, gdy prof. Dobraniecki w kulminacyjnym momencie wypowiada kwestię: „Proszę państwa, Wysoki Sądzie, to jest prof. Rafał Wilczur".

Koncept, aby Marysię tak wyemancypować, że bez oporów idzie do łóżka z hrabią Czyńskim, a ich figle może obejrzeć przez okno odtrącony konkurent, jest odrobinę zbyt śmiały. Pamiętajmy jednak, na jakiej platformie ten film się ukazał. I trzeba przyznać, że autorzy nie składali na siłę hołdu bożkowi poprawności. We wsi nie było Murzynów ani obowiązkowego na Netflixie wątku LGBT+.

Zośka, zastanawiając się, kim może być nowo zatrudniony przez nią we młynie nieznajomy Antoni Kosiba, sądzi, że nie był księdzem, bo nie zna księdza, który potrafi coś zrobić własnymi rękami. Takie delikatne muśnięcie „nowoczesnością".

Netflixowy „Znachor" zdobył międzynarodową popularność jako „Forgotten Love". Mając na uwadze świetną kreację, jaką stworzył Znachor 2.0, czyli Leszek Lichota, warto by zekranizować powieść Tadeusza Dołęgi-Mostowicza – „Profesor Wilczur", kontynuację „Znachora". Tu już nie będzie konfrontacji ze znaną wersją.

eprasa.pl 4ee1868b88

Michał Korsun prezentuje:
„Witamy w Alkmaar" z wyjątkiem Polaków

ref. Shutterstock

Wycinki z przeszłości

Potrzebne nowe buty na jesień? W PRL nie było to proste. „Kiedy wreszcie kupiłam takie, jakie chciałam, wydawało mi się że mam szczęście – pisała czytelniczka »Przyjaciółki« w październiku 1984 r. – Niestety, dość szybko zmieniłam zdanie, bo po przejściu kilkudziesięciu metrów wypadł flek w jednym obcasie, nieco dalej – drugi". Szewc, do którego poszła o poradę, stwierdził, że to bubel i lepiej oddać lub wymienić. „Wróciłam więc do sklepu (prywatny pawilon koło Hali Marymonckiej w Warszawie). [...] Właścicielka poinformowała mnie tonem kategorycznym, że kiedy fleki wypadają, to się wbija z powrotem młotkiem i głowy nie zawraca. Przynajmniej jej. Zapytałam, czy zatem do każdej pary butów dodają młotek? Wymiana zdań była ostra" – kończy się relacja.

Co dalej było z butami, nie wyjaśniono.

Na zdjęciu pieniądze z epoki.

(mk)

A co uniesie?

Leszek Długosz

Ta powojenna, nazwijmy ją, wręcz religijna karta twórczości Lechonia jest prawie nieznana, np. zdumiewający, olśniewający wiersz „Matka Boska Częstochowska". Wielu poetów (a prawdę mówiąc, właściwie któż nie ma potrzeby do sedna dojść) pisało, na co ostatecznie „warto postawić". Norwid: z wszystkich rzeczy tego świata ocaleje dobro i poezja. Lechoń: miłość, z którą w oczach Boga zjednaliśmy się. Nie inaczej „wyrokuje" Karol Wojtyła: miłość mi wszystko rozwiązała, wyjaśniła.

Gdybym miał pieniądze i możliwość, zamówiłbym napis, mały wierszyk mego autorstwa, przypomnienie – umieszczane na bramach cmentarnych, w biurach podróży, na dworcach przy kasach itp., itd. Taki oto:

W KWESTII PODRÓŻY WSKAZÓWKA PRAKTYCZNA
Nie przyjmują żadnego bagażu na tamtym świecie
Prócz tego, co dusza uniesie...

Jan Lechoń (1899–1956)
Sąd Ostateczny

Szczytne cnoty, dla których gwarny świat nas chwali,
Czyny, których przykładem przyszłość ma się ćwiczyć,
I nasz honor kamienny i wola ze stali
Na Sądzie Ostatecznym nie będą się liczyć.

Odpadną z nas, pokryte przez tłumu oklaski,
Uczynki miłosierne, co sławę nam szerzą,
I tylko pozostaną te mroki i blaski,
O których nikt z nas nie wie, czy od nas zależą.

Wtedy wyda głąb nasza, nareszcie odkryta,
Grzech który cię przeraża, cnotę co cię wstydzi.
Gdy wokół szumi życie, nikt o nie nie pyta.
Tylko miłość w nie patrzy, tylko Bóg je widzi.

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 4ee1868b88

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Gra może być lepsza

Kto w niedzielę 15 października by nie wygrał, Polska będzie trwała – z lepszymi lub gorszymi perspektywami na przyszłość, ale będzie. By te perspektywy były dobre, niezbędna jest korekta niektórych schematów naszego społecznego myślenia.

BADANIA AMERYKAŃSKIE – WNIOSKI DLA POLSKI

Inspiracją dla naszych rozważań jest opublikowany w wrześniu br., lecz już zasłużenie głośny artykuł pt. „Zero-Sum Thinking and the Roots of U.S. Political Divides". Co można przetłumaczyć tak: „Myślenie w kategoriach gry o sumie zerowej oraz źródła podziałów politycznych w USA".

GRY O SUMIE ZEROWEJ LUB INNEJ

Patrzenie na świat społeczny pod kątem gier o sumie zerowej to przekonanie, że korzyści, które może odnieść jakaś jednostka lub grupa społeczna, zawsze wiążą się ze stratami kogoś innego. Najprostszym przykładem gry o sumie zerowej jest kradzież. Oto złodziej kradnie komuś z mieszkania sprzęt audio. Ktoś utracił, ale złodziej zyskał. Ogólna liczba dóbr nie uległa zmianie.

Gdyby wszystkie społeczne relacje były grami o sumie zerowej, prawdopodobnie niemożliwy byłby rozwój społeczny. A przecież, jak pokazuje historia, ludzkość się rozwija.

Weźmy przykład niewymuszonej transakcji handlowej. Kupiec przywozi do jakiejś krainy beczki z solą, a wracając, zabiera skóry, dużo skór zwierząt upolowanych przez tubylców. Obie strony są zadowolone. Wszak każdy dostał to, czego mu brakuje. I to jest gra o sumie dodatniej – korzystają obie strony. Gdyby jednak skóry zabrali rozbójnicy, to byłaby gra o sumie zerowej. A gdyby rozbójnicy przy okazji zabierania skór jeszcze podpalili domy tubylców, to już byłaby gra o sumie ujemnej.

Nie myślmy o Polsce w perspektywie gier o sumie zerowej. Unikniemy wielu konfliktów

TRANSFERY SPOŁECZNE

Pod tym kątem spójrzmy na transfery społeczne realizowane przez rządzących Polską od 2015 r. Czasem padają głosy, że program 500+ polega na tym, że władza rozdaje nie swoje. Zabiera tym, co płacą podatki, głównie przedsiębiorcom tworzącym miejsca pracy, a potem łaskawie to, co nie swoje, przekazuje „darmozjadom". Ci zaś najczęściej te przez siebie niezarobione pieniądze i tak przepiją. To właśnie spojrzenie przez pryzmat schematu myślowego gry o sumie zerowej: zabiera się jednym (tym pracowitym) i daje drugim (leniom!).

GRA O SUMIE DODATNIEJ

Naszym zdaniem lepiej patrzeć na to w optyce gry o sumie dodatniej – przynoszącej korzyści wszystkim. Część środowisk ludzi ubogich, z różnych powodów słabo radzących sobie w warunkach gospodarki rynkowej, otrzymała środki, dzięki którym mogli przestać kupować „na zeszyt". Wreszcie mogli dokonywać wyborów konsumenckich, np. kupić dzieciom lepsze ciuchy, by w szkole rażąco nie odstawały od reszty rówieśników. Te transfery pomogły wielu rodzinom wydobyć się z ubóstwa, a dzieciom zapewnić lepszy start społeczny.

Bieda już tak nie hamuje ambicji edukacyjnych i społecznych. Polska gospodarka na pewno na tym nie traci. Nie zapominajmy także o stabilności społecznej, która jest korzystna dla biznesu. Zatem takie transfery, wbrew niektórym ujęciom, wspomagają rozwój Polski jako pewnej całości.

Jasne, że w życiu społecznym – w tym w polityce – gry o sumie zerowej są obecne, gdy jedni zabierają innym, nic nie dając w zamian. Są też gry o sumie ujemnej, gdy jedni nie tylko zabierają innym owoce ich pracy, ale też przy okazji coś niszczą, np. zdrowie. Ale jest też mnóstwo gier o sumie dodatniej. Gdy kupujemy drogi bilet na koncert ulubionej artystki, to nie ma przegranych. Otrzymujemy niekiedy bezcenne emocje, a ona nie tylko kasę, ale i satysfakcję z naszej radości.

O potrzebie jakiej korekty myślenia Polaków wspomnieliśmy na początku? Zdaniem badaczy spora część konfliktów amerykańskiego społeczeństwa bierze się z siły myślenia pod kątem gier o sumie zerowej.

Nie myślmy zatem o Polsce w perspektywie gier o sumie zerowej. Unikniemy wielu konfliktów. Twórzmy w Polsce jak najwięcej gier o sumie dodatniej. Eksponujmy je i nie dajmy się uwieść przekonaniu, że sukces jednych rodaków zawsze musi się łączyć z porażkami innych.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 22/0323/F

eprasa.pl 4ee1868b88

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE / PL

JAKUBOWSKA • JARECKA • ŁOSIEWICZ • RYBIŃSKA • BIEDROŃ • KOCZOT • MACIEJEWSKI • MAJEWSKI • PYZA • WIKŁO • WOLNY • WYSOCKI

OGLĄDAJ NAS:

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI **196**

upc
NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange
NA POZYCJI **32**

NETIA
NA POZYCJI **192**

VECTRA
NA POZYCJI **825**

Energa | GRUPA ORLEN
Obrót

Z natury
DOBRA ENERGIA

Zamów **fotowoltaikę** oraz **pompę ciepła** z **bezpłatną wizją lokalną** i zacznij oszczędzać

Mój prąd 5.0

Skorzystaj z dofinansowania Mój Prąd 5.0

Zadzwoń **555 555 505*** lub wejdź na **energa.pl**

*Koszt połączenia według stawek Twojego operatora

eprasa.pl 4ee1868b88